

THOMAS S N I E G O S K I

NEFILIM

OSTATNIA NADZIEJA UPADŁYCH
MUST ZOSTAĆ ZNISZCZONA



PROLOG

LEBANON W STANIE TENNESSEE, 1995 R.

Mimo że w Tennessee zapadła noc, w powietrzu panował trudny do opisanego gwar. Eric Powell z trudem przedzierał się przez wysoką trawę na tyłach domu swoich dziadków. Potykając się, zszedł ze stromej skarpy i kierował się w stronę gęstej kępy bagiennych drzew, mających w oddali. Dłonie kurczowo przyciśnięte do twarzy zatykały również uszy.

- Nie będę was słuchać - wycedził przez zaciśnięte zęby, bliski płaczu. - Przestańcie. Proszę! Zamknijcie się!

Dźwięki wciąż narastały. Jeszcze chwila, a zaleją go bez reszty, a on marzył, żeby przed nimi uciec. *Tylko dokąd?* Głosy dochodziły zewsząd.

Eric zagłębiał się coraz dalej w las. Pędził, aż poczuł w płucach ostry ból, jakby płonęły od wewnątrz. Serce waliło mu tak głośno, że prawie tłumilo złowieszcze odgłosy dobiegające z ciemności.

Prawie.

Eric przystanął na chwilę pod płaczącą wierzbą, która kiedyś była dla niego miejscem ucieczki przed pełnym stresu życiem nastolatka. Chciał tylko złapać oddech. Ostrożnie zdjął dłonie z uszu, ale natychmiast zaatakowała go kakofonia szeptów płynących z mroku.

- *Niebezpieczeństwo* - ostrzegwał cienki, piskliwy głos, dobiegający gdzieś znad niewielkiego strumienia, który wił się między drzewami. - *Niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo.*

- *Oni nadchodzą* - dołączył do niego inny głos. - *Nadchodzą*

- *Ukryj się* - zaskrzeczało coś spomiędzy gałęzi wierzby, po czym głos wzbił się w niebo. - *Zanim będzie za późno.* - Eric usłyszał jeszcze ostatnie słowa ulatujące w przestworza.

W ciemnościach wokół niego kłębiły się tysiące głosów przemawiających najrozmaitszymi językami i ostrzegających go przed tym samym. Coś nadchodziło, coś złego.

Eric oparł się o pień drzewa, próbując zebrać myśli.

Przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy usłyszał te ostrzeżenia. To musiało być 25 czerwca - bez najmniej-szych wątpliwości. Pamięć miał doskonałą, poza tym 25 czerwca był zaledwie dwa miesiące temu, no i nie-łatwo zapomnieć dzień swoich osiemnastych urodzin - zwłaszcza jeśli w

tym dniu zaczyna się tracić zmysły. Wcześniej słyszał tylko to co inni. Rechotanie żab NAD sadzawką, wściekłe bzyczenie os na ganku. Zwykle, codzienne odgłosy natury, które często po prostu ignorował.

Ale tamtego dnia wszystko się zmieniło. Eric nie słyszał już ćwierkania ptaków ani miauczenia kotów, przerywających nocną ciszę, tylko głosy, które zachwyciły się pogodnym letnim dniem, wyrażały radość, ale także smutek, głód czy strach. Z początku próbował te głosy wypierać, traktując je jak zwyczajne odgłosy zwierząt. Ale kiedy zaczęły przemawiać bezpośrednio do niego, Eric zdał sobie sprawę, że jest o krok od szaleństwa.

Z zamyślenia wyrwał go rój żarzących się świetlików, które migotały w atramentowej ciemności. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki świetliki zanurkowały, a potem wzbity się w powietrze tuż przed nim, jakby chciały mu przekazać coś naprawdę ważnego.

- *Uciekaj* - usłyszał w myślach, obserwując niezwykłą iluminację. - *Uciekaj, twoje życie jest w niebezpieczeństwie.*

I to właśnie uczynił.

Eric zerwał się z ziemi u podnóża płaczącej wierzby i ruszył w stronę szemrzącego nieopodal strumyka. Postanowił, że przekroczy go i zanurzy się jeszcze głębiej w las, gdzie nikt nigdy go nie znajdzie. W końcu był już dorosły i znał okolicę jak mało kto.

Ale wtedy pojawiło się to samo pytanie, które racjonalna część jego umysłu zadawała sobie od dnia, kiedy wszystko się zaczęło.

Czego się obawiasz?

Pytanie nieustannie dźwięczało mu w głowie, kiedy biegł przed siebie, ale nie potrafił znaleźć na nie odpowiedzi.

Przeskoczył strumień. Wylądował na drugim brzegu tak nieostrożnie, że stopa poślizgnęła mu się na pokrytych błotem kamieniach i wpadł do przeraźliwie zimnej wody.

Chłopak gwałtownie wciągnął powietrze i poczuł, jak woda wlewa mu się do buta. Jej lodowaty dotyk sprawił, że zaczął poruszać się jeszcze szybciej. Zanurkował pod zwisającymi nisko gałęziami młodych drzew, po czym zagłębił się jeszcze dalej w dzikie ostępy.

Przed czym *właściwie uciekasz?* - przytomnie zapytał głos w głowie Erica. Tym razem dobiegał jednak nie z zewnątrz, lecz wprost ze środka jego czaszki. To był jego własny, spokojny głos, który zdawał się brać górę nad paniką. Ten sam głos chciał, by Eric się zatrzymał,

stanął twarzą w twarz z własnym lękiem i przyjrzał mu się z bliska. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa - zabrzmiały kojące słowa. - Nikt cię nie ściga, nikt nie obserwuje. ERIC zwolnił nieco tempo.

- *Biegnij dalej* - momentalnie usłyszał inny głos. Coś czmychnęło mu spod nóg. Zdażył tylko zobaczyć delikatny blask rozgwieżdżonego nieba, odbijający się w poły-skujących łuskach.

Mało brakowało, a posłuchałby kuszącego głosu tajemniczej istoty. Zamiast jednak przyspieszyć, pokręcił głową i zaczął iść normalnie. Usłyszał inne głosy nawołujące go z zarośli, z powietrza nad głową i trawy pod stopami. Wszystkie kazały mu uciekać, biec w amoku, jak jakiemuś wariatowi, którym - do czego sam się przyznał - stał się dwa miesiące temu.

W tym momencie Eric podjął decyzję. Nie będzie ich już słuchał. Nie zamierza dalej uciekać przed niewidzialnym wrogiem. Odwróci się na pięcie, pójdzie z powrotem do domu dziadków, obudzi ich i wszystko im wyjaśni. A potem poprosi, żeby niezwłocznie odwieźli go do szpitala.

Podjąwszy decyzję, Eric zatrzymał się na polanie i spojrzął w niebo. Szarzało przed świtem. Gruba warstwa chmur, które przypominały mu włóczkę stalowej wełny, powoli odsłaniała tarczę księżyca. Eric nie chciał martwić dziadków. Dość już się nacierpieli. Jego matka, a ich córka, brzemienista i niedożywiona, umarła w trakcie porodu. Dziadkowie wychowali Erica jak własnego syna, dając mu tyle miłości i wsparcia, ile tylko potrzebował. Jak mógłby odpłacić im w ten sposób - jeszcze większym smutkiem?

Do oczu napłynęły mu gorące łzy, na myśl o tym, jak zareagują dziadkowie, kiedy wróci do domu i ich obudzi. Z pewnością gdy dowiedzą się, że wnuk słyszy głosy i traci przez to zmysły.

Niejako na potwierdzenie tej wizji, gdzieś w ustępującym powoli mroku, Eric usłyszał znowu szepty: piskliwe, chrapliwe, rozedrgane, łamiące się; niektóre brzmiały, jakby ktoś przepłukiwał sobie gardło.

— *Biegnij, uciekaj - mówiły jeden przez drugiego - Ratuj się, oni już tu są!*

Eric rozejrzał się wokół; hałas był nie do zniesienia. Od kiedy zaczęły się jego problemy, głosy jeszcze nigdy nie brzmiały tak donośnie. Może zdały sobie sprawę, że Eric nie jest już na nie tak podatny. Może bały się, że ich czas dobiega końca.

- *Są tutaj! Uciekaj! Ukryj się! Jeszcze nie jest za późno. Biegnij.*

Eric obrócił się, zaciskając pięści w geście niemej rezygnacji.

- Dosyć! - wrzasnął w stronę drzew. - Nie będę już was słuchać - dodał, zwracając się do nieba i ziemi, - Rozumiecie? - rzucił pytanie w ciemność, która otaczała polanę.

Eric zatoczył powolne koło. Oblęd, który go prześladował, nie chciał go jednak wypuścić ze swojego uścisku. Chłopak był pewien, że nie zniesie tego dłużej.

- Zamknijcie się! - wykrzyczał z całych sił w płucach. Zamknijcie się! Zamknijcie się! Słyszycie?!

Raptem zapadła całkowita cisza. Brak jakichkolwiek głosów okazał się równie nieznośny, co zgiełk, który panował w lesie jeszcze przed chwilą, nie było słyhać żadnego dźwięku: ani brzęczenia owa-ów, ani krzyków nocnych ptaków. Nawet liście prze-stały wirować na wietrze. Zapadła przejmująca cisza.

- No, od razu lepiej. - Eric wypowiedział słowa na głos, jakby chciał się przekonać, czy nie ogłuchł. Zaniepokojony nagłą ciszą, postanowił opuścić polanę tą samą drogą, którą na nią wszedł.

Nagle stanął jak wryty. Na ścieżce przed nim wznosiła się samotna postać.

Czy to tylko złudzenie, powstałe przez grę cieni? A może drzewa, ciemność i poświata księżycy sprawiały, że z każdą chwilą popadał w coraz większe szaleństwo? Eric zamknął oczy i otworzył je z powrotem, próbując skupić wzrok na niewyraźnym kształcie, przypominającym ludzką sylwetkę. Postać jednak nie zniknęła, lecz trwała tam gdzie wcześniej, nadal blokując mu przejście.

- Halo? - Eric podszedł kilka kroków bliżej. - Kto tam jest? - Wciąż nie był w stanie rozpoznać żadnych szczegółów nieznanego osobnika.

Niewyraźny kształt także się poruszył, a wraz z nim mrok, który go otaczał - zupełnie jakby stanowili nierozdzielalną całość albo jakby ciemność była częścią jakiegoś upiornego makijażu. W głowie Erica zaświtał komiczny obraz bohatera kreskówki *Charlie Brown* o imieniu Pig Pen, pojawiającego się zwykle w obłoku kurzu i brudu. Zauważył w tym jakąś perwersję - postać była rzeczywiście podobna, tyle że dużo bardziej działała mu na nerwy.

Eric cofnął się błyskawicznie.

- Kim jesteś? - zapytał głosem nienaturalnie zmienionym ze strachu. Nie znosił brzmienia swojego głosu, kiedy się bał. - Nie podchodź bliżej - ostrzegł, starając się za wszelką cenę zabrzmieć choć trochę groźniej.

Postać odziana w mrok zatrzymała się w miejscu. Mimo iż stała już niemal na skraju polany, Eric wciąż nie mógł dostrzec szczegółów. Zaczął się więc zastanawiać, czy przypadkiem jego psychoza nie daje o sobie znać, a cień, który widział przed sobą, był tylko wytworem chorej wyobraźni.

- Czy... czy ty jesteś prawdziwy? - wymamrotał

Eric.

Cisza, która ich otaczała, była tak przejmująca, że jego pytanie zabrzmiało bardziej jak krzyk.

Mroczna zjawy stała nadal bez ruchu i Eric zaczął upewniać się co do jej nierealności. *Jeszcze jeden symptom włamania nerwowego - pomyślał, kręcąc z niesmakiem głową. Nie dość, że słyszę głosy, to teraz jeszcze zaczynam mieć omamy wzrokowe.*

- To chyba wystarczy za odpowiedź - powiedział na głos, przyglądając się wytworowi swojej demencji.

- O co chodzi? - spytał z przekąsem. - Zgubiłeś się w lesie? A teraz, kiedy wiem, już że jesteś tylko jakąś cholerną fatamorganą, powinieneś zniknąć. - Machnął ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy. - Idź sobie. Wiem, że oszalałem, nie musisz mi tego udowadniać. Spadaj !

Postać stała niewzruszona, poruszył się za to cień, który ją otaczał. Ciemność wydawała się ustępować. Niczym płatki kwitnącego w nocy kwiatu, czerń rozchyliła się, ukazując mężczyznę.

Eric przyjrzał się uważnie, starając się rozpoznać w nim kogoś znajomego, jednak na próżno. Mężczyzna był wysoki i szczupły, mierzył co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów. Miał na sobie czarny golf i spodnie w tym samym kolorze. Na wierzch, pomimo panującej duchoty, zarzucił szary prochowiec.

Mężczyzna też mu się przyglądał, przekrzywiając głowę to w jedną stronę, to w drugą. Jego skóra sprawiała wrażenie niewiarygodnie bladej, niemal białej i przezroczystej. Długie włosy, posłusznie zaczesane do tyłu, również wydawały się przezroczyste. Eric przypomniał sobie, że chodził do szkoły podstawowej z dziewczyną o bardzo podobnym wyglądzie. Nazywała się Cheryl Bagglej i była albinoską.

- Wiem, że to zabrzmiało jak jakieś szaleństwo - odezwał się - ale... - zająknął się, próbując znaleźć możliwie najbardziej racjonalne sformułowanie, - Ty jesteś prawdziwy... nie mylę się?

Nieznajomy nie odpowiedział od razu. Widać było, że rozważał w myślach to pytanie. Wtedy Eric zauważył jego oczy. Oleisty cień, który wcześniej spowijał tajemniczą postać, teraz musiał chyba wlać mu się do oczodołów. Eric nigdy wcześniej nie widział tak ciemnych oczu.

- Tak - odparł w końcu szorstko mężczyzna, choć jego głos przypominał bardziej krakanie kruka. Eric zaskoczony nagłą odpowiedzią nieznajomego, przyglądał mu się z osłupieniem.

- Tak? Ja nie... - nerwowo potrząsnął głową, - Tak - powtórzył mężczyzna. - Jestem prawdziwy - zaakcentował dobitnie każde słowo. Ericowi głos nieznajomego wydał się dość niezwykły. Jakby mężczyźnie sprawiało trudność mówienie w jego języku.

- Och, dobrze wiedzieć. Kim jesteś? Czy ktoś kazał ci mnie odszukać? - spytał. - Czy moi dziadkowie wezwali policję? Przepraszam, że musiałeś zadać sobie trud przedzierania się przez las aż tutaj. Jak widzisz, nic mi nie jest. Muszę się tylko uporać z kilkoma rzeczami... Powiniennem wrócić do domu i poważnie porozmawiać z...

Mężczyzna sztywnym ruchem uniósł dłoń.

- Twoje słowa mnie obrażają - warknął. - Ohydo! Rozkazuję ci milczeć!

Eric wytrzeszczył oczy.

-Jak mnie nazwałeś... ohydą? - spytał, czując, jak jego głos rośnie znowu ze strachu i zaskoczenia.

- W waszym języku jest jeszcze kilka innych słów, które oddają to lepiej - warknął tajemniczy nieznajomy. - Jesteś rakiem toczącym Jego świat, odrazą w oczach Boga - chociaż to nie ty wzbudzasz mój największy wstręt. - To mówiąc, obrócił uniesioną dłoń w stronę Erica. - Nie oznacza to jednak, że unikniesz losu, który jest ci pisany.

Eric poczuł, jak włosy stają mu dęba na karku, a na rękach pojawia się gęsia skórka. Nie potrzebował już ostrzeżeń leśnych istot przed zbliżającym się zagrożeniem. Wiedział, że szykuje się coś bardzo niedobrego, czuł to wyraźnie w powietrzu.

Obrócił się, żeby rzucić się do ucieczki, chciał zapaść się pod ziemię. Musiał się stąd natychmiast wydostać. Każdy mięsień i każda komórka jego ciała krzyczała: „Niebezpieczeństwo!”, a on pozwolił, by ten pierwotny instynkt przetrwania wziął górę nad rozumem.

Nagle jego drogę zagroziły cztery identyczne postaci, każda z twarzą bladą jak tarcza księżyca. *Jak to możliwe?* Przez głowę przelatywały mu błyskawicznie setki myśli. Jak czterech ludzi mogło się zakraść za jego plecy, nie wydając przy tym najmniejszego dźwięku?

U stóp mężczyzny coś zakwiliło i Eric dostrzegł kucającego małego chłopca. Był brudny, nagi, miał długie i zaniedbane włosy, z jednej dziurki nosa wydobywały się gęste smarki, które spływały na usta. Eric zdał sobie sprawę, że z chłopcem jest coś nie w porządku - był czymś wyraźnie poruszony. Wtedy zauważył skórzaną obrozę na jego szyi i smycz, którą trzymał w dłoni jeden z nieznanym. Teraz był już pewien, że coś rzeczywiście musi być nie tak.

Chłopiec zaczął się prężyć i wrywać ze smyczy, wskazując brudnym palcem na Erica i skomlać przy tym jak mały psiak.

Obcy wbili mroczny wzrok w Erica, a potem zaczęli się rozdzielać, otaczając go i uniemożliwiając ucieczkę. Chłopiec na smyczy dalej popiskiwał i mamrotał coś pod nosem.

Eric obrócił się gwałtownie. Kątem oka dostrzegł, że pierwsza z postaci podeszła bliżej. Mężczyzna wciąż wyciągał przed siebie dłoń - tym razem jednak płonęła ona żywym ogniem.

Jego umysł z trudem zaakceptował ten widok. Facetowi paliła się ręka, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

Czując, że trzęsą mu się nogi, obserwował, jak pomarańczowo-żółty płomień rośnie i żarłocznie pożera powietrze. Mężczyzna zbliżał się nieubłaganie. Eric chciał uciekać, rzucić się z krzykiem przed siebie i przerwać pierścień otaczających go przybyszów, ale wiedział, że to nic nie da.

W końcu strach pokonał go i Eric upadł na kolana, czując, jak zimna wilgoć ziemi momentalnie przesiąka mu przez spodnie. Nie musiał się obracać - słyszał

jak zdziczałe dziecko warczy za jego plecami i wiedział, że czterech milczących nieznanym otacza go z czterech stron. Skoncentrował się więc na stojącym nad nim mężczyźnie z gorejącą niczym pochodnia dłonią.

- Kim jesteś? - ze smutkiem w głosie powtórzył wcześniejsze pytanie, zahipnotyzowany płomieniem, który zdawał się przybierać jakiś inny kształt.

Obcy przyjrzał mu się błyszczącym od głębokiej czerni wzrokiem. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Eric mógł się przejrzeć w tych atramentowych oczach.

- Dlaczego to robisz? - załkał.

Mężczyzna gwałtownym ruchem uniósł głowę. Eric poczuł na twarzy gorąco bijące od płomienia buchającego z wyciągniętej dłoni.

-Jak to napisał ten głupi apostoł w swojej śmiesznej księdze? - zapytał nieznajomy, najwyraźniej sam siebie. - „Syn Człowieczy wyśle aniołów swoich; a zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorzenia i tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzucą ich w piec rozpalony". Czy coś w tym rodzaju - dodał z upiornym grymasem, ledwie przypominającym uśmiech.

Eric nigdy nie widział czegoś równie niezwykłego. Wyglądało to tak, jakby twarz nieznajomego pozbawiona

* *Biblia Tysiąclecia, Poznań - Warszawa 1990, Wydawnictwo Pallottinum, Ewangelia według św. Mateusza, 13: 41-42.*

była jakichkolwiek mięśni, które mogłyby wyrażać znane człowiekowi uczucia.

- Nie rozumiem - Eric zniżył głos prawie do szeptu. Mężczyzna przełożył gorejący przedmiot z jednej ręki do drugiej, a Eric podążył za nim wzrokiem. Płomień przybrał formę miecza.

Ognistego miecza.

- Lepiej będzie dla ciebie, jeśli nie będziesz próbował zrozumieć - odparł nieznajomy, wznosząc nad nim miecz.

Eric zdążył tylko obrócić głowę, jakby rozpaczliwie szukając promieni wschodzącego słońca. A potem wszystko niknęło w oślepiającej eksplozji ognia.

ROZDZIAŁ 1

Aaron Corbet śnił znów ten sam sen. Ale tym razem było w nim coś jeszcze.

Senne wizje, które pojawiły się trzy miesiące wcześniej, z czasem przybierały coraz bardziej realny kształt. Jakby to wszystko działo się naprawdę.

Przemierza ulice prymitywnej metropolii, starożytnego miasta zbudowanego z brązowej cegły, błota i słomy. Mieszkańcy boją się, ponieważ ktoś atakuje ich domy. Biegają w kółko przerażeni, w chłodnym, nocnym powietrzu głośnym echem odbijają się ich rozpaczliwe krzyki. Słychać

odgłosy przemocy, ostrza mieczy krzyżują się w walce, jęczą ranni - jest jeszcze coś, czego Aaron nie potrafi zidentyfikować. Jakiś nieznaną dźwięk, który jednak wyraźnie się przybliża.

Wielokrotnie próbował zatrzymać we śnie przerażonych mieszkańców, zwrócić ich uwagę i zapytać, co się dzieje. Ale oni nie widzą go, ani nie słyszą. Jest dla nich niczym duch. Mężowie i żony, chroniąc swoje dzieci, rozbiegają się w popłochu po piaszczystych ulicach, szukając ratunku. Znow słysząc ich przerażone krzyki. Aaron nie rozumie ich języka, chociaż znaczenie tego, co mówią, jest dla niego wystarczająco jasne. Ich życie oraz życie ich rodzin znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Odwiedzał to miejsce we śnie niezliczoną liczbę razy i zawsze był świadkiem paniki jego mieszkańców. Ale ani razu nie dane mu było poznać źródła tego, co im zagrażało. Przedziera się przez kręte uliczki nierealnego miasta, czując pod gołymi stopami szorstkość piasku przywiewanego tu z pustyni. Ale z każdą kolejną nocą zaatakowane miasto wydaje mu się coraz prawdziwsze, a dzisiaj wie, że strach, który czują mieszkańcy, udziela się także jemu. Po raz kolejny zadaje sobie to samo pytanie: czego ci wszyscy prości ludzie tak się boją? Kim są niewidoczni najeźdźcy, że napawają ich takim przerażeniem? W pewnej chwili na miejskim targowisku zauważa chłopca, prawdopodobnie swojego rówieśnika, który wyskakuje spod plandeki przykrywającej wielką stertę żółtych owoców, przypominających tykwy. Obserwuje, jak chłopiec chyłkiem opuszcza wyludniony targ, pozostając cały czas w cieniu okolicznych budynków i co chwilę nerwowo spoglądając w niebo. Wydaje mu się to dziwne, że chłopiec obawia się czegoś, co może nadlecieć z góry. Wtem chłopiec zatrzymuje się na skraju placu targowego i kuca w cieniu jednego z domów. Przygląda się uważnie podobnemu zacienionemu miejscu po drugiej stronie rynku. Na jego śniadej, młodzieńczej twarzy maluje się niesłabnące przerażenie; oczy ma otwarte tak szeroko, że w półmroku błyskają jedynie białka. Czego tak się boi? Aaron spogląda w górę, ale widzi tylko granatowe niebo usiane gwiazdami, które przypomina mu upstrzoną diamentami atlasową suknię. Nie ma tam nic, czego należałoby się bać. Wręcz przeciwnie, jest to widok, który należy raczej podziwiać.

W następnej chwili chłopiec opuszcza kryjówkę i pędzi ile sił w nogach, przez odkryty teren w upatrzone miejsce po drugiej stronie placu. Jest już w połowie drogi, kiedy zrywa się wiatr.

Nagle, potężne podmuchy, które wydają się pochodzić znikąd, niosą ze sobą piasek, kurz i brud. Chłopiec zatrzymuje się i próbuje osłonić twarz przed wiatrem. Jest oślepiiony, stracił orientację.

Aaron chce go zawołać, pomóc mu uciec przed tą tajemniczą burzą piaskową, ale wie, że wszelkie jego wysiłki spełzną na niczym. Jest tutaj wyłącznie niemym obserwatorem. Wtedy znowu pojawia się ten dźwięk. Aaron nie potrafi go zlokalizować, wie tylko, że słyszał go już wcześniej. Dochodzi jednak do wniosku, że jego źródła powinien szukać w górze - coś bije w powietrzu, wznieca wiatr i wzmaga tę nagłą burzę. Chłopiec krzyczy wniebogłosy. Jego lepkie od potu ciało jest już niemal białe, z powodu drobinek piasku i kurzu, które doń przylgnęły.

Dźwięk narasta coraz bardziej.

Co to może być? Odpowiedź na to pytanie wydaje się na wyciągnięcie ręki. Aaron jeszcze raz spogląda w niebo. W powietrzu wciąż wiruje piasek, który kłuje go w twarz i wpada do oczu. Ale on musi to zobaczyć - musi dowiedzieć się, skąd pochodzi ten dziwny, głuchy dźwięk przypominający tętent lub uderzenia w bęben. Musi przekonać się, co wywołuje tak silne podmuchy wiatru, zdolne unosić z ziemi piasek i drobne kamienie. Musi wreszcie stanąć twarzą w twarz ze źródłem straszliwego horroru, który nawiedza mieszkańców miasta - w tym także tego chłopca.

Wtedy, przez chmurę pyłu i kurzu dostrzega ich. Ukazują mu się po raz pierwszy.

Mają na sobie zbroje. Złote zbroje, które połyskują w migotliwym świetle, rzucanym przez płomienie ich broni.

Aaron widzi, że chłopiec biegnie ku niemu. Czyżby nagle stał się dla niego widzialny?

Chłopak wyciąga rękę, błagając o pomoc w sobie tylko znanym języku.

Ale tym razem Aaron rozumie każde słowo. Próbuje odpowiedzieć, ale jego słowa zagłusza chór rozdzierających uszy pisków i wrzasków. Głosy drapieżników, które dostrzegły swoją ofiarę.

Chłopiec próbuje uciekać, ale tamtych jest zbyt wielu. Aaron może tylko patrzeć w niemym przerażeniu, jak podobne do ptaków istoty spadają z nieba, wprost na plecy chłopca, a jego żalosne krzyki toną w zgiełku, wywoływanym przez uderzenia potężnych skrzydeł. Anielskich skrzydeł.

LYNN W STANIE MASSACHUSETTS

Ze snu wyrwało go donośne chrapanie Gabriela, od którego trzęsło się całe łóżko.

Aaron otworzył oczy i natychmiast poczuł na twarzy coś mokrego i ciepłego. Na chwilę zapomniał zupełnie o koszmarze, z którego przed chwilą się obudził, i skupił uwagę na ważącym prawie czterdzieści kilogramów labradorze o imieniu Gabriel. Pies chrapał obok z otwartym pyskiem.

- Ufff... fuuuujj - wymamrotał, sięgając po prześcieradło i wycierając się z psiej śliny. - Dzięki, Gabe - powiedział zaspanym głosem. - Która jest właściwie godzina? Może pora już wstawać?

- spytał leżącego obok psa. Labrador podniósł masywny łeb i zaczął lizać go po odkrytych rękach, skutecznie zasłaniając Aaronowi budzik swoim umięśnionym cielskiem.

- No dobrze, już dobrze. - Aaron wyjął spod kołdry drugą rękę, zmierzwił jedwabście miękkie, złote futro i podrapał zawierzę za uchem. Potem podniósł się i usiadł na łóżku, żeby sprawdzić godzinę.

Domagając się kolejnych pieszczot, Gabriel przewrócił się na grzbiet i zaczął trącać Aarona przednimi łapami. Ten zaś chichotał i głaskał go po brzuchu, starając się jednocześnie zobaczyć cyfry na elektronicznym budziku, stojącym na stoliku nocnym przy łóżku.

Czerwone, fluorescencyjne diody zamigotały, zmieniając się z 7:28 na 7:29.

- Cholera! - syknął Aaron.

Wyczuwając niepokój w głosie pana, pies z głuchym szczeknięciem obrócił się z powrotem na brzuch.

Aaron wyskoczył w panice z łóżka, zdając sobie sprawę, co oznacza tak późna pora.

- Cholera. Cholera. Cholera... Cholera! - powtarzał w kółko, zdejmując gorączkowo koszulkę z koncertu Dave'a Matthews'a, a potem rzucił ją na stertę brudnych ciuchów, zalegających w kącie. To samo zrobił ze spodniami od dresu. Był już spóźniony. I to bardzo.

Do późnej nocy uczył się do egzaminu z historii u pana Arslaniana, głowę miał zaprzętą szczegółami amerykańskiej wojny secesyjnej i z tego wszystkiego zapomniał nastawić budzik. Zostało mu niecałe pół godziny, żeby dotrzeć do bramy swojego liceum imienia Kennetha Curtisa przed pierwszym dzwonkiem.

Aaron rzucił się do szafy i z drugiej szuflady wyciągnął czystą bieliznę. W wiszącym na ścianie lustrze zobaczył Gabriela, który przyglądał mu się z ciekawością, rozwalony na łóżku.

- Najlepszy przyjaciel człowieka, pomyślałby kto! -burknął do psa z wyrzutem, w drodze do łazienki. - Jak mogłeś pozwolić mi tak zasnąć?

Pies przewrócił się na bok w zmiętej pościeli i ciężko ziewnął.

Aaron zdążył wziąć prysznic, umyć zęby i ubrać się w siedemnaście minut.

Jeszcze może się udać - pomyślał, zbiegając po schodach na dół, z przewieszonym przez ramię plecakiem pełnym książek. Jeśli zaraz wyjdzie z domu i będzie miał serię zielonych świateł na wszystkich skrzyżowaniach wzdłuż ulicy North Common, powinien znaleźć się na szkolnym parkingu tuż przed dzwonkiem.

Wydawało się to dość ryzykowne, ale innego wyjścia nie miał.

W przedpokoju zdjął z wieszaka kurtkę i już miał otworzyć drzwi, gdy poczuł na sobie wzrok Gabriela.

Pies stał za nim i przyglądał mu się z uwagą, przekrzywiając łeb w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: - Nie zapomniałeś o czymś?

Aaron westchnął. Pies musi zostać nakarmiony, i wyprowadzony, jak co rano. Zazwyczaj miał na to wystarczająco dużo czasu, ale nie dzisiaj.

- Nie mogę, Gabe - powiedział, przekręcając zamek w drzwiach. - Lori da ci śniadanie i zabierze cię na spacer.

Dopiero wtedy zdał sobie z czegoś sprawę. Tak się spieszył przed wyjściem z domu, że nie zauważył nieobecności swojej matki zastępczej.

- Lori?! - zawołał, cofając się o krok, a potem szybkim krokiem wszedł do kuchni. Gabriel podążył za nim jak cień.

To dziwne - pomyślał Aaron. W domu Stanleyów Lori przeważnie wstawiała pierwsza. Nastawiała budzik na piątą, parzyła kawę i robiła drugie śniadanie swojemu mężowi Tomowi, który o siódmej zaczynał zmianę w fabryce General Electric.

Kuchnia była pusta. Aaron z głodnym Gabrielem u boku pomaszerował do salonu.

W pokoju panował półmrok, zasłony we wszystkich czterech oknach były zaciągnięte. Ekran włączonego telewizora śnieżył. Siedmioletni przybrany brat Aarona Steve siedział przed ekranem, gapiąc się na niego, jakby oglądał najciekawszy program w historii amerykańskiej telewizji.

Na drugim końcu pokoju, pod ścianą z rodzinnymi fotografiami (nazywaną żartobliwie „ścianą wstydu”), w obitym skórą fotelu spała zastępcza matka Aarona. Uderzyło go, jak staro wygląda, skulona na fotelu w znoszonym, niebieskim szlafroku. Wtedy chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę z nieuchronności przemijania i pomyślał o dniu, w którym jej zabraknie. *Skąd mi to przyszło do głowy?* - zastanowił się, a potem odsunął tę myśl od siebie jak najdalej, starając się skupić na czymś przyjemniejszym.

Dla Aarona był to w sumie siódmy dom, odkąd przyszedł na świat. Jak powiedzieli wtedy pracownicy opieki społecznej: „To nie jest zły dzieciak, tylko trochę intro-wertyczny i ma trudny charakter”. Aaron uśmiechnął się na to wspomnienie. Nie sądził, że kolejny przystanek okaże się ostatnim. Spodziewał się raczej ósmego i dziewiątego domu, a może nawet i setnego, zanim dorośnie na tyle, żeby amerykański system opieki społecznej mógł machnąć na niego ręką i wypuścić go na wolność, by dalej radził sobie już sam.

Aaron poczuł nagły przypływ emocji, kiedy przypomniał sobie, ile dobra i ciepła przez te wszystkie lata ofiarowała mu ta kobieta i jej mąż. Bez względu na to, jak źle się zachowywał i jakie numery im wykręcał, nie odtrącali go, wręcz przeciwnie - inwestowali w niego swój czas, energię i przede wszystkim swoją miłość. Stanleyowie nie ograniczali się tylko do brania zasiłków opiekuńczych od państwa. Oni naprawdę się nim opiekowali i w końcu zaczęli traktować ich jak prawdziwych rodziców, których nigdy nie znał.

Gabriel, oblizując się, podszedł do chłopca siedzącego przed telewizorem - Aaron wiedział, że pies wykorzysta chwilę nieuwagi i pożre resztki śniadania Steviego. Ale chłopiec nie zareagował, tylko gapił się na migający ekran telewizora z szeroko otwartymi oczami i ustami.

Steven był jedynym biologicznym dzieckiem Stanleyów i cierpiał na autyzm - niezwykle i często nierozumiany stan psychiczny, w którym człowiek jest tak zaabsorbowany swoim własnym światem, że rzadko potrafi podejmować interakcję z tym, który go otacza. Chłopiec był dość niesforny i Lori musiała zostawać w domu, żeby się nim zajmować.

Lori leniwie przewróciła się na prawy bok i otworzyła oczy.

- Stevie? - spytała półprzyciemnie, szukając zaspianym wzrokiem młodszego syna.

- Ogląda swój ulubiony program. - Aaron wskazał palcem chłopca i siedzącego przy nim Gabriela. A potem przyjrzał się matce. - Wszystko w porządku?

Lori przeciągnęła się, a potem otuliła szczelniej szlafrokiem i uśmiechnęła się do niego.

- Wszystko w porządku, skarbie, jestem tylko trochę zmęczona. - Kiwnęła głową w stronę chłopca siedzącego przed telewizorem. - Steven miał dzisiaj ciężką noc i jedyne, co go uspokajało, to ten włączony ekran.

To mówiąc, rzuciła okiem na wiszący na ścianie zegar.

- Już tak późno? Co ty tu jeszcze robisz? Spóźnisz się do szkoły.

Aaron chciał jej wszystko wyjaśnić, ale matka wstała z fotela i zaczęła delikatnie, choć stanowczo wypychać go z pokoju.

- Uczyłem się do późna, zapomniałem nastawić budzik i...

- Opowiesz mi później - powiedziała, kładąc mu dłoń na plecach.

- Czy mogłabyś nakarmić...

Oczywiście, wyprowadzę go też na spacer - powiedziała Lori, ucinając rozmowę. - A teraz jedź do szkoły i zdaj ten test z historii.

Aaron był już w drzwiach, kiedy usłyszał, jak matka go woła. W jej głosie brzmiało coś na kształt lekkiej paniki.

Aaron wsadził głowę z powrotem do środka.

- Prawie zapomniałam - powiedziała Lori, trzymając w jednej ręce miskę Gabriela, a w drugiej worek z suchą karmą. Pies stał cierpliwie u jej boku, z otwartego pyska na przednie łapy kapłała mu ślina.

- O co chodzi? - Aaron poczuł, że powoli zaczyna tracić cierpliwość.

Lori uśmiechnęła się.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedziała i przesłała mu w powietrzu całusa. - Miłego dnia!

Moje urodziny - pomyślał Aaron, zamykając za sobą drzwi, i ruszył w stronę auta.

Przez ten cały poranny pośpiech on też zapomniał.

Aaron wślizgnął się do klasy w momencie, kiedy przez archaiczny radiowęzeł nadawano standardowe komunikaty dyrekcji.

Panna Mihos, najstarsza matematyczka w szkole, której do emerytury brakowało kilka miesięcy, podniosła głowę znad egzemplarza *Family Circle* i obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Bardzo przepraszam - wymamrotał Aaron, zajmując szybko swoje miejsce. Zdążył już się nauczyć, że im mniej się dyskutuje z panną Mihos, tym lepiej. Jej zasady były proste i czytelne: przychodzić punktualnie na lekcje, usprawiedliwiać na kartce swoje nieobecności i za żadne skarby nie zgrywać mądrali. Aaron przypomniał sobie, jak Tommy Philips, który teraz siedział w jednej z tylnych ławek, trzymając buzię na kłódkę, próbował kiedyś być zabawny. Usprawiedliwił pisemnie jedną ze swoich nieobecności, wykorzystując do tego celu jakąś śmieszną anegdotę i skończyło się to dla niego tym, że przez tydzień musiał zostawać po lekcjach. Nie było nic gorszego, niż zgrywać mądralę przed starą matematyczką. Aaron zerknął w jej stronę i zobaczył, że panna Mihos szuka czegoś w dzienniku -prawdopodobnie chciała zmienić status jego obecności. Gdy rozległ się dzwonek na przerwę, Aaron odetchnął z ulgą. *Może jednak to wszystko nie skończy się dzisiaj jakąś katastrofą.* Pierwsza godzina zajęć z literatury amerykańskiej minęła bez problemów, ale w połowie trzeciej lekcji, akurat podczas pisania testu u pana Arslaniana, Aaron doszedł do wniosku, że był jednak zbyt optymistą. Nie tylko nie potrafił sobie przypomnieć pewnych rzeczy, których uczył się wieczorem, ale na domiar złego potwornie rozboleła go głowa. Czuł w środku jakieś koszarne wibracje, jakby ktoś włączył mu pod czaszką elektryczną maszynkę do golenia. Potarł z furią brwi, próbując skoncentrować się nad społecznymi i politycznymi następstwami niepokojów społecznych, które przeszły do historii pod nazwą Richmond Bread Riot. Fascynacja Arslaniana mało znanymi faktami z wojny secesyjnej przyprawi go kiedyś o tętniaka.

Reszta klasy oddała testy w okamgnieniu - tak szybko, że Aaron zaczął się nawet zastanawiać, czy aby w między czasie nie stracił przytomności albo nie został uprowadzony przez kosmitów. Udało mu się odpowiedzieć wyłącznie na pytania dotyczące tekstu źródłowego, kiedy rozległ się dzwonek kończący zajęcia. Mimo wszystko poczuł ulgę, a nieznośny ból głowy zaczął jakby ustępować. Szybko przejrzał, co do tej pory udało mu się napisać. Nie był to może szczyt jego możliwości, ale biorąc pod uwagę, jak się czuł, nie było też najgorzej.

- Chętnie dałbym panu jeszcze kilka godzin, aby mógł mi pan oddać test przewiązany piękną różową kokardą, panie Corbet...

Aaron znów się zamyślił. Gdy podniósł głowę, zobaczył potężną sylwetkę profesora Arslaniana, który stał przy jego ławce z wyciągniętą ręką.

- Ale moja żona zrobiła wczoraj na kolację pysznego indyka i zostały mi jeszcze jakieś resztki w pokoju nauczycielskim.

Aaron gapił się na niego bez słowa, a szum w jego głowie stał się znów nieznośny.

- Pański test, panie Corbet - zniecierpliwiał się nauczyciel.

Aaron zebrał się w sobie i podał mu plik kartek. Potem pozbierał książki i chciał wyjść z klasy, ale kiedy się podniósł, poczuł jak świat zawirował mu przed oczami. Na wszelki wypadek przytrzymał się ławki.

- Dobrze się pan czuje, panie Corbet? - spytał Arslanian, który zdążył już wrócić za swoją katedrę. - Jest pan trochę błądy.

Aaron zdziwił się, że jest „tylko” błądy. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, jakby z uszu i nosa miała mu zaraz trysnąć krew. Czuł się koszmarnie.

- To ból głowy - wymamrotał po drodze do drzwi.

- Niech pan weźmie tylenol - zawołał za nim profesor. - I zimny okład na głowę. Mnie to zawsze pomaga.

Na Aslaniana można liczyć w każdej sytuacji - pomyślał Aaron, stąpając ostrożnie, jakby bał się, że czaszka eksploduje mu lada moment na tysiąc kawałków, przyozdabiając ściany krwawym graffiti.

Klatkę schodową płynął tłum młodych ludzi, którzy wchodzili, wychodzili, albo po prostu stali w małych grupkach przed swoimi szafkami, wymieniając najświeższe ploteczki. *To niewyobrażalne* - pomyślał z sarkazmem Aaron - *jak wiele brudu może wypłynąć na powierzchnię w czasie jednej, pięćdziesięciminutowej przerwy*. Przeciskał się powoli przez płynący tłum. Postanowił, że odłoży książki do szafki, a potem pójdzie do gabinetu szkolnej pielęgniarki i poprosi o coś na ból głowy. Ból stawał się bowiem nie do zniesienia. Teraz Aaronowi wydawało się, że ktoś stroi w jego głowie stare radio tranzystorowe. Manewrując między grupkami stojących uczniów, wymieniał okazjonalne uśmiechy lub skinienia głowy, ale nieliczni, którzy go rozpoznawali, robili to wyłącznie z grzeczności. Aaron wiedział, że koledzy i koleżanki uważali go za cichego, samotnego faceta z mroczną przeszłością. On sam zaś nie robił nic, by ta obiegowa opinia na jego temat uległa zmianie. Aaron nie zdobył w szkole żadnych przyjaciół, jedynie znajomych, którzy nie mieli dla niego większego znaczenia. W końcu udało mu się przecisnąć do swojej szafki i zaczął wstukiwać kod.

Pomyślał, że może kiedy coś zje, poczuje się trochę lepiej. W końcu nie miał nic w ustach od zeszłej nocy. Otworzył szafkę i zaczął pakować do środka książki. Raptem usłyszał dziewczęcy śmiech. Obrócił się i zobaczył Vilnę Santiago, która stała przy swojej szafce z trzema koleżankami. Gapiły się w jego stronę, ale szybko odwróciły wzrok i zachichotały konspiracyjnie. *Co je tak rozbawiło?* - zastanowił się Aaron.

Rozmawiały na tyle głośno, że wszystko słyszał. Problem polegał jednak na tym, że mówiły po portugalsku i Aaron nie miał pojęcia, o czym tak zawzięcie plotkują. Dwa lata nauki francuskiego okazały się średnio przydatne, jeśli chodzi o podsłuchiwanie nastoletnich Brazylijek.

Vilma była jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widział. W ubiegłym roku przeniosła się do liceum Kena Curtisa z Brazylii i w ciągu zaledwie kilku miesięcy stała się jedną z najlepszych uczennic w szkole. Była inteligentna i piękna zarazem - iście piorunująca mieszanka, która skutecznie go onieśmiała. Vilma i Aaron widywali się niemal codziennie na korytarzu, ale nigdy nie zamienili ze sobą ani jednego zdania. Nie to, żeby Aaron nie chciał z nią pogadać. Po prostu nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Obrócił się, żeby poukladać książki w szafce i po raz kolejny poczuł na sobie ich wzrok. Tym razem szeptały między sobą, a on czuł, że popada w coraz większą paranoję.

- *Ele não é nada feio. Que bunda!*

W tym momencie poczuł w głowie oślepiający ból, jakby ktoś wbił mu w czaszkę szpikulec do lodu. Było to tak potwornie bolesne, że prawie się rozplakał - czym z pewnością naraziłby się na kolejny wybuch śmiechu.

Oparł więc czoło o chłodny metal szafki i modlił się, żeby ból ustąpił. *Nie może przecież boleć tak bardzo w nieskończoność* - pocieszał się w myślach. W miarę jak szepty brazylijskich dziewczyn stawały się coraz głośniejsze, w jego mózg wbijały się tysiące szklanych igieł. Pomyślał, że zaraz zemdleje - przed oczami wirowały mu kolorowe wzory, a ból ciągle narastał. Dokuczliwie brzęczenie w głowie eksplodowało z całą mocą, a obwody w mózgu Aarona doznały nagłego spięcia. Zanim jednak zdążył stracić przytomność - ból raptem ustał. Aaron stał nieruchomo i czekał, bojąc się, że z każdym ruchem agonია może powrócić. *Co to wszystko miało znaczyć?* - zadał sobie pytanie i dotknął ostrożnie nosa, żeby sprawdzić, czy nie puściła mu się krew. On w ogóle nie jest brzydki. Co za tyłek!

Nie było krwi. Wszystko ustało. Żadnego bólu ani ogłuszającego szumu w głowie. Prawdę mówiąc, Aaron czuł się teraz lepiej niż przez całe przedpołudnie. *Może to tylko część skomplikowanych zmian biologicznych, które zachodzą w moim organizmie po osiągnięciu pełnoletności* - zastanowił się, przypominając sobie po raz kolejny, że dziś są jego urodziny. Gdy zamknął z trzaskiem drzwiczki szafki, zorientował się, że Vilma i jej dziewczyny wciąż rozmawiają. *Estou cansada de pizza. Semanapassada, nós comemos pizza, quase todo dia.* Dyskutowały nad możliwymi wariantami obiadu - stołówka kontra pizzeria w kampusie studenckim. Vilma chciała iść do stołówki, jej koleżanki obstawały przy pizzy. Aaron odwrócił się, zastanawiając się, czy powinien jeszcze zgłosić się do pielęgniarki i wtedy ich oczy się spotkały. Vilma uśmiechnęła się nieśmiało, po czym szybko spuściła wzrok.

Jej koleżanki zauważyły to jednak i zaczęły ją męczyć niemiłosiernie.

Porqué? Você está pensando que una certopessoa vai estar no refeito rio hoje? Czy to z powodu tego chłopaka stojącego nieopodal chciała jeść w szkolnej stołówce? - dociekały. Aaron poczuł jak oblewa go zimny pot. Jego podejrzenia spełniły się. Dziewczyny rozmawiały o nim.

- *É, e dai? Eu acho que ele é un tesão* - odparła Vilma i zerknęła znowu w jego stronę. Teraz już wszystkie cztery dziewczyny wgapiały się niego bez skrępowania. Nagle w głowie Aarona zaświtała przerażająca myśl. Vilma i jej przyjaciółki nadal rozmawiały po portugalsku

- ale teraz jakimś cudem rozumiał każde ich słowo. Najbardziej jednak zaskoczyło go to, co powiedziała Vilma.

- *Eu acho que eie é un tesão.*

Powiedziała, że jest przystojny.

Vilma Santiago uważała go za przystojniaka!

ROZDZIAŁ 2

Na tyłach budynku Kliniki Weterynaryjnej West Lynn, w której Aaron pracował po szkole, szary, cętkowany chart imieniem Hunter z wielkim zainteresowaniem obwąchiwał pożółkłą, jakby wypaloną trawę.

- Ktoś znajomy? - Aaron spytał psa, wyciągając rękę, żeby pogłaskać go po grzbiecie, tuż za długim, przypominającym pejcz ogonem.

W odpowiedzi pies odwrócił się i zamerdał ogonem, po czym jakiś ukryty w trawie zapach przykuł jego uwagę.

Aaron spojrział na zegarek. Było dopiero wpół do dziewiątej a on czuł się kompletnie wyczerpany. Miał nadzieję, że Hunter, który po usunięciu piłki tenisowej z jelita grubego cierpiał na zaparcie, w końcu zrobi to, co powinien. Wtedy Aaron będzie mógł wrócić do domu, coś zjeść, odrobić lekcje na jutro i położyć się wreszcie do łóżka. Pies pociągnął go w zacienione miejsce, cały czas z nosem przykutym do ziemi, po czym zrobił kilka kółek i w końcu się załatwił.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - burknął pod nosem Aaron, spoglądając w niebo. - Ktoś tam jednak musi mnie lubić.

Zaciągnął Huntera z powrotem do kliniki, rozmyślając, po drodze o tym niezwykłym dniu, który właśnie dobiegał końca. Gdy przypomniał sobie scenę z Vilma i jej koleżankami, poczuł w żołądku lekkie mdłości.

A może się pomylił, pomyślał, otwierając drzwi. Może dziewczyny przeszły z portugalskiego na angielski? *Nie* — pokręcił głową. *Nie, na pewno słyszałem portugalski i rozumiałem go. Ale jak to możliwe?*

Hunter wpadł do pomalowanego w żywe kolory hol-u, z radością drapiąc pazurami po śliskich kafelkach, jakby miał na łapach buty do stepowania. Ucieszył się na widok Michelle, asystentki weterynarza, która czekała tam na niego.

- No i jak - dziewczyna spytała wielkiego psa, opierając ręce na biodrach - udało nam się?

Złapała Huntera za łeb i zaczęła tarmosić go za uszami. Pies był w siódmym niebie. Wtulił się w nią, domagając się więcej pieszczot.

- Udało się? - Michelle spytała ponownie.

Aaron zdał sobie sprawę, że pielęgniarka nie mówi już do psa, tylko do niego. To wyrwało go z zamyślenia.

- Przepraszam - powiedział. - Tak, misja zakończyła się sukcesem. Wprawdzie będzie chyba potrzebny ciężki sprzęt, żeby to posprzątać, ale Hunter zrobił, co miał zrobić.

Michelle zmarszczyła nos i podeszła do biurka recepcjonistki.

- Faj. Przypomnij mi, żeby przez jakiś czas nie wychodziła na dwór. - To mówiąc, wyciągnęła z regału jedną z teczek i otworzyła ją. - Sporządę notatkę dla doktora Krisa. Myślę, że nasz długonogi, czworonożny przyjaciel będzie jutro zdrow jak ryba.

Aaron ledwo słyszał, co powiedziała do niego dziewczyna, która była chyba jedyną przyjaciółką, jaką do tej pory miał w życiu. Rozmyślał znów o tym, co przydarzyło mu się w szkole. Musiało przecież istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie. Może miało to jakiś związek z bólem głowy?

- Ziemia wzywa Corbeta - usłyszał głos Michelle, która przyłożyła do ust zwinięte dłonie, tak żeby jej głos brzmiał jak przez megafon. - Tutaj stacja kontroli misji. Wygląda na to, że jeden z astronautów zaginął w kosmosie.

Aaron uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Wybacz, to był długi dzień i jestem skonany. Michelle odwzajemniła uśmiech i odłożyła teczkę z powrotem na regał.

- W porządku, ja tylko żartowałam - powiedziała, odgarniając z twarzy opadające do ramion włosy z kolorowymi pasemkami. - Zły dzień w szkole, czy co?

Oboje zaczęli pracować w klinice mniej więcej w tym samym czasie i dobrze im się układało. Michelle powiedziała Aaronowi, że przypomina jej byłego chłopaka: wysokiego, ponurego bruneta, który jako pierwszy z wielu złamał jej serce. Była od niego starsza o pięć lat i powtarzała często, że czas spędzony w liceum wiązał się dla niej z najgorszymi wspomnieniami w życiu, dlatego ma spore doświadczenie w kwestiach buntu i frustracji u nastolatków. To samo powiedziała mu teraz.

- Oczywiście, jeśli weźmiemy pod uwagę pani wiek, śmiało możemy uznać, że zalicza się pani do najbardziej

oświadczonych ekspertów w tej dziedzinie - odparł Aaron, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. - Zaprowadzę Huntera do klatki i możemy się zbierać.

Siłą wyciągnął charta zza biurka, gdzie ten obwąchiwał kosz na śmieci, i zaprowadził go do drzwi, za którymi znajdowały się kojce dla psów.

- Hej, Aaron - usłyszał za plecami głos Michelle. Obrócił się.

- Co tym razem?

Michelle przyglądała mu się przez chwilę.

- Na pewno wszystko w porządku? Może chcesz o czymś porozmawiać?

Propozycja podzielenia się wrażeniami z tego nieprawdopodobnego dnia brzmiała kusząco, lecz Aaron wolał zrezygnować. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było to, żeby Michelle uznała go nie tylko za „mrocznego bruneta”, ale też za „przystojnego psychopatę”.

- Nic mi nie jest, naprawdę - zapewnił ją. - Jestem tylko zmęczony.

Otworzył drzwi i zaprowadził Huntera do psiarni. Było to duże pomieszczenie, wypełnione klatkami o najróżniejszych wielkościach - duże klatki dla dużych psów, małe zaś dla tych, które doktor Bufman niezbyt pieszczotliwie nazywał szczeniopsami. Aaron zaprowadził Huntera na jego miejsce, pożegnał się z nim i innymi psami, a potem udał się do części dla personelu, gdzie zostawił swoje rzeczy. Zdjął niebieską koszulę, którą w pracy zakładał na T-shirt, i powiesił ją na wieszaku.

Ze zmęczenia miał wrażenie, jakby poruszał się w zwolnionym tempie. *To tak wygląda starzenie się? Aż boję się pomyśleć, co będzie po trzydziestce.* Przewiesił plecak z książkami przez ramię i zmusił się jakoś, żeby wrócić powrotem do holu kliniki. Po raz kolejny spojrzął na zegarek. Za kwadrans dziewiąta. Jeśli uda mu się do-trzec do domu przed dziewiątą, zjeść coś szybko i odrobić chociaż część zadań, jest szansa, że wyląduje w łóżku o wpół do jedenastej. Sen - taki plan wydawał się zachęcający.

Przed oczami stanął mu znowu obraz śniadego chłopca z jego snu, rozrywanego na strzępy przez skrzydlate anioły. Zaskoczony Aaron się wzdrygnął.

Może daruję sobie lekcje i od razu się położę - pomyślał, trochę wyprowadzony z równowagi tym nagłym wspomnieniem. *Muszę dać odpocząć szarym komórkom.*

Kiedy dotarł do recepcji, zobaczył stojącą przy biurku kobietę, a przy jej nodze szczeniaka owczarka niemieckiego. Michelle, która trzymała w ręku teczkę, popatrzyła wymownie w stronę Aarona. Wyraz jej twarzy wskazywał wyraźnie, że jest zdenerwowana.

- To jest pani Dexter - powiedziała, bawiąc się plikiem otwartych dokumentów. - Sheba ma zostać wy-sterylizowana jutro rano. Pani Dexter miała ją przyprowadzić wcześniej, ale zapomniała.

Aaron na chwilę zamknął oczy i westchnął. Perspektywa położenia się do łóżka o sensownej porze oddalała się nieubłaganie.

- Tak mi przykro - zaczęła się usprawiedliwiać pani Dexter. - Kompletnie straciłam poczucie czasu i... - Pies tymczasem obwąchiwał podłogę i ciągnął z całej siły smycz, niemal przewracając swoją panią.

Aaron przestał słuchać wymówek kobiety i położył torbę na podłodze. Sięgnął za biurko i wyjął teczkę z rąk Michelle.

- Idź do domu. Zajmę się tym - powiedział.

- Jesteś pewien? - Michelle sięgnęła po torebkę przewieszoną przez oparcie fotela. - Mogłabym zostać trochę dłużej, ale umówiłam się na wieczór i...

Aaron pokręcił głową.

- Nie ma sprawy. Zmykaj. Jeszcze będzie okazja do rewanżu.

Michelle uśmiechnęła się przelotnie i wyszła zza biurka.

- Dzięki, Aaron. Masz tu wszystko, czego ci potrzeba. Dobranoc.

Aaron pomachał jej na pożegnanie, a potem wrócił z powrotem do otwartej teczki.

- Dobrze - wyjął ze środka plik dokumentów. - Proszę to wypełnić.

Pani Dexter wzięła od niego formularze. Puściła smycz i pozwoliła psu pokręcić się trochę po holu.

- Naprawdę, bardzo przepraszam. - Wyjęła z torebki okulary i włożyła je sobie na nos. - Miałam nadzieję, że kogoś tu jeszcze zastanę. - To mówiąc, zaczęła wypełniać pierwszą stronę dokumentu. - Szczęściarz z pana, co?

Sheba ostrożnie podeszła do Aarona i zamachała nie-śmiało ogonem, choć nadal miała stulone uszy.

- Rzeczywiście, szczęściarz ze mnie. - Aaron wyciągnął do suki rękę, którą ta najpierw obwąchała, a potem polizała. Aaron zaczął ją delikatnie głaskać.

Zanim pani Dexter wypełniła wszystkie dokumenty i zaczęła szykować się do wyjścia, minęło kolejne dwadzieścia minut.

- Shebie nic nie będzie - Aaron zapewnił przejętą właścicielkę, otwierając jej drzwi. - Doktor przeprowadzi zabieg z samego rana. Proszę zadzwonić koło południa, wtedy dowie się pani, czy wszystko w porządku i kiedy Sheba będzie mogła wrócić do domu. Kobieta zatrzymała się w drzwiach, by uściskać swoją ukochaną suczkę i ucałować ją w czoło.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała. - I przepraszam, że trzymałam pana tak długo.

Aaron poczuł nagle wyrzuty sumienia. Ciężko jest się złościć na kogoś, kto okazuje zwierzętom taką miłość.

Sheba, patrząc jak jej pani wychodzi bez niej i wsiada do samochodu, zaczęła cichutko piszczeć.

- Wszystko w porządku, mała - uspokoił ją Aaron i pociągnął delikatnie za smycz. - Chodź, znajdziemy jakieś miejsce do spania. Mamy tu komfortowe warunki, a już na pewno nie będzie ci doskwierać samotność.

Zaprowadził ją do psiarni. Zapach innych psów musiał być dla Sheby oszłamiający, bo podkuiliła ogon między trzęsącymi się łapami i schowała się za Aaronem.

- Już dobrze - powiedział Aaron. I wtedy rozpętało się piekło.

Wszystkie psy zaczęły ujadać jak oszalałe, rzucając się na ściany swoich klatek i z wściekłością drapiąc pazurami podłogę.

Sheba skuliła się jeszcze bardziej. Popatrzyła na Aarona, a potem z powrotem na rozwścieczone psy, jakby chciała powiedzieć: - Co im wszystkim odbiło?

Aaron nie miał pojęcia, co się stało. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywały. Może Sheba czymś je sprowokowała. A może mieszkała w domu z innym, bardziej agresywnym psem i one to wyczuły. Ale teraz skomlała tak żałośnie, że Aaron musiał wyciągnąć rękę i pogłaskać ją po głowie.

Szczekanie nie ustąpiło, wręcz przeciwnie - przybrało na sile. Aaron poczuł, że jego gniew też się wzmaga.

Tylko tego mu było trzeba. Nie dość, że było późno, to jeszcze teraz musiał stawić czoła temu chaosowi. *Co ja mam zrobić?* - spytał sam siebie. *Nie mogę przecież zamknąć tu tego biednego psa, kiedy inne zachowują się jak... jak zwierzęta.*

- Spokój! - krzyknął.

Ujadanie trwało nadal. Niektóre z wyżej położonych klatek zaczęły się chwiać pod naporem oszalałych psów.

Sheba skuliła się ze strachu pod drzwiami, chcąc uciec jak najszybciej i jak najdalej stąd. Aaron nie mógł jej za to winić.

- Cisz! - krzyknął, tym razem głośniejszym głosem, starając się, żeby jego głos zabrzmiał władczo.

Młody owczarek zaczął drapać pazurami w drzwi, żłobiąc w drewnie głębokie bruzdy. Aaron złapał Shebę za obrozę i odciągnął od wyjścia. Przeżona suka zsikała się na podłogę, którą osobiście wycierał nie dalej jak kilkadziesiąt minut temu, na zakończenie dnia.

Aaron poczuł, jak jego skronie zaczynają pulsować bólem. Smród uryny, unoszący się w powietrzu sprawiał, że przewracało mu się w żołądku. Nie mógł już tego dłużej znieść.

- Zamknijcie się albo wszystkie was pousypiam! -wrzasnął, a jego donośny głos odbił się echem w całym mieszczeniu wyłożonym białymi kafelkami.

W psiarni momentalnie zapadła całkowita cisza. Wszystkie psy zamilkły w tej samej chwili, jakby przestraszyły się słów Aarona.

Jak gdyby zrozumiały, co miał na myśli.

*

Była już prawie jedenasta, kiedy chłopak wrócił do domu. Wyjął klucz z zamka i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Stanął w przedpokoju, zamknął oczy i wziął głęboki wdech, rozkoszując się panującą w domu ciemnością. Czuł, jak jego organizm przechodzi powoli w stan uśpienia.

Po tym, jak wybuchnął w klinice, psy nie sprawiały mu już kłopotu. Kiedy wsadził Shebę do klatki i wytarł podłogę, było już słycać jedynie ciche skomlenie. Zwierzęta musiały wyczuć, że nie żartował. Mimo to ich zachowanie wydało mu się dziwne. Ale czego się tu spodziewać po takim zwariowanym dniu.

Aaron powlókł się do kuchni. Rozczarowało go, że Gabriel nie wybiegł mu na powitanie, ale uznał, że pies musiał pójść do łóżka z rodzicami, kiedy uśpili już Ste-viego. Pies nie spuszczał z oka autystycznego dziecka, jakby wiedział, że wymaga ono specjalnej opieki i troski.

Nad kuchenką paliło się światło, a do lodówki magnesem w kształcie głowy kota przyczepiona była karteczka. Lori napisała, że wszyscy poszli już spać i zostawili mu kolację w piekarniku. A w jadalni czeka na niego mała niespodzianka. Aaron uśmiechnął się.

Używając kuchennej rękawicy, Aaron wyjął z piekarnika zawinięty w folię talerz i poszedł z nim do jadalni. Kiedy usiadł na kanapie, zauważył niebieską kopertę, która opierała się o czekoladowe ciastko z wetkniętą weń świeczką. Wziął kartkę do ręki, zastanawiając się, czy po-

winien zapalić sobie tę świeczkę i zaśpiewać „Sto lat”. Chyba nie był w stanie wykrzesać z siebie tyle energii.

Na kartce widniała komoda, należąca zapewne do jakiegoś młodego człowieka, udekorowana mnóstwem najróżniejszych trofeów i wyróżnień sportowych. Pod spodem znajdowała się dedykacja: „Dla syna - zwycięzcy”. Otworzył kartkę, przeczytał kilka ckliwych zdań o idealnym chłopcu, który stał się mężczyzną i przewrócił oczami. Co roku Lori kupowała mu najgłupszą kartkę, jaką tylko udało jej się znaleźć. On odwzajemniał się jej tym samym na urodziny i Dzień Matki. W kopercie był też nowiutki banknot pięćdziesięciodolarowy. Aaron westchnął. Wiedział, że jego przybranych rodziców nie stać na takie prezenty, ale zdawał sobie też sprawę, że nie ma sensu oddawać im tych pieniędzy. Próbował wcześniej, ale rodzice nie chcieli o tym słyszeć i nalegali, żeby kupił sobie za to coś wyjątkowego. Dokończył obiad składający się z klopsa, puree ziemniaczanego i groszku, a teraz zmywał naczynia, zastanawiając się, co dalej. Organizm domagał się snu, ale zdrowy rozsądek nakazywał zająć się, choć przez chwilę, lekcjami.

Powoli, opierając się ciężko na poręczy, Aaron wdrapał się po schodach do sypialni, po drodze wpychając sobie do ust ostatnie okruszki czekoladowego ciasta. Był tak zmęczony, że odsuwał od siebie jakąkolwiek myśl o tym, że mógłby jeszcze zdobyć się na naukę. Drzwi do pokoju Steviego były uchylone, a nocna lampka na stoliku przy łóżku rzucała delikatną poświatę na schody. Po cichu wsadził głowę do pokoju, żeby sprawdzić, czy chłopiec dobrze śpi. U stóp łóżka warował Gabriel, który na widok Aarona zaczął dziko wymachiwać ogonem. Aaron na palcach wszedł do pokoju i pogłaskał psa po głowie.

Stevie mamrotał coś przez sen. Aaron ostrożnie nakrył go kołdrą po samą szyję. Przyglądał mu się przez moment, potem delikatnie pogłaskał brata po policzku i odwrócił się w stronę drzwi.

W drzwiach skinął głową na Gabriela. Robił tak co wieczór. Pies kładł się przy Stevenie, ale kiedy chłopiec zasypiał, resztę nocy spędzał z Aaronem.

Psisko zerwało się na równe nogi i niemal bezszelestnie podążyło za swoim panem. Patrząc na Gabriela.

Aaron przypomniał sobie, jak zobaczył go po raz pierwszy, przywiązanego na jednym z podwórek przy Mal Street. Jego jasnożółte, prawie białe futro było oblepione brudem i błotem. Gabriel był wtedy taki malutki, niczym nie przypominał giganta, którym jest dzisiaj. Idąc do

swojego pokoju, Aaron usłyszał głos spikera wiadomości telewizyjnych, dobiegający z sypialni rodziców po drugiej stronie korytarza. Wiedział, że telewizor wyłączy się sam o północy. Odkąd Aaron sięgał pamięcią, Tom i Lori zawsze kładli się do łóżka bardzo wcześnie i zasypiali przed ekranem.

Drzwi do jego sypialni były zamknięte. Aaron otworzył je i puścił przodem psa. Gabriel wskoczył na łóżko spojrzął na niego czarnymi, wesołymi ślepiami. Sapał merdał ogonem, a z pyska zwisał mu długi różowy język.

Aaron uśmiechnął się i zamknął drzwi. Kiedy przyniósł Gabriela do domu, szczeniak był tak mały, że nie potrafił samodzielnie wdrapać się na łóżko. Teraz trudno było bestię stamtąd wypędzić. Zastanawiał się często, co stałoby się z psem, gdyby nie wykradł go z tamtego podwórka pod osłoną nocy. Chodziły słuchy, że mieszkańcy kamienicy czynszowej, do której przynależało podwórko, byli członkami jednego z gangów ulicznych, Kradli psy w okolicy, a potem tresowali do nielegalnych walk z udziałem pitbulli. Kiedy Aaron po raz pierwszy spojrzął w przejmujące oczy Gabriela, wiedział już, że nie pozwoli, by temu psu stała się krzywda. Od tamtej pory stanowili zgrany, nierozzerwalny duet.

Aaron zdjął buty i padł na łóżko. Nie pamiętał już, kiedy był tak zmęczony. Czuł, jak ciężkie powieki zamykają się same i wiedział, że za chwilę odpłynie w sen.

Pies wciąż stał nad nim, merdając radośnie ogonem i wprawiając łóżko w delikatne wibracje - podobne do tych w hotelowych łóżkach na monety, które widział w filmach.

- Co jest, Gabe? - spytał, nie otwierając nawet oczu. Pies zeskoczył z łóżka i zaczął się kręcić po pokoju.

Aaron jęknął. Dobrze wiedział, co to oznacza. Pies szukał zabawki.

Modlił się, żeby poszukiwania Gabriela nie przyniosły rezultatu, ale bóg psich zabawek, zwłaszcza tych gumowych i piszczących, rzadko wysłuchiwał jego próśb.

Ważący prawie czterdzieści kilogramów labrador wskoczył na łóżko. Nawet mimo zamkniętych oczu, Aaron wiedział, że Gabriel stoi teraz nad nim z czymś w pysku i czeka na zabawę.

- Czego chcesz, Gabriel? - wymamrotał, chociaż doskonale wiedział, że rozmawia z psem.

Ku swojemu bezgranicznemu zdumieniu, doczekał się jednak odpowiedzi.

- *Chcę się pobawić piłką* - odparł bardzo wyraźnie i precyzyjnie Gabriel.

Aaron otworzył oczy i spojrzał prosto w wyszczerzony w uśmiechu pysk zwierzęcia. Nie miał już żadnych wątpliwości. Dzień, który nie zapowiadał nic niezwykłego, skończył się dla niego całkowitym szaleństwem. Aaron rzeczywiście popadał w obłąd.

ROZDZIAŁ 3

Doktor Jonas ucieszył się na jego widok. - Nie należysz do ludzi, których spodziewałbym się tu o godzinie ósmej trzydzieści rano w piątek, Aaronie - powiedział krzepki mężczyzna, podchodząc do biurka. Zdjął sportową marynarkę i powiesił ją na stojaku w kącie gabinetu. - Ile to już minęło? - spytał psychiatra, po czym uśmiechnął się ciepło i zaczął otwierać papierową torbę, którą przyniósł ze sobą.

Aaron stał przed biurkiem i rozglądał się po gabinecie. Nie zmienił się on zbytnio od jego ostatniej wizyty.

Ściany w kolorze kremowym, a na jednej z nich reprodukcja Moneta, zakupiona w muzealnym sklepie z pamiątkami - nie potrafił sprecyzować dlaczego, ale obraz ten działał na niego kojąco.

Doktor Michael Jonas opiekował się nim od czasu, kiedy trafił do rodziny Stanleyów, i Aaron zawdzięczał mu wiele dobrego. To dzięki niemu nauczył się akceptować rzeczywistość i radzić sobie z wieloma zakrętami w życiu, które nigdy go nie rozpieszczało. Z czasem Jonas stał się dla niego kimś w rodzaju przyjaciela i Aaron odczuwał teraz nawet pewne wyrzuty sumienia, że nie dbał należycie o kontakt ze swoim lekarzem.

- Nie mam pojęcia, może z pięć lat - odpowiedział Aaron.

Jonas potrząsnął kędzierzawą czupryną i uśmiechnął się zza długiej, szpakowatej brody.

- Aż tyle? - zdumiał, wyjmując z torby banana i małą butelkę soku pomarańczowego. - Szybko zleciało.

Ale tak to już jest, że kiedy sam dobijasz do czterdziestki, to nawet dinozaury nie wydają się aż tak stare. Jonas zaśmiał się z własnego żartu, a potem usiadł w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, za swoim po-ężnym dębowym biurkiem. Wskazał Aaronowi banan i sok. - Zjesz ze mną śniadanie? Gdzieś tu powinienem mieć względnie czysty kubek.

Aaron grzecznie odmówił i usiadł naprzeciwko.

- Rozgość się - powiedział lekarz, po czym odkręcił butelkę z sokiem i pociągnął solidny łyk. - W takim razie, jeśli nie przywiódł cię tu głód, musiałeś opuścić zajęcia w szkole z jakiegoś innego, bardzo ważnego powodu. O co chodzi, Aaronie? Jak mogę ci pomóc?

Aaron nabrał powietrza, a następnie wypuścił je powoli, zbierając się w sobie. Nie chciał, żeby jego relacja z ostatnich dwudziestu czterech godzin przypominała chaotyczny bełkot jakiegoś wariata. No bo jak racjonalnie wytłumaczyć, że nagle zaczynasz rozumieć obce języki - aha, no i rozmawiasz z własnym psem.

- Wszystko w porządku? - upewnił się Jonas, obierając banan ze skórki. Uśmiechał się przy tym, ale w jego głosie słychać było też skupienie.

Aaron poprawił się nerwowo na krześle.

- Nie wiem - odparł niepewnie.

- W takim razie powiedz mi, co cię trapi. - Jonas odłamał końcówkę banana i ugryzł owoc.

Aaron ścisnął mocniej poręczę fotela, oparł się wygodnie i zaczął swoją opowieść.

- Nie jestem pewien, co się ze mną dzieje... ale chyba przechodzę jakieś załamanie nerwowe.

Psychiatra napił się znowu soku.

- Szczerze mówiąc, bardzo wątpię - ocenił - ale jeśli zechcesz mi to wyjaśnić, będę wdzięczny.

Aaron, bardzo ostrożnie dobierając słowa, opowiedział doktorowi wczorajsze zdarzenie z Vilną i jej koleżankami na szkolnym korytarzu. Nie omieszkął wspomnieć, że zanim nagle zaczął rozumieć portugalskie dialogi, doskwierał mu okropny ból głowy. W tym miejscu zdecydował się zakończyć, pomijając wieczorny incydent z Gabrielem.

Przez większość czasu Aaron wbijał wzrok w podłogę, dopiero pod koniec swojej historii stopniowo podniósł wzrok, by w końcu napotkać spojrzenie psychiatry, który dojadał właśnie banan. -I to tyle - Aaron wzruszył ramionami. - Jeżeli uzna pan, że powinienem dać się zamknąć w szpitalu Danvers State, zrozumiem to.

Jonas, nie przestając przeżuwać, zebrał skórki i wrzucił je do pustej torby.

- To bardzo interesujące, Aaronie - powiedział, kiedy w końcu przełknął. Odjechał z fotelem od biurka i wrzucił torbę do kosza na śmieci. - Bardzo interesujące.

- Myślę też... nie, ja wiem, że mógłbym także mówić po portugalsku - dodał Aaron. -I... i nie tylko w tym języku. - To mówiąc, pomyślał o swojej wieczornej „rozmowie” z psem. - Na pewno nie tylko po portugalsku.

Doktor napił się jeszcze soku.

- Ustalmy sobie pewne fakty - powiedział, wycierając brodę z resztek jedzenia. - Rozboliła cię głowa, a teraz posiadasz umiejętność rozumienia i komunikowania się w obcych językach. Których nigdy wcześniej nie znałeś. Czy dobrze to rozumiem?

Aaron poczuł, jak oblewa się rumieńcem, i pochylił się znowu w fotelu, wbijając wzrok w ziemię.

- Wiem, że to brzmi głupio, ale...

- *To wcale nie brzmi głupio* - zapewnił go doktor Jonas - *tylko trochę dziwnie. Miałeś jeszcze jakieś inne objawy?*

Aaron spojrzał na niego.

- Nie. Myśli pan, że to może mieć związek z tym bólem głowy?

Psychiatra cały czas uśmiechał się, ale jego uśmiech stopniowo przygasał, kiedy słuchał, jak Aaron do niego mówi.

- Czy... czy coś nie tak? - spytał Aaron.

Jonas sięgnął do sterty papierów piętrzących się na biurku i wyciągnął spod nich mały, żółty notes.

- Zrozumiałeś, co przed chwilą do ciebie powiedziałem? - spytał, zapisując coś w notesie.

Aaron skinął głową.

- Pewnie. Dlaczego pan pyta?

- Rozumiesz dokładnie, co powiedziałem?

Aaron zastanowił się przez chwilę. Powiedział pan, że to nie brzmiało głupio, tylko dziwnie, a potem spytał pan, czy miałem jeszcze jakieś inne objawy.. Jonas podrapał się w brodę.

-Aaron, ja mówiłem do ciebie po hiszpańsku. Aaronon podskoczył na krześle jak oparzony. - Ale... ale ja nie znam hiszpańskiego. - Nigdy nie uczyłeś się go w szkole? - spytał podejrzliwie Jonas. - Nie masz żadnych hiszpańskojęzycznych przyjaciół?

Aaron pokręcił głową.

-Jedyny język, jakiego się uczyłem, to francuski. I to z raczej kiepskim efektem - nigdy nie miałem wyższej oceny niż trzy.

Jonas pokiwał głową i znowu zanotował coś w kajecie. Kiedy skończył, odłożył pióro i podniósł wzrok znad biurka.

- Aaronie, opisz mi proszę ten swój ból głowy — ale zrób to po hiszpańsku.

Aaron potarł w zamyśleniu brodę.

- Po hiszpańsku? - uśmiechnął się nerwowo. - No dobrze, proszę bardzo - otworzył usta i zaczął mówić:

- *Czułem się tak, jakby ktoś wbijał mi w czaszkę nóż.* - To mówiąc, dotknął czubka swojej głowy.

- *O, tutaj. Prosto w mózg. Nigdy wcześniej nie odczuwałem takiego bólu, to wiem na pewno.*

W tym miejscu zatrzymał się, a jego twarz wykrzywiła się w kwaśnym grymasie.

- I jak wypadłem? - spytał, tym razem już po angielsku.

Doktor pokręcił głową z niedowierzaniem.

- To było imponujące - wykrztusił z siebie. Widać było, że trudno mu się teraz skupić na czymkolwiek.

Aaron nachylił się w jego stronę. Wciąż nie uzyskał odpowiedzi, co mogło mu dolegać.

- Uważa pan, że oszalałem czy coś w tym rodzaju? Wierzy mi pan, doktorze?

Jonas odchylił się do tyłu w fotelu, który zareagował pełnym protestu skrzypnięciem. W zamyśleniu stukał się w dłoń trzymanym w drugiej ręce piórem.

- Wierzę ci. Nie wiem tylko, co o tym wszystkim sądzić - powiedział. - Pomyślmy...

Aaron obserwował, jak postawny mężczyzna, nie wstając z fotela, podjeżdża do regału z książkami, stojącego pod ścianą po drugiej stronie biurka. Zniknął, schylając się po coś z dolnej półki, po czym wynurzył się i położył na biurku opasłe tomisko. Aaron nie potrafił dostrzec tytułu książki i czekał nerwowo, aż doktor skończy ją wertować.

- *Jeśli potrafisz... mi powiedzieć... co w tej chwili... do ciebie mówię* - Jonas odezwał się w końcu, z trudem dobierając słowa z książki - *nie będę miał innego wyjścia... jak tylko... uwierzyć... w niemożliwe...* - To mówiąc, lekarz podniósł oczy znad książki i spojrzał na Aarona z zainteresowaniem.

- Zrozumiałem wszystko bez najmniejszego problemu - powiedział Aaron. - To łacina, prawda?

Jonas nie bez wysiłku skinął głową, sprawiając wrażenie sparaliżowanego.

- Wygląda na to, że obaj musimy chyba zacząć wie-żyć w to, co z pozoru wydaje się niemożliwe

- skonstatował Aaron.

Jonas miał wyraz twarzy człowieka, który przed chwilą doświadczył cudu. Z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami zamknął powoli łaciński tekst.

- Aaronie, ja... ja nie wiem, co powiedzieć. Aaron z każdą chwilą tracił cierpliwość. Psychiatra nie spuszczał z niego wzroku, pod którym chłopak czuł się jak robak pod mikroskopem.

- Ma pan jakiś pomysł, dlaczego coś takiego mogło się stać? - przerwał krępującą ciszę. - I w jaki sposób...?

Jonas po raz kolejny pokręcił głową, gładząc palcami siwiejącą brodę.

- Nie mam bladego pojęcia. Ale fakt, że przed tym zdarzeniem uskarżałeś się na tak silny ból głowy może sugerować, że mamy w istocie do czynienia z jakimś zaburzeniem natury neurologicznej.

- Neurologicznej? - Aaron nagle się zmartwił. - To znaczy, że coś jest nie tak z moim mózgiem - na przykład mogę mieć guz, czy coś takiego?

Psychiatra nachylił się w jego stronę.

- Niekoniecznie - wycedził ostrożnie, podkreślając dodatkowo każde słowo gestami. - Słyszałem o przypadkach zaburzeń nerwowych, w efekcie których pacjenci nabierali wyjątkowych zdolności.

- Na przykład rozumieli obce języki? - zasugerował Aaron.

Jonas skinął głową.

- Właśnie. Przypadek, o którym myślę, miał miejsce bodajże w stanie Michigan. Pewien mężczyzna na skutek wypadku na nartach odkrył w sobie umiejętność dokonywania skomplikowanych obliczeń matematycznych. Warto tutaj wspomnieć, że ów mężczyzna nie skończył nawet liceum i nigdy nie brał udziału w zajęciach z teorii matematyki.

- Myśli pan, że mogło mi się przytrafić coś takiego? - spytał Aaron

Doktor zastanowił się.

Może w twoim mózgu faktycznie zaszły jakieś zmiany, które spowodowały pojawienie się tak niezwykłych umiejętności.

Jonas złapał za pióro i zaczął zawzięcie notować. Mam przyjaciela w szpitalu Mass General, neurologa. Możemy się z nim skonsultować - oczywiście, najpierw przeprowadzimy własne badania i testy. Wtedy ...

Przerwało mu głośnie pukanie do drzwi.

- Cholera - syknął psychiatra. - Zapomniałem, że o dziewiątej trzydzieści mam następnego pacjenta.

Aaron tak się wystraszył tego pukania, że serce waliło mu jak młotem. Patrzył, jak Jonas wstaje zza biurka i podchodzi do drzwi.

- Przepraszam na chwilę - powiedział doktor i wyszedł do poczekalni.

Kiedy Aaron został sam, przez głowę zaczęły mu przelatywać setki różnych myśli. *A co, jeśli ze mną coś jest nie tak - na przykład z moim mózgiem?* Z nerwów zaczął zagryzać palce. Może na wszelki wypadek powinien się umówić na wizytę u lekarza rodzinnego.

Pomyślał o kolejnym dniu opuszczonych zajęć w szkole i wpadł w panikę. Nie mógł sobie wybrać gorszej pory na chorobę. Niedługo zaczną się do niego odzywać pierwsze wybrane uczelnie i musi im pokazać, jak bardzo zależy mu na studiach. A dowodem na to powinny być dobre stopnie. Zastanawiał się, czy liczba nieobecności też może mieć jakieś znaczenie w procesie rekrutacji. Drzwi otworzyły się.

- Przepraszam, chłopcze. - Jonas wrócił za biurko. - Posłuchaj, mam dzisiaj umówionych wielu pacjentów, ale może spotkamy się jutro? Co ty na to?

Aaron wstał.

- Jutro jest sobota. Nie przeszkadza to panu? Jonas pokręcił głową.

- Nie, skądże. I tak miałem jutro przyjść do pracy. Wpadnij - może wczesnym popołudniem? Zrobimy kilka testów, zanim zadzwonię do tego kolegi neurologa.

Aaron zgodził się, a potem skierował się w stronę drzwi.

- Dziękuję, że mnie pan przyjął, doktorze - powiedział, chwytając za klamkę. - I przepraszam, że zająłem panu tak dużo czasu.

Doktor Jonas, obrócony do niego plecami, wyciągał jakąś teczkę z szafy stojącej za biurkiem.

- Żaden problem, Aaronie. Miło było cię znów zobaczyć.

Aaron otworzył drzwi i chciał już wyjść, gdy Jonas poprosił go jeszcze na chwilę do gabinetu.

- Niczym się nie przejmuj - powiedział. - Damy sobie z tym radę, obiecuję. Do zobaczenia jutro.

Wychodząc na zalaną słońcem ulicę, Aaron wzdrygnął się. Czuł, że dzieje się z nim coś złego.

Coś, nad czym nie miał żadnej kontroli.

Aaron przeszedł na drugą stronę ulicy i przeskoczył niski, zielony żywopłot, który otaczał całe Lynn Common.

Przyjechał do swojego byłego psychiatry na tyle wcześnie, że mógł jeszcze zatrzymać samochód po drugiej stronie błoni, na chwilę wyłączyć silnik i wysiąść z auta. Zawsze lubił to miejsce, w

którym rosły stare dęby i dzika, niekoszona trawa. Mimo iż ten zakątek Lynn Common wydawał się trochę zaniedbany, zachował swój niepowtarzalny urok. Nie licząc plaży, było to jego ulubione miejsce na spacer z Gabrielem przy ładnej pogodzie. Brodził w trawie, starając się zebrać i poukładać myśli. Kiedy dotarł do połowy odkrytej przestrzeni, przypomniał sobie pewną lokalną ciekawostkę: błonia w Common Lynn miały kształt buta. W głowie zadźwięczał mu głos nauczyciela historii w gimnazjum - pana Frosta, który lubił im opowiadać o historii miasteczka. Założone w 1629 roku, Lynn stało się z czasem jednym z ważniejszych ośrodków produkcji obuwia w całych Stanach. Mimo, że błonia zaczęto budować już w 1630 roku, obecny kształt buta zyskały w XIX wieku. Większa część stanowiła podeszwę, mniejsza - obcas. W tym momencie Aaron znajdował się w środku podeszwy. Zawsze chciał przelecieć się helikopterem nad miastem, żeby zweryfikować, na ile to prawda. Pan Frost wspominał o jakiejś książce w bibliotece, w której znajdowało się ponoć zdjęcie okolicy z lotu ptaka. Ponieważ i tak zamierzał wpaść dzisiaj do biblioteki, w drodze powrotnej do samochodu pomyślał, że poszuka tej książki. W pewnym momencie Aaron zadrżał, jakby ktoś wrzucił mu za kołnierz kostkę lodu. Wydało mu się, że ktoś go obserwuje, więc rozejrzał się wokół.

Rzucił okiem w stronę zabytkowej estrady, stojącej w samym środku błoni. Kiedyś odbywały się tu letnie koncerty plenerowe, dzisiaj przesiadywały w tym miejscu dzieciaki na wagarach i bezrobotni w drodze do i z pobliskiego urzędu pracy. Teraz nie było tu nikogo. Aaron rozglądał się dalej, aż wreszcie, w miejscu, gdzie zaczynał się obcas buta, dostrzegł jakąś sylwetkę stojącą nad jednym z koszy opatrzonych tabliczką z napisem: „Dbaj o czystość Lynn”. Nieopodal znajdował się wózek z supermarketu. *Pewnie zbiera puszki* - pomyślał Aaron, nie zatrzymując się i przyglądając się z oddali niewyraźnej sylwetce. Tak, teraz nie miał wątpliwości, że mężczyzna również patrzy w jego kierunku. Aaron czuł na sobie jego spojrzenie.

- Pewnie zastanawia się, czy nie podbiec, dać mi w zęby i zabrać portfel - Aaron wymamrotał przez zaciśnięte zęby, docierając do granicy żywopłotu. Przekroczył niskie ogrodzenie. Jego Toyota Corolla, rocznik 2002 w kolorze niebieski metalik, stała zaparkowana dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Aaron czekał, aż będzie mógł przejść przez ulicę.

Szukając kluczyków w kieszeni, zastanawiał się, co będzie robił przez resztę dnia. Nie poszedł wprawdzie do szkoły, ale nie zamierzał wcale zaniedbywać swoich obowiązków związanych z nauką. Postanowił, że spędzi popołudnie w bibliotece, przygotowując się do referatu

zaliczeniowego z języka angielskiego u profesor Mullholland. Miał nadzieję, że wizyta w bibliotece pozwoli mu się zdecydować na wybór właściwego tematu. W głowie miał już kilka pomysłów: dualizm dobra i zła w twórczości Edgara Allana Poe, symbolizm religijny Hermana Melville'a, Szekspir i zastosowanie...

Nagle zjeżyły mu się włosy na karku i poczuł, jak wszystkie jego zmysły wydają z siebie ostrzegawczy krzyk. Ktoś był za jego plecami.

Aaron odwrócił się i stanął twarzą w twarz z mężczyzną, który obserwował go z oddali na błoniach. Starzec był ubrany w brudny płaszcz, spodnie przetarte na kolanach i tenisówki. Bił od niego taki smród potu zmieszanego z alkoholem, że Aaron poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła.

Kloszard nachylił się w jego stronę. Aaron stał jak wryty, nie wiedząc, jak powinien się zachować. *Co on, do diabła, robi?*

Mężczyzna podszedł bliżej i zaczął go obwąchiwać. Najpierw twarz, potem włosy i klatkę piersiową. Po chwili cofnął się o krok i pokiwał głową, jakby właśnie znalazł odpowiedź na sobie tylko znane pytanie.

- Czy... czy mogę panu jakoś pomóc? - Aaron zająknął się.

Mężczyzna odpowiedział w języku, którego Aaron nigdy wcześniej nie słyszał. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że nikt nie używał tego języka od bardzo dawna.

- *Czy rozumiesz język posłańca, chłopcze?* - spytał starzec posługujący się tajemniczym dialektem.

- *Tak* - odpowiedział Aaron, czując jak z jego ust wypadają słowa niezwykle i brzmiące równie dziwnie. - *Rozumiem cię... ale nie rozumiem twojego pytania.*

Mężczyzna nie przestawał mu się przyglądać, tym razem z jeszcze większą intensywnością. Aaron mógłby przysiąc, że w każdym z jego starożytnych oczu dostrzegł tańczący płomień, ale pomyślał, że to pewnie tylko gra światła i cienia.

- *Przed chwilą sam na nie odpowiedziałeś* - odezwał się mężczyzna w tym samym dziwnie brzmiącym języku. - *A to, kim jesteś, jest dla mnie oczywiste.*

- *Kim... kim jestem?* - spytał Aaron. - *Nie rozumiem, co...* Tajemniczy mężczyzna o aparycji menela podszedł jeszcze bliżej.

- *Nefilim* - wyszeptał, wskazując brudnym palcem w jego stronę. - *Jesteś Nefilimem*. Na dźwięk słowa, które wypowiedział starzec, Aaron poczuł, jak ogarnia go panika. Musiał uciekać. Jak najdalej od tego mężczyzny i tego słowa. I to jak najszybciej.

- Naprawdę, muszę już jechać - wymamrotał, wsadzając klucz do zamka i otwierając na oścież drzwi samochodu.

Aaron wsiadł do auta i zamknął drzwi. Jeszcze nigdy nie czuł tak przemożnej chęci ucieczki. Włożył klucz do stacyjki i zapalił. Wrzucając bieg, odważył się spojrzeć raz jeszcze w stronę dziwnego mężczyzny. Stał tam bez ruchu, obserwując go tym swoim przenikliwym spojrzeniem. Aaron zawrócił i włączył się do ruchu. Popatrzył we wsteczne lusterko na oddalającą się sylwetkę. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca, widać było, że go obserwuje i powtarza wciąż jedno i to samo słowo. Aaron dobrze wiedział, jakie. *Nefilim*.

*

Aaron opłukał twarz zimną wodą i przyjrzał się swojej ociekającej twarzy w lustrze. Znajdował się w łazience biblioteki publicznej miasta Lynn.

- *Co się, do cholery dzieje?* - spytał, studiując uważnie swoje odbicie. - *Co się ze mną dzieje?*

Z twarzy w lustrze bił strach. *O co chodziło z tym starym gościem?* - zastanawiał się po raz setny.

- *Co miał na myśli, mówiąc o języku posłańców? I kim był ten Nefilim?* W głowie czuł potworny mętlik.

Wyciągnął z dozownika kilka papierowych ręczników i wytarł twarz. Kiedy sięgnął po wiszący na haczyku obok umywalki klucz do łazienki, zauważył, że trzęsą mu się ręce. Zdjął klucz i zacisnął go mocno w dłoni. - Muszę się uspokoić - wyszeptał sam do siebie. - Staruszek pewnie postradał zmysły i wygadywał codziennie te same bzdury jeszcze kilku innym przechodniom. Nie ma się czym przejmować. W miasteczku nie brakuje dziwaków i świrów.

Usłyszał delikatne pukanie do drzwi łazienki. Wziął głęboki oddech, zebrał się w sobie i otworzył drzwi. Przed nimi stał starszy mężczyzna z płaszczem przewieszonym przez rękę.

- Skończyłeś? - mężczyzna spytał go, uśmiechając się nerwowo. Aaron, wychodząc z łazienki, również zdobył się na uśmiech.

- Przepraszam, że to trwało tak długo - powiedział.

- Nie ma problemu. - Gość wyjął mu klucz z ręki i wszedł do toalety. - Chciałem się tylko upewnić, czy tam nie zemdlałeś.

Aaron obrócił się jeszcze, żeby zobaczyć, jak mężczyzna krztusi się ze śmiechu i chociaż sam nie był w nastroju do żartów, również zachichotał.

- Tego mi jeszcze brakuje - powiedział do siebie, wspinając się po białych marmurowych schodach, prowadzących z piwnicy na pierwsze piętro.

Znalazł wolny stolik w odległym kącie czytelnicy i przewiesił kurtkę przez oparcie krzesła. Nie był pewien, ile uda mu się zrobić, ale chciał przynajmniej spróbować. Poza tym, potrzebował jakiegoś zajęcia, które pozwoliłoby mu choć na chwilę zapomnieć o dziwnych zdarzeniach, które zdawały się go ostatnio prześladować. Przyniósł ze sobą zeszyt i długopis, który wyjął z przedniej kieszeni kurtki.

Kolejnych kilka godzin spędził, wertując najróżniejsze książki i podręczniki do literatury, szukając czegoś na tyle interesującego, co nadawałoby się na przedmiot eseju. Był już bliski wyboru tematu - najbardziej przypadł mu do gustu dualizm w dziełach Edgara Allana Poe, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że jego myśli odpłynęły gdzieś zupełnie indziej. Nieświadomie bazgrał coś na marginesie zeszytu, zapisując w kółko jedno i to samo słowo w różnych wariantach fonetycznych. *Nefellum. Nefilem. Nifillim. Nefilem. Nefilim.* Wyrwał stronę z zeszytu i przyglądał się jej w milczeniu. *Co to znaczy? Dlaczego nie potrafię o tym zapomnieć?* - zastanawiał się, śledząc każde ze słów.

Wstał z krzesła i przeszedł do pracowni komputerowej, która była jednak tak zatłoczona, że zrezygnował i udał się do sali z księgozbiorem podręcznym. Pierwszą książką, którą zdjął z półki był słownik *Webster's New World College Dictionary*. Położył opasłe tomisko na stole i zaczął szukać słowa, które tak go intrygowało, uwzględniając wszystkie warianty, jakie zapisał. Nie znalazł.

Może to nic nie znaczy? - pomyślał, odkładając słownik na miejsce. Może to tylko jakiś wyraz bez sensu, wymyślony przez wariata. A ja wychodzę na jeszcze większego idiotę, przywiązując do niego taką wagę.

W końcu Aaron doszedł do wniosku, że zmarnował już wystarczająco dużo czasu na bełkot starego kloszarda i postanowił wrócić do stolika, żeby napisać sobie przynajmniej plan eseju. Jeżeli coś jeszcze uda się uratować z tego szalonego dnia, to najwyższy czas się za to zabrać.

Zmiał kartkę z wynotowanymi przez siebie słowami, włożył ją sobie do kieszeni i wszedł do czytelnicy, ale Nefilim prześladował go nadal, jakby ten dziwny wyraz żył swoim własnym, tajemniczym życiem.

Po drodze do stolika, zajrzał do sali z komputerami.

Tym razem kilka stanowisk było wolnych. Miał wreszcie okazję zaspokoić swoją ciekawość. Wszedł do sali i usiadł przy jednym z komputerów. To ostatnia szansa, żeby rozwiązać zagadkę tajemniczego słowa. Jeżeli tu go nie znajdzie, wymaże je z pamięci na zawsze i już nigdy do niego nie wróci. Zalogował się do systemu i włączył wyszukiwarkę. Wpisał jeden z wariantów słowa Nefilim, wcisnął „Szukaj” i wstrzymał oddech. Po chwili na ekranie pojawiło się kilka wyników. „Czy chodziło ci o Nefilim?” - zasugerowało Google. Aaron potwierdził i zaczekał, aż wyszukiwarka wyświetli nowe strony. Ku jego zdumieniu, było ich całe mnóstwo! *Przecież to jakiś absurd* - mruknął pod nosem,

przewijając w dół stronę z wynikami i czytając nagłówki. Były tam strony na temat jakiegoś zespołu rockowego i jedna strona dotycząca gry RPG. Na każdej z nich pojawiała się słowo Nefilim, ale żadna nie podawała jego znaczenia.

W końcu jego uwagę przykuł serwis specjalizujący się w mitologii biblijnej. *Czyżby wreszcie coś sensownego?* - zastanawiał się, czekając, aż strona się załaduje. *Czy to słowo może mieć jakiś związek z religią?* Jeśli tak, to nic dziwnego, że nigdy wcześniej się z nim nie zetknął. Ani on, ani Stanleyowie nie byli nigdy specjalnie religijni.

Strona okazała się wyczerpującym kompendium wiedzy biblijnej - były tam definicje osób, miejsc i przedmiotów obecnych w Starym i Nowym Testamencie. Bardzo szybko znalazł to, czego szukał.

Biblijny termin NEFILIM, który w języku hebrajskim oznacza „ upadłych” lub „ tych, którzy upadli”, odnosi się do potomków aniołów i kobiet, wspomnianych w Księdze Rodzaju (6:1-4). Więcej na ten temat można przeczytać w apokryficznej Księdze Henocha, gdzie znajdujemy historię grupy aniołów, które opuściły niebo, związały się z kobietami i uczyły ludzi różnych haniebnych rzeczy, chociażby takich, jak rzemiosło wojenne.

Aaron oparł się na krześle, całkowicie zbity z tropu. *Potomkowie aniołów i kobiet* - przeczytał jeszcze raz.

- Co to, do cholery, ma wspólnego ze mną? - za-mruczał pod nosem, przysuwając się bliżej do ekranu komputera.

Nagle usłyszał, jak ktoś za nim pokasłuje znacząco. Obrócił się i zobaczył grupkę czterech osób, które czekały w kolejce do jego komputera. Otyły chłopak z okropnym trądzikiem na twarzy i w koszulce z bohaterami komiksu *X-Men*, postukał znacząco w tarczę zegarka marki Timex i popatrzył na niego z wyrzutem.

Aaron odwrócił się z powrotem do ekranu, przeczytał jeszcze kilka zdań, a potem zamknął stronę i wylosował się. Wyciągnął zmiętą kartkę i długopis, wykreślił wszystkie błędne warianty słowa Nefilim i zostawił tylko ten jeden właściwy.

Nefilim.

Wzdychając ciężko, wrócił na swoje miejsce, do pozostawionych na biurku książek. Usiadł z zamiarem popracowania nad esejem, ale nie potrafił się skoncentrować. Myślał wyłącznie o kobietach, które rodziły dzieci aniołom. Kiedy przypomniał sobie powracający sen, po plecach przeszedł mu dreszcz. Przed oczami stanął mu chłopiec zaatakowany przez skrzydlate istoty w złocistych zbrojach. Trudno to było uznać za zbieg okoliczności.

Wstał od stolika i zabrał ze sobą notes. Musiał dowiedzieć się więcej. Jakby jakaś niewidzialna siła kazała mu drażnić dalej ten temat. *Może w jakiś sposób uda mi się wykorzystać tę wiedzę w moim eseju* - pomyślał.

Posłużył się teraz innym komputerem, stojącym w holu, żeby przeszukać zbiory biblioteczne. Okazało się, że większość książek na interesujący go temat znajdowała się nie w księgozbiore pod ręcznym, lecz w zupełnie innym pomieszczeniu.

Zapisał na kartce kilka tytułów i rozpoczął poszukiwania. Z książki zatytułowanej „Zaginione księgi Edenu” dowiedział się trochę więcej na temat Księgi Henocha. Był to zbiór apokryfów, wchodzących w skład Starego Testamentu, spisany po hebrajsku około stu lat przed narodzeniem Chrystusa. Oryginał manuskryptu zaginał pod koniec IV wieku, zachowały się jedynie jego fragmenty. Dopiero w 1773 roku pewien podróżnik o imieniu Brutus przywiózł z Abisynii kopię Księgi Henocha, powstałą prawdopodobnie z wersji znanej w czasach wczesnogreckich.

Pod spodem znajdowało się kilka urywków starożytnego tekstu. To, co Aaron przeczytał, stanowiło w zasadzie podsumowanie wszystkiego, czego do tej pory dowiedział się na ten temat.

...istniały anioły, którym pozwolono zstąpić z nieba, by mogły spółkować z córkami Ewy. Ponieważ w tym czasie synowie Adama również mnożyli się w dużej liczbie, rodziło się im wiele córek niezwyklej urody. A kiedy spoglądali na nie aniołowie albo synowie Adama, kobiety te wypełniały pożądanie;

dlatego też aniołowie mówili między sobą: „Wyberzmy sobie żony spośród rasy ludzi i spłodźmy z nimi dzieci”.

Aaron był zdumiony. Nigdy wcześniej nie słyszał o czymś podobnym. Jego wiedza na temat aniołów ograniczała się do tego, co widział na bożonarodzeniowych kartkach i w sklepach z ozdobami choinkowymi - piękne skrzydlate kobiety w białych, powłóczystych sukniach albo dzieci z malutkimi skrzydełkami i aureolą nad głową.

Zafascynowany, sięgnął po listę książek, które chciał jeszcze przejrzeć, kiedy raptem ogarnęło go to samo uczucie, co rano na błoniach. Ktoś go obserwował. Błyskawicznie obrócił się na krześle, spodziewając się, że zobaczy zapuszczonego starca z wyciągniętym szponiastym palcem, który nazwał go Nefilimem. Jednak ku swojemu najwyższemu zdumieniu, ujrzał przed sobą Vilnę Santiago.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego słodko i weszła do sali.

- Tak myślałam, że to ty - powiedziała z ledwie słyszalnym portugalskim akcentem.

- *Tak, to ja.* - Aaron nerwowo zerwał się z krzesła -*Przyszedłem tu poszukać kilku rzeczy, przygotować materiały do eseju z angielskiego i...*

Vilma spojrzała na niego tak dziwnie, że zamilkł, obawiając się, że może cieknie mu z nosa albo wydarzyło się coś równie krępującego.

- *Czy... czy coś się stało?* - wydusił z siebie wreszcie, sięgając na wszelki wypadek do nosa i pocierając go.

Dziewczyna potrząsnęła głową, a potem uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Nie, nic się nie stało - powiedziała z radością w głosie. - Po prostu nie wiedziałam, że znasz portugalski.

Aaron zmieszał się, zachodząc z początku w głowę, w jaki sposób Vilma odkryła jego nową, tajemniczą zdolność, ale szybko zdał sobie sprawę, co się stało.

- Czy ja... czy ja rozmawiałem z tobą po portugalsku?

Dziewczyna zachichotała i zakryła usta delikatną dłonią.

- Oczywiście. I muszę powiedzieć, że całkiem nieźle ci to wyszło. Gdzie się nauczyłeś portugalskiego?

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

- Dopiero zacząłem brać lekcje. - Wzruszył ramionami. - Dobrze mi idzie nauka języków obcych.

- To prawda. - Vilma skinęła głową.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Vilma zerknęła na stół, na książki, które czytał Aaron. - Przeglądałem różne rzeczy w poszukiwaniu inspiracji. Nie zdecydowałem się jeszcze, ale być może... Vilma sięgnęła po książkę *Anioły od A do Z*. - Uwielbiam ją - powiedziała, przewróciwszy kilka stron. Jest tu wszystko, co chcesz wiedzieć na temat aniołów. a na końcu nawet spis filmów, w których występują. - To mówiąc, spojrzała zza książki i zamyśliła się. - Tak, to zdecydowanie moja ulubiona książka. Potem odłożyła ją z powrotem na stolik i zaczęła przeglądać pozostałe tytuły. - Mam fioła na punkcie wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z aniołami. - Sięgnęła pod bluzkę i wyjęła coś delikatnego, zawieszzonego na złotym łańcuszku. Spójrz na to.

Aaron przyjrzał się bliżej i zobaczył, że to miniaturowy anioł.

- Bardzo ładne - powiedział, przenosząc wzrok ze zło-go aniołka na dziewczynę. Nie tylko on wydawał mu się w tej chwili bardzo ładny.

- Dzięki - odparła Vilma, wsadzając biżuterię z powrotem pod bluzkę. - Kocham je. Dzięki nim czuję się taka bezpieczna - wiesz, co mam na myśli?

Aaron był w takim stanie, że można go było powalić muśnięciem piórka - na przykład anielskiego. Stał i uśmiechał się, widząc, jak dziewczyna wertuje książki, które wybrał. Pomyślał, że to jakaś niezwykła forma synchronizacji. *Co jeszcze może mi się przydarzyć?* - zaświtało mu w i tak już skołowanej głowie.

- Czy właśnie na ten temat chcesz napisać esej? - spytała wyraźnie podekscytowana Vilma, wrywając go z zamyślenia.

- Nie wiem... tak, być może - zająknął się niepewnie. - Tak, prawdopodobnie właśnie tym się zajmę. Ten temat wydaje mi się interesujący.

Słyszając to, Vilma zaczerwieniła się.

- To naprawdę fascynujące! Kiedy byłam mała i mieszkałam w Brazylii, ciotka opowiadała mi historie o tym, jak anioły nawiedzały wioski w dżungli, przebrane za podróżników i...

Dziewczyna nagle zamilkła i odwróciła wzrok.

- Przepraszam, że tak trajkoczę jak głupia. Po prostu bardzo mnie to interesuje, a rzadko mam okazję z kimś na ten temat porozmawiać. To wszystko.

Sprawiała wrażenie zakłopotanej. Nerwowo zakasywała rękawy dżinsowej marynarki.

- W porządku, nic się nie stało - odparł Aaron, modląc się, żeby jego uśmiech nie wydał się jej durnowaty.

Zdjął notes ze stolika. -Jeżeli nie jesteś zbyt zajęta, może pomożesz mi w tym eseju?

Oczy zaświeciły jej z podniecenia.

- Te brazylijskie opowieści... wiesz - te, które opowiadała twoja ciotka. Fajnie byłoby przenieść je na papier jeśli nie masz nic przeciwko.

Aaron sam nie wierzył w to, co robił. Vilma Santiago

była najgorętszą laską w całej szkole, a on prosił ją o pomoc w napisaniu eseju. *Ale ze mnie idiota!* - zbeształ sam siebie.

- Pewnie, byłoby cudownie. - Vilma zgodziła się bez wahania. - Mam nawet kilka książek, które mógłbyś wykorzystać.

Aaron był w totalnym szoku. Dziewczyna jego marzeń zgodziła się pomóc mu w nauce, i do tego jeszcze wydawała się tą perspektywą zachwycona. Aaron nie wiedział, co powiedzieć. Bał się, że gdy tylko otworzy usta, wypadnie z nich coś niewiarygodnie głupiego i wszystko popsuje. Vilma również milczała; rozglądała się nerwowo po sali, zatrzymując wzrok to na książkach, to na Aaronie. W końcu spojrzała na zegarek.

- Muszę złapać autobus - oznajmiła, zmierzając stronę wyjścia. - Może pogadamy o twoim wypracowaniu w poniedziałek w szkole - będziesz w poniedziałek w szkole, prawda? - uśmiechnęła się.

Nie do wiary. Vilma zauważyła jego dzisiejszą nieobecność. Może było choć trochę prawdy w tym, co wtedy powiedziała swoim koleżankom w szkole. Może faktycznie uważała go za przystojnego.

- Będę - zapewnił ją. - Przez cały dzień. Dziewczyna roześmiała się, a potem pomachała mu na pożegnanie i wyszła z czytelnicy.

- W takim razie do zobaczenia w poniedziałek, Aaronie. Miłego weekendu!

Aaron stał jak wryty, kręcąc głową z niedowierzaniem. To w zasadzie wystarczyło, żeby zapomniał o wszystkich niepokojących snach, nowych zdolnościach językowych i zagadkowym starcu, mamroczącym o jakichś biblijnych postaciach.

Prawie wystarczyło.

ROZDZIAŁ 4

Samuel Chia leżał na łóżku, owinięty prześcieradłem z najlepszego gatunkowo jedwabiu i śnił o lataniu. O tym wszystkim, co stracił i czego tak bardzo mu teraz brakowało.

Nie był to zwyczajny sen, jak na standardy ludzkie, ale dzięki niemu wrócił myślami do tamtego, tak drogiego u czasu, poprzedzającego jego upadek. W końcu Sam otworzył oczy. Nie musiał patrzeć na zegarek, żeby wiedzieć, która jest godzina. Była punktualnie ósma, bo właśnie o tej porze zażyczył sobie wstać.

Leżał w ciszy i wsłuchiwał się w odgłosy Hongkongu, dobiegające gdzieś z oddali, znacznie poniżej poziomu, na którym znajdował się jego luksusowy apartament.

Gdyby tylko chciał, mógłby usłyszeć rozmowy wszystkich mieszkańców miasta, którzy żyli niewiarygodnie przyziemnymi sprawami i problemami. Ale dzisiaj mało go to obchodziło.

Sam podniósł się z łóżka i stąpając po podłodze wyłożonej mahoniowymi deskami, podszedł nago do jednego z olbrzymich, zajmujących całą powierzchnię ściany okien wychodzących na miasto. Jego uwagę przykuła chińska dżonka pod pełnymi żaglami, która z gracją sunęła po szmaragdowych wodach Zatoki Wiktorii. Sam w trakcie swojego długiego życia mieszkał już w wielu miejscach na całym świecie, ale żadne nie sprawiało mu takiej radości jak to. Chiny przemawiały do niego. Zapewniały, że wszystko będzie dobrze i Samuel przeważnie w to wierzył.

Przycisnął czoło do chłodnej tafli grubego szkła i niemal natychmiast poczuł na ciele gęsią skórę. Mimo że upajał się życiem w ludzkiej skórze, z każdym dniem coraz bardziej brakowało mu tego, co miał kiedyś, a co stracił w momencie, gdy odmówił opowiedzenia się po którejką ze stron w Wielkiej Wojnie.

Z twarzą wciąż przyciśniętą do szyby, otworzył oczy i przesunął wzrokiem po rozpościerającej się przed nim panoramie miasta.

Tak, tęsknił za chwałą, która niegdyś była jego udziałem, ale każdego dnia to miejsce, ten wspaniały widok, uwodził go swoją żywotnością. Dzięki temu czasami łatwiej mu było pogodzić się z losem. Czasami.

Sam zakładał właśnie czarny jedwabny szlafrok, delektując się dotykiem materiału na swoim bladym, wy-rzeźbionym ciele, kiedy rozległ się dźwięk telefonu.

Wiedział, kto dzwoni. Nie dlatego, że posiadał jakąś wrodzoną, nadprzyrodzoną moc, tylko dlatego, że ona dzwoniła do niego co rano o tej samej porze.

Joyce Woo była kobietą, której pozwalał zarządzać swoimi biznesami, między innymi klubami nocnymi, kasynami i restauracjami.

Sam wolnym krokiem wyszedł z sypialni do wyłożonej płytkami i wykończonej chromem kuchni, pozwalając odebrać telefon automatycznej sekretarce. Postanowił zabawić się z Joyce w małą grę - zobaczymy, czy uda mu się odgadnąć wszystkie sprawy, z którymi do niego dzwoni. Zastanawiał się, jaką bzdurę, jaki bezsensowny problem chce mu przekazać tym razem. Czyżby w należącej do niego francuskiej restauracji nieoczekiwanie zabrakło trufli? Albo lokalna policja domagała się wyższych łapówek za brak zainteresowania nielegalną działalnością, jaka miała miejsce w jego klubach. A może Joyce w końcu zebrała się na odwagę, żeby się przyznać, iż przez ostatnie dziewięć miesięcy nacinała go na kasę?

Sam otworzył szampan Dom Perignon i napił się prosto z butelki, odsłuchując w międzyczasie wiadomość od Joyce.

- Dzień dobry, panie Chia. Tu Joyce - usłyszał znajomy głos mówiący po kantońsku.

W odpowiedzi bez słowa wzniósł toast w kierunku telefonu.

- W Pearl Club ubiegłej nocy miał miejsce pewien incydent. Być może będzie pan musiał skontaktować się w tej sprawie z szefem lokalnej policji. Szczegółowych informacji udzielię panu w biurze, teraz chciałam jedynie uprzedzić, że takie zdarzenie miało miejsce.

Sam słyszał, jak Joyce przewraca kartkę w notesie, w którym zapisywała wszystkie bieżące sprawy,

- Proszę również pamiętać, że o drugiej ma pan spotkanie z przedstawicielami wydziału urbanistyki w sprawie projektu Pier Road.

Samuel, przekonany, że to wszystko, pomaszzerował w stronę łazienki. Joyce mówiła dalej, zatrzymał się więc w przedpokoju, żeby posłuchać.

Jeszcze jedno, panie Chia. Dzisiaj rano przyszedł do biura pewien człowiek, który przedstawił się jako pański stary znajomy. Powiedział, że nazywa się Werchiel. Prosił, żeby panu przekazać, że przyjechał do miasta na krótko i liczy na spotkanie.

- Werchiel - wyszeptał Sam, wypuszczając z rąk szam-pana który spadł na podłogę, rozbijając się w drobny mak i rozlewając zawartość na czarno-białych kafelkach.

- Powiedział, że postara się jeszcze z panem skontaktować - mówiła Joyce. - Poza tym. mam dla pana kilka innych wiadomości, ale możemy je przedyskutować już w biurze. Miłego dnia, panie Chia. Joyce rozłączyła się, Samuel stał nadal bez ruchu. *Werchiel.*

Skoczył do sypialni i zdecydowanym ruchem otworzył na oścież drzwi masywnej, drewnianej szafy. Zrzucił szlafrok i wyciągnął kilka ubrań. Nie miał już czasu na prysznic. Nie będzie go dzisiaj w biurze.

Musiał opuścić Hongkong. Tak po prostu. Jeśli Werchel go znalazł, to oznaczało, że Strażnicy dotarli już do Chin. A jeżeli to prawda, żaden z jego braci nie mógł czuć się bezpiecznie.

Sam skończył zapinać guziki białej bawełnianej koszuli,, wsunął poły do spodni, po czym przepasał się brązowym skórzany paskiem.

Przeszło mu przez myśl, żeby skontaktować się z innymi i ostrzec ich przed niebezpieczeństwem, ale po krótkim namyśle zrezygnował - pewnie i tak było już za późno.

Wsunął delikatne białe stopy w parę włoskich mokasynów i narzucił na siebie granatową skórzaną marynarkę.

Poleci do Europy, Francja w zupełności wystarczy. Zostanie w Paryżu tak długo, aż Werchiel i jego psy gończe wyjadą z Chin. Joyce zajmie się wszystkim do jego powrotu.

Wcisnął portfel do kieszeni płaszcza i podniósł słuchawkę telefonu, żeby wezwać kierowcę.

Pojedzie prosto na lotnisko, wyczarteruje samolot i zadzwoni do swojej asystentki już z pokładu.

- Wybierasz się gdzieś, Samchia? - usłyszał nagle głos dochodzący gdzieś zza jego pleców.

Kompletnie zaskoczony, Sam upuścił słuchawkę i błyskawicznie się odwrócił.

- Jestem rozczarowany - odezwał się mężczyzna w szarym prochowcu, stojący na środku salonu, przed sześćdziesięciocalowym, płaskim ekranem telewizora. - Zadaliśmy sobie tyle trudu, by cię odnaleźć, a ty nie raczysz nas nawet przywitać.

Mężczyźnie towarzyszyło małe, brudne dziecko, które przyciskało nieumytą twarz do telewizora i lizało swoje odbicie w krystalicznie gładkim ekranie.

- Wybacz, może wolisz, by cię nazywać twoim małym

imieniem - Samuelu Chia? - powiedział Werchiel,

wsuwając dłonie do kieszeni płaszcza i podchodząc powoli w jego stronę. Dziecko posłusznie podążyło za nim. - Czego chcesz? - warknął Sam, obserwując zbliżającego się mężczyznę.

Werchiel zlustrował luksusowy apartament, zatrzymując wzrok na każdym ekstrawaganckim detalu.

- Sadziłeś, że to cię przede mną ochroni? - spytał, wskazując na szereg tajemniczych symboli wymalowanych na ścianach penthouse'a. Dla zwykłego śmiertelnika wyglądały jak dekoracja, ale wtajemniczonym mówiły znacznie więcej.

Zdziczałe dziecko wskoczyło na skórzaną kanapę, śpiewnym głosem mrucząc coś pod nosem z wyraźnym zadowoleniem.

-Twoja magia, pozwalająca ci pozostać niezauważonym, straciła chyba na znaczeniu po zmianach, które ostatnio tu zaszły - ciągnął Werchiel, odnosząc się do niedawnych zawirowań w chińskim rządzie. - Moja sfera zwietrzyła twój zapach, gdy tylko tu dotarliśmy. -Przechodząc obok kanapy, poklepał chłopca z uznaniem po głowie. - Żyłeś tu niczym król wśród zwierząt - do-dał, skupiając na Samie spojrzenie swoich ciemnych oczu bez dna. - I dlatego właśnie opuściłeś Raj?

Słowa Werchiela bolały jak uderzenie batem.

-Wiesz, że to nieprawda, Werchielu. Opuściłem Raj ponieważ nie chciałem opowiadać się po żadnej ze stron.

Kochałem Poranną Gwiazdę, tak jak kochałem wszystkich moich braci. Ale Pan nie dał mi wyboru - musiałem więc uciekać!

Sam opuścił ze smutkiem głowę. Nawet teraz własne czyny napawały go wstydem.

-Jesteś zwykłym tchórzem i sam się do tego przyznałeś. - Werchiel wykrzywił twarz w okropnym grymasie, - Szkoda, że innych nie stać na podobną szczerłość.

Ponownie rozległ się dźwięk telefonu.

- Tu znowu Joyce, proszę pana. Dzwonił przed chwilą pan Dalton z biura koncesji, prosząc o zmianę terminu spotkania z poniedziałku na...

Z dłoni Werchiel wystrzelił strumień oślepiającego białego światła, który zamienił telefon w kupkę stopionego, czarnego plastiku. Wystraszone dziecko zeskoczyło z kanapy i ukryło się, jakby wyczuwając instynktownie, że to dopiero początek przerażającego widowiska.

Werchiel dotknął prawą ręką ucha.

- Dźwięk ich głosów brzmi jak odgłosy zwierząt -skrzywił się. - Doprowadzają mnie do szału.

Jak ty to znosisz? - Zbliżył się o parę kroków.

Sam zacisnął pięści. Czuł, jak ogarnia go gniew silniejszy niż kiedykolwiek. Pomyślał, że być może spędził wiele czasu wśród ludzi. Zaczęły mu się udzielać ich negatywne emocje.

- Spytam raz jeszcze - po co przyszedłeś? Werchiel przekrzywił głowę.

- Nie jest to dla ciebie oczywiste, bracie? - spytał. - Nie oczekiwałeś mnie od dnia swojego upadku?

- Owszem - syknął wściekle Sam - ale od tego czasu minęły wieki, tysiąclecia lat!

Werchiel pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą.

- Sekunda, godzina czy millenium - dla Potęg upływ czasu nie ma żadnego znaczenia. - W głosie dowódcy Straży Anielskiej zabrzmiała chłodna obojętność. - Zgrzeszyłeś przeciwko naszemu Ojcu i czas nie jest w stanie tego zmienić.

Sam zaczął się wycofywać. - Czy nie dość się już nacierpiałem? Wygnanie do tego świata, na które sam się skazałem, nauczyło mnie, że ...

Werchiel uciszył go gwałtownym gestem.

- Zamilcz! Nie mam ochoty słuchać twojego skomlenia. - Przywódca Strażników wskazał na jedno z okien za plecami Samuela. - Przypominasz mi jednego z nich. - W jego głosie zabrzmiała odraza.

Sam wiedział, że wszelkie tłumaczenie jest zbędne ale od ludzi nauczył się jednego - nigdy nie zaszkodzi spróbować.

- Nie wystarczy, że zostałem pozbawiony głosu mojego Ojca, a to, kim teraz jestem, to tylko cień mojej dawnej chwały? Czy to się w ogóle nie liczy? - Popukał się palcem w pierś, jakby podkreślając swoją winę. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale naprawdę cierpiałem.

Werchiel po raz kolejny rozejrzał się po wystawnie urządzonej apartamencie, po czym skupił swój lodowaty wzrok z powrotem na Samuelem, a na jego twarzy pojawił się gorzki uśmiech.

- Cierpiałeś, powiadasz? - powiedział, rozkładając powoli ramiona. - Twoje cierpienie jeszcze się nie zaczęło.

Sam patrzył, z przerażeniem i z uniesieniem zarazem, jak z pleców Werchiela wyrastają potężne skrzydła.

Kiedyś też takie miałem - przypomniał sobie ze smutkiem. Skrzydła, które mogłyby unieść go stąd i uchronić przed sądem Werchiela. Ale to było dawno, bardzo dawno temu. To, co kiedyś było świadectwem jego mocy, teraz stało się już tylko atroficznym cieniem dawnej chwały. Werchiel zaczął rytmicznie uderzać skrzydłami, sprawiając, że w mieszkaniu rozpętało się piekło, przypominające potężną tropikalną burzę.

- Proszę, Werchielu - jęknął Sam tuż przed tym, jak masywna kryształowa popielniczka uderzyła go w twarz. Pod okiem natychmiast pojawił się krwawy siniec. Jego ciało zwiotczało i na moment przestał walczyć z coraz silniejszym prądem powietrza. Nagły, potężny podmuch rzucił nim do tyłu i przygwoździł do jednego z okien. Kiedy uderzył o szybę, usłyszał gdzieś z tyłu głowy odgłos przypominający pęknięcie tafli lodu. Zastanowił się, czy to okno, czy może raczej jego kości. Werchiel z dzikim zapamiętaniem młócił powietrze skrzydłami, wywołując upiorny, ogłuszający szum. - Nie ma mowy o przebaczeniu po tym, co zrobiłeś, Samchia! - wrzasnął Werchiel, przekrzykując łoskot własnych skrzydeł. - Nadszedł twój czas, tak jak nadejdzie dla wszystkich, którzy odwrócili się do Niego plecami i wzgardzili Jego łaską!

Sam próbował oderwać się od okna, ale wiatr był zbyt silny. Chciał coś powiedzieć, wykrzyknąć, jak bardzo żał mu wszystkich grzechów, które popełnił, ale krew spłynęła mu z głowy do ust, uciszając go skutecznie. Nigdy wcześniej nie widział swojej krwi, a teraz czuł w ustach jej obrzydliwy smak.

Na powierzchni grubej na dwa i pół centymetra szyby za jego plecami zaczęły się pojawiać pierwsze pęknięcia. Okna, które miały wytrzymać napór tropikalnych sztormów znad Pacyfiku, nie były w stanie oprzeć się potędze anioła Werchiela.

Sam spróbował odezwać się jeszcze raz.

- Werchielu! - wrzasnął w nadziei, że uda mu się przekrzyknąć wiatr wywołany przez swojego nieznającego litości brata.

Ale Werchiel łopotał skrzydłami coraz szybciej i szybciej - Nie słyszę cię! - krzyknął w odpowiedzi.

- Powiedz mu - przekaż mu, że żałuję! - Sam ryknął z całych sił. Na twarzy Werchiela dostrzegł odrazę i zrozumiał, że słowa jego skruchy zostały usłyszane, ale nie wysłuchane.

Ciężkie, chromowane krzesło, stojące przy stole w kuchni zawiroowało w powietrzu i wystrzeliło prosto w jego stronę, jakby było zrobione z cienkiej blachy.

Sam zamknął oczy, żeby nie widzieć Werchiela i jego skrzydeł, bijących opętańczo w powietrzu. Wiedział, że jego koniec zbliża się nieuchronnie. To, czego obawiał się najbardziej od momentu ucieczki na Ziemię, w końcu go dopadło.

Samuel Chia, wcześniej znany jako Samchia z Niebiańskich Zastępów, pragnął, aby jego myśli powędrowały gdzieś indziej. Najlepiej do czasów przed wojną, nieodwracalnymi wyborami i ostatecznym upadkiem.

Chromowany pocisk nie trafił go bezpośrednio, ale z całą mocą uderzył w okno po lewej, rozbijając je w drobny mak i pozwalając, by nieokiełznany żywioł, wzniecony przez skrzydła Werchiela znalazł w końcu swoje ujście.

W eksplozji ostrych jak brzytwa odłamków szkła i innych przedmiotów, wywianych na zewnątrz z apartamentu, Samuel upadł raz jeszcze - tym razem naprawdę po raz ostatni.

Lecąc w dół, na spotkanie z nieuchronnym końcem, śnił.

Śnił o lataniu.

*

Gabriel brykał radośnie w salonie, gdzie Stanleyowie zgromadzili się, jak w każdy piątek, żeby zjeść kolację na wynos z chińskiej knajpy i obejrzeć film z wypożyczalni. W pysku z dumą ścisnął fioletową wypchaną zabawkę.

Aaron siedział na podłodze i budował razem z Stevenem kolorową wieżę z klocków Duplo. Od czasu do czasu zerkał na telewizor, żeby zobaczyć, co tym razem wysadzi Arnold Schwarzenegger. Nie przeszkadzało mu wcale, że jego przybrany ojciec wypożyczył ten film co najmniej trzeci raz w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Zależało mu tylko na tym, żeby zapomnieć o wydarzeniach ostatnich dwóch dni. Nie chciał tylko zapomnieć o rozmowie z Vilma Santiago.

Pies upuścił zabawkę, która potoczyła się po podłodze wywracając budowaną z mozołem wieżę z klocków.

- Gabriel, przestań! - Aaron zezłościł się, odrzucił zabawkę na bok i zabrał się za poprawianie konstrukcji.

- *Pobaw się ze mną Goofym Winogronem* - powiedział pies, machając radośnie ogonem.

Aaron zignorował go i pomógł bratu wybrać więcej klocków, żeby wzmocnić wieżę.

Labrador skoczył i złapał zabawkę zębami. Potarł ją trochę, a potem wyrzucił w powietrze.

Zabawka, spadając, odbiła się od głowy Steviego i wylądowała na kupce niewykorzystanych klocków.

- *Pobaw się ze mną Goofym Winogronem - natychmiast!* - Gabriel niecierpliwił się.

Aaron spojrzał na niego.

- Nie bawimy się Goofym Winogronem - powiedział stanowczo, odrzucając mu zabawkę przypominającą kiść winogron z namalowaną twarzą. - Bawię się teraz ze Ste-ve-m. Idź się położyć.

Czuł na sobie intensywne spojrzenie Gabriela, jakby pies starał się użyć telepatii, żeby przekonać go do zmiany decyzji. Aaron nie podniósł jednak głowy, mając nadzieję, że pies w końcu znudzi się i odejdzie.

I rzeczywiście, tak się stało. Gabriel nagle zawrócił i wypadł z pokoju.

Bardzo dobrze - pomyślał Aaron, łącząc niebieski klocek z żółtym. Nie miał dzisiaj ochoty na dyskusje z psem.

Każdy normalny człowiek słyszałby typowe odgłosy, jakie wydaje zwierzę: piski, pomruki i szczeknięcia. Ale dla Aarona składały się one na język, który rozumiał. Dzisiaj chciał, żeby było inaczej. Szczeknięcie, pomerdanie ogonem - jedynie takiej konwersacji oczekiwał od swojego czworonożnego przyjaciela.

Siedzący na kanapie Tommy Stanley zarechotał w re-akcji na jedno z typowych powiedzonek swojego ulubionego bohatera.

- Nikt nie mówi tak jak Arnold - podzielił się swoim krytycznym spostrzeżeniem na temat filmów akcji. - Ten wasz cały Van Damme czy Seagal - oni są dobrzy tylko do rozpierduchy, ale nikt nie gasi swoich przeciwników tak jak *Ahnold* - stwierdził z udawanym austriackim

akcentem, po czym wrócił do oglądania, wessany w filmowy świat, w którym dzielny, osamotniony bohater w pojedynkę ratuje dziewczynę z brudnych łap bandy oprychów. Aaron usłyszał odgłos pazurów stąpających po kuchennym linoleum, a potem inny dźwięk, przypominający chrząknięcie. Nie musiał nawet odwracać głowy, żeby wiedzieć, co tym razem przyniósł jego pies ze swojego pudła z zabawkami - Piszczącą Świnią.

Gabriel wypadł zza drzwi z różową wypchaną świnią w pysku. Co chwila zaciskał muskularne szczęki na maskotce, która - niczym prawdziwa świnia - wydawała z siebie odgłos chrząkania. Tak jak przedtem, pies przyniósł zabawkę i upuścił ją u stóp bawiących się chłopców.

- *Piszcząca Świnia lepsza* - powiedział, a w jego psim głosie zabrzmiała nutka ekscytacji. - *Pobawmy się Piszczącą Świnią.*

Aaron poczuł, jak wzbiera w nim złość. Był wkurzony przez cały dzień tym, co się stało, i tym, że nie wszystko szło tak, jak powinno. Był też zły na siebie, że... jest zły.

- Gabriel jest dzisiaj bardzo pobudzony - odezwała się Lori z fotela, podnosząc wzrok znad książki. Kiedy zobaczyła, jaki film jej mąż przyniósł do domu, od razu poszła na górę po romans, który aktualnie czytała. - Może trzeba go wyprowadzić czy coś?

Pies jest pobudzony - pomyślał Aaron. - *Gdybyś знаła choć połowę prawdy.*

- Nie - odparł, patrząc na Gabriela spode łba. - Nie musi wyjść, po prostu jest dzisiaj nieznośny. Gabriel wzdrygnął się, jakby ktoś go uderzył. Zamrugał kilka razy smutnymi oczami i stulił po sobie uszy.

- *Nie jestem wcale nieznośny* - burknął, wycofując się z pokoju z podkulonym ogonem. - *Chciałem tylko pobawić się z Aaronem. Zły pies. Waruj. Zły pies.*

A potem odwrócił się i powłócząc smętnie łapami, zniknął się z pokoju. Słowa Gabriela zaboląły Aarona. *Jak mogłem zachować się tak okrutnie?* - pomyślał, czując obrzydzenie do samego siebie. Zwykle doskonale rozumiał, czego pies chce żeby się z nim pobawić i poświęcić mu trochę uwagi;

tymczasem zajęty własnymi problemami, zignorował ulubieńca. *Powinienem się wstydzić,* - Gabriel! - zawołał za nim. Musiał to zrobić jeszcze dwukrotnie, zanim pies w końcu zareagował, zaglądając zza drzwi do pokoju.

- Chodź - Aaron poklepał dłonią w podłogę, uśmiechając się. - No chodź, piesku.

Gabriel wparował do salonu, wesoło merdając ogonem, i zaczął lizać Aarona po twarzy jak oszalały.

- *Gabriel nie jest nieznośny?* - dopytywał się między kolejnymi wybuchami czułości.

- Nie. - Aaron złapał go oburącz za łeb i spojrzał psu prosto w brązowe oczy. - Nie jesteś nieznośny; jesteś dobrym pieskiem.

- *Jestem dobrym pieskiem* - Gabriel powtórzył jak echo i znowu zaczął lizać swojego pana po twarzy. Po czym klapnął na podłogę, obrócił się na grzbiet i wystawił brzuch do głaskania. Stevie podniósł wzrok znad klocków i Aaron zauważył, że chłopiec się uśmiecha.

- Hej, mały kolego, co tam? - Aaron zagadnął swojego autystycznego brata.

Na twarzy chłopca odmalowała się tak gwałtowna zmiana nastroju, jakby przez gęste burzowe chmury przedarł się nagle promień słońca. Stevie zamrugał oczami, widać było wyraźnie, że jest bardzo poruszony. A potem uśmiechnął się, zupełnie świadomie, od ucha do ucha - tak mocno, że Aaron poczuł ze wzruszenia ucisk w żołądku.

- Pieeeeeekne - powiedział Steven, wyciągając do niego rękę.

- Stevie? - Lori upuściła z wrażenia książkę na podłogę. - Tommy, spójrz na niego!

Ale dźwięk głosu syna zdążył już oderwać Tommiego od telewizora. Oboje ześliznęli się na podłogę i obserwowali, jak chłopiec dotyka policzków starszego brata swoją maleńką dłonią, a z jego pozbawionej zazwyczaj emocji twarzy nie znika promienny uśmiech.

- Pieeeeeekne! - powtórzył Steven. - Pieeeeeekne! Chwilę potem słońce znów zniknęło za chmurami, równie szybko, jak się zza nich wychyliło.

Stevie nie zdradzał żadnego znaku, że w ogóle pamiętał, co się przed chwilą stało. Po prostu wrócił do zabawy klockami.

- Odezwał się do ciebie - powiedziała Lori, chwytając Aarona za ramiona i ściskając go mocno.

- On na-prawdę przemówił!

Tommy ukląkł obok syna, również uśmiechając się od ucha do ucha.

-Jak myślisz, co to może oznaczać? - spytał drżącym z emocji głosem. - Przez ostatnie dwa lata nie wykrztusił z siebie ani jednego słowa. - Z czułością pogłaskał chłopca po głowie. - To przecież musi coś znaczyć, prawda? - zastanawiał się na głos. Jego spojrzenie napotkało wzrok Lori. - Może znów zaczniesz mówić?

Rodzice zaczęli bawić się ze Stevenem klockami, mając nadzieję, że jeszcze się odezwie i da im jakiś werbalny dowód na to, że wcześniejsza reakcja nie była przypadkowa.

Ale Stevie wrócił do swojego świata ciszy. Aaron podniósł się z kolan. - Chcesz jabłko? - spytał Gabriela. Pies zerwał się na równe nogi i zamachał ogonem. - *Jabłko, o tak* - ucieszył się. -

Głodny, tak. Jabłko. Kiedy wychodzili z pokoju, Aarona nie opuszczało wrażenie, że zachowanie Stevena miało jakiś związek z tym wszystkim, co przydarzyło mu się od dnia jego urodzin. *To by było na tyle, jeśli chodzi o zapominanie* - pomyślał, po czym wziął jabłko z małego wiklinowego koszyka stojącego na mikrofalówce i położył je na desce do krojenia.

- Widziałeś, jak na mnie patrzył? - Aaron powiedział do psa, po czym wziął nóż z suszarki koło zlewozmywaka i przekroił jabłko na pół. - Jakby coś we mnie widział. Coś, czego ja sam nie dostrzegam. Coś innego.

- *Pieeeeeekne* - odparł Gabriel, podnosząc łeb i patrząc na swojego pana. - *Powiedział „Pieeeeeekne”.*

Aaron obrał jabłko ze skórki i pokroił jedną z polewek na kilka kawałków.

- To samo spojrzenie widziałem wtedy u tego starca na błoniach.

Rzucił Gabrielowi kawałek jabłka, który pies ochoczo pożał.

Aaronowi stanął przed oczami obraz starego mężczyzny, który wskazywał na niego palcem i mówił: - *Jesteś Nefilimem.*

- Najpierw jestem Nefilimem, a teraz na dodatek jestem piękny - powiedział sam do siebie, opierając się o blat kuchenny.

- *Można więcej jabłka?* - spytał Gabriel, któremu z pyska kapłała na podłogę gęsta ślina.

Aaron dał mu jeszcze jeden kawałek, a sam zjadł kolejny. Działo się z nim coś dziwnego. I nie miał chyba innego wyjścia, jak tylko dowiedzieć się co.

Ugryzł jeszcze raz jabłko, a resztę dał Gabrielowi. Wiedział, że to szalony pomysł, ale musiał poznać prawdę. Postanowił podjąć ryzyko. Jutro przed wizytą u doktora Jonasa pojedzie na błonia i spróbuje odnaleźć tamtego staruszka.

- Hej, Gabriel! - zwrócił się do psa, który wciąż przeżuwał. - Chcesz jechać ze mną jutro na spacer? Gabriel przełknął jabłko i wbił w niego proszący wzrok.

- *Masz jeszcze jabłko?* Aaron potrząsnął głową.

- Nie ma jabłka. Skończyło się.

Pies zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym odparł: - *Nie ma jabłka? W takim razie jedźmy na spacer.*

Co ja sobie wyobrażałem? - Aaron zmarszczył brwi, po czym wziął zamach i rzucił w powietrze piłkę tenisową.

Gabriel puścił się w pogoń za podskakującą w trawie piłką.

- *Przyniosę piłkę* - Aaron usłyszał, jak pies woła podekscytowanym głosem, zbliżając się do fluorescencyjnej, zielonej zagrody.

Był piękny wiosenny poranek. W powietrzu czuć było jeszcze chłodną rzeźkość - i trudno się dziwić, wszak zima ustąpiła zaledwie kilka tygodni temu. Wiatr wciąż zachował w sobie tę ostrość, która powodowała, że ludzie wzdrygali się i zapinali kurtki pod szyję.

Gabriel hasał radośnie po błoniach z piłką w pysku.

Od kiedy Aaron odkrył w sobie niezwykłą zdolność komunikowania się z psem, nie mógł się nadziwić, jak niewiele potrzeba, by uszczęśliwić Gabriela: podrapać za ogonem, dać kawałek sera, pochwalić. Łatwizna. *To musi być wspaniałe uczucie, dostawać tak wiele, samemu dając tak niewiele* - pomyślał, obserwując psa galopującego przed nim.

- *Oddaj mi piłkę!* - zażądał Aaron, opadając na czworaka.

Gabriel warknął, wierzgając i zapierając się tylnymi łapami.

Aaron skoczył w jego stronę i pies momentalnie czmychnął, nie dając się złapać.

- *Chodź tutaj, wariacie* - roześmiał się i zaczął go gonić.

Aaron nie był zbyt rozczarowany faktem, że nie spotkał dzisiaj mężczyzny, którego szukał. Spotkanie z nim oznaczałoby bowiem powrót do rozmyślań nad niezwykłymi wydarzeniami z ostatnich dni oraz do dziwnych pytań . prawdopodobnie równie dziwnymi odpowiedziami, które nie do końca chciał usłyszeć. Złapał Gabriela za kolczatkę na karku i przyciągnął

do siebie warcząca bestię. - *Mam cię!* - zawołał z triumfem, nachylając się do je-go pyska. - *Teraz odbiorę ci piłeczkę!*

Warczenie Gabriela stało się jeszcze głośniejsze. Pies szamotał się w uścisku, próbując się uwolnić. Aaron złapał obślinioną piłkę i wyrwał ją z paszczy Gabriela. - *Nagroda jest moja!* - obwieścił, trzymając piłkę w powietrzu.

- *Nie nagroda* - zaprotestował Gabriel, kiedy mógł już z powrotem mówić. - *To tylko piłka.*

Patrząc na pokrytą gęstą śliną piłkę, Aaron zmarszczył nos ze wstrętem.

- A czym jest piłka? - spytał.

Przyglądał się, jak pies przekrzywia łeb, wodząc wzrokiem za piłką, którą Aaron przerzucał sobie z jednej ręki do drugiej.

- Na pewno masz na nią ochotę, co? - kusił go.

- *Mam wielką ochotę* - odpowiedział Gabriel, zahipnotyzowany ruchem piłki.

Aaron wykonał ruch, jakby rzucał, po czym błyskawicznie schował rękę za plecami. Gabriel wystrzelił jak procy w pogoni za niczym.

Aaron roześmiał się, widząc, jak pies obwąchuje trawę, a nawet spogląda w górę, jakby spodziewał się, że piłka może jeszcze nie spaść na ziemię.

- A kuku! - zawołał do niego. A kiedy Gabriel popatrzył w jego stronę, podniósł piłkę do góry. - Tego szukasz?

Oszołomiony pies wrócił w podskokach.

- *Skąd ją masz?* - spytał zdziwiony. Aaron uśmiechnął się.

- To magia - powiedział i zachichotał pod nosem.

- *Magia* - Gabriel powtórzył jak echo miękkim psim szeptem, który wyrażał zachwyt i zdumienie jednocześnie. Nie spuszczał przy tym wzroku z piłki.

Nagle jego uwagę odwróciło coś za plecami Aarona.

- *Kto to?* - zainteresował się.

- Kto? Gdzie? - Aaron rozejrzał się.

Z początku nie zauważył mężczyzny siedzącego na zatopionej w słońcu ławce po drugiej stronie błoni. Dopiero kiedy ów człowiek pomachał do niego, Aaron poczuł, jak serce zaczyna bić mu coraz szybciej, a w jego głowie pojawiają się różne pytania, na które nie był przekonany, czy chce poznać odpowiedzi.

- *Czy coś się stało?* - spytał Gabriel z troską w głosie.

- Nie, nic. - Aaron nie spuszczał wzroku z mężczyzny na ławce.

- *Więc czego się boisz?*spojrzał na psa z góry, zaskoczony jego pytaniem.

- Nie boję się - odpowiedział, urażony insynuacjami Gabriela.

Pies przyjrzał mu się uważnie, a potem popatrzył na mężczyznę za jego plecami.

- *Obawiasz się tego nieznajomego?*

- Powiedziałem ci, że się nie boję! - zdenerwował się Aaron i zaczął iść w kierunku siedzącego na ławce mężczyzny.

- *Wyczuwam twój strach* - upierał się Gabriel, podąża-za swoim panem.

Od ławki dzieliły ich może dwa metry, kiedy pies pobiegł naprzód z wysuniętym pyskiem, jakby złapał właśnie jakiś trop.

- *Ten człowiek pachnie staro* - stwierdził. - *Staro i dziwnie* - dodał, chwytając zapach w nozdrza. Aaron zobaczył, że nieznajomy się uśmiecha. Jego długie, siwe włosy powiewały majestatycznie na chłodnym wiosennym wietrze.

- Piękny dzień - odezwał się mężczyzna, raczej po angielsku niż w tym prastarym dialekcie, którym przemawiał do niego, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

Gabriel podbiegł do niego, machając ogonem.

- Gabriel, nie wolno! - zawołał Aaron, przyspieszając kroku, żeby złapać psa. - Wracaj tu zaraz! Ale pies skoczył przednimi łapami na ławkę i zaczął lizać nieznajomego po twarzy, jakby byli starymi przyjaciółmi.

- *Witaj, ja jestem Gabriel* - przedstawił się, nie przestając lizać mężczyzny po twarzy, karku i uszach. - *A ty?*

- Nazywam się Ezekiel, ale możesz nazywać mnie Zeke - odpowiedział starzec, głaszcząc psa po miękkim, płowym futrze.

- Mówił pan do mnie czy do psa? - spytał Aaron, chwytając Gabriela za obrozę i delikatnie odciągając go na bok.

- Waruj, Gabriel! - powiedział ostro. - Zachowuj się!

Pies zamilkł i stulił po sobie uszy, zawstydzony, że pan go skarcił.

- Spytał, jak się nazywam, więc mu odpowiedziałem - powiedział Zeke, rozsiadając się wygodnie na ławce i uśmiechając do psa. - Piękne zwierzę. Masz szczęście, że trafił do ciebie. Aaron pogłaskał uspokajająco Gabriela po głowie, a potem roześmiał się chytrze.

- A więc pies nawiązał z tobą dialog?

Zeke odwzajemnił uśmiech.

- Wczoraj przemówiłeś do mnie językiem wybrańca - powiedział, krzyżując ręce na piersi. - A dzisiaj chcesz mi wmówić, że nie rozumiesz własnego psa?

Aaron poczuł się, jakby dostał w twarz. Na jego szyi momentalnie pojawiły się kropelki gorącego potu, który zaczął spływać mu na ramiona.

- Kim... kim jesteś? - spytał. Nie było to może najmądrzejsze pytanie w tej sytuacji, ale jedyne, na jakie mógł się teraz zdobyć. - *Zeke* - pospieszył z pomocą Gabriel, czołgając się w stronę mężczyzny i liżąc go po dłoniach. - *To Zeke, Amonie. Na imię ma Zeke.*

Zeke uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać psa pod brodą.

- Twój pies ma rację. Na imię mam Zeke, a ty jesteś zaraz, jak cię nazwał? Aaron?

Mężczyzna wytarł rękę ze śliny Gabriela w nogawkę spodni i wyciągnął ją w stronę chłopca.

Aaron zawahał się przez moment, ale w końcu uściśnął mu dłoń.

- Bardzo miło mi cię poznać, Aaronie. Przepraszam za wczoraj. Czy bardzo cię wystraszyłem?

Aaron puścił jego dłoń i wzruszył ramionami.

- Nie tyle wystraszyłeś, co zamąciłeś mi w głowie wprowadziłeś w zakłopotanie.

Zeke ze zrozumieniem pokiwał głową i wrócił do głaskania Gabriela.

- Dam sobie głowę uciąć, że ostatnie dni były dla ciebie dość niezwykle.

W głowie Aarona pojawiło się mnóstwo pytań, ale zagryzł zęby i pozwolił, żeby to mężczyzna odkrył pierwszy swoje karty i zdradził, co wie na temat niedawnych wydarzeń. Ale nie wyglądało, żeby się do tego jakoś specjalnie palił.

- A skąd o tym wiesz? - spytał chłopak po chwili milczenia.

Nieznajomy odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i nabrał powietrza w płuca.

- A skąd wiem, że lato jest tuż za rogiem? - spytał retorycznie, pozwalając, by poranne promienie wiosennego słońca ogrzały jego twarz pokrytą siwym zarostem.

Aaron pomyślał, że mężczyzna nie jest wcale taki stary, jak mu się wcześniej zdawało. Na oko wydawał się trochę po sześćdziesiątce, ale miał w sobie coś takiego - szczególnie w oczach i sposobie, w jaki się zachowywał - co sprawiało, że wyglądał na znacznie starszego.

- To jest w powietrzu, chłopcze - powiedział Zeke. - Czuję to.

- Rozumiem - odparł Aaron z przekąsem. - Czujesz w powietrzu, że kiepsko mi się ostatnio wiedzie. To ma jakiś sens.

Zeke skinął głową.

- Coś w tym rodzaju. Wyczuwam, że zaszły w tobie ostatnio pewne zmiany, z którymi nie do końca sobie radzisz.

Aaron włożył piłkę tenisową do kieszeni kurtki, by po chwili wyjąć ją z powrotem. Widząc to, Gabriel wytrzeszczył oczy jak bohater kreskówki Warner Brothers. - Nie wierzę, że rozmawiam z tobą na ten temat - powiedział Aaron, po czym pokazał piłkę Gabrielowi i rzucił ją daleko przed siebie. - Idź się pobaw. Gabriel rzucił się w pogoń za piłką. Przez chwilę obaj patrzyli w milczeniu za psem. Aaron chciał odejść, ale COŚ nie pozwalało mu ruszyć się z miejsca. Być może nadarzała się właśnie okazja, by wyjaśnić sytuację.

- Co się stało najpierw? - Zeke przerwał w końcu milczenie. - Zacząłeś rozumieć inne języki?

Czy pies

przemówił do ciebie, a ty uznałeś, że pomieszało ci się w głowie?

Aaron nie miał wcale ochoty odpowiadać na to pytanie, ale nie było już odwrotu.

- Dziewczyny w szkole rozmawiały po portugalsku. Nie znam tego języka, ale w pewnej chwili zacząłem po prostu rozumieć każde słowo, jakby te dziewczyny mówiły po angielsku.

Zeke po raz kolejny pokiwał głową ze zrozumieniem,

- Nieważne, w jakim języku ktoś mówi - powiedział,

- Od tej pory będziesz rozumiał każdy język jak swój własny. To tylko jedna z dodatkowych korzyści.

Gabriel biegał jak szalony po błoniach, zataczając wielkie koła.

- *Mam piłkę!* - wołał wniebogłosy, nurkując po piłeczkę tenisową leżącą w trawie i trącając ją nosem. Skakał przy tym z niespożytą energią.

- Jak pewnie zdążyłeś się już zorientować, język nie musi wcale należeć do ludzi. - Mężczyzna popatrzył na niego,

- Poczekaj, jak usłyszysz, co ma do powiedzenia leniwiec.

- Przecież to jakiś obłąd - wymamrotał Aaron.

- Niezupełnie - odparł Zeke. - One po prostu mają inną perspektywę postrzegania rzeczywistości.

Aaron zmieszał się.

- Słucham? Kto ma takie zdolności? Jakie „one”?

- Leniwce.

- Nie mówiłem o leniwcach. - Aaron poczuł, jak narasta w nim złość.

- Ach, więc chodzi ci o języki i to wszystko? - zorientował się Zeke. - No cóż, lepiej zacznij się przyzwyczajać, że taki właśnie jesteś.

Aaron odwrócił wzrok od bawiącego się Gabriela i spojrzał mężczyźnie prosto w oczy.

- Mam się przyzwyczać do tego, że oszalałem? To będzie raczej trudne... Zeke pokręcił głową i wznosił ręce do góry. - Nie oszalałeś. Jesteś Nefilimem i nie zmienisz tego. Znow pojawiło się to słowo, które, odkąd usłyszał je po raz pierwszy, kołatało mu się w głowie, nie dając o sobie zapomnieć - jakby nie chciało zniknąć.

- Dlaczego wciąż tak mnie nazywasz? - spytał Aaron z wyraźnym napięciem w głosie, gotów usłyszeć wreszcie ostateczną odpowiedź.

Mężczyzna pogładził palcami długie, siwe włosy. Potem nachylił się do przodu i oparł ręce na kolanach. - Nefilimowie są dziećmi aniołów i...

- Aniołów i kobiet - przerwał Aaron. Nie chciał tracić czasu na coś, co już wiedział. - Wiem, czytałem o tym w bibliotece. A teraz powiedz mi, proszę, co to ma wspólnego ze mną.

- To trochę skomplikowane - przyznał Zeke. - Ale jeśli dasz mi chwilę, postaram się wyjaśnić ci kilka rzeczy.

Przyglądał się Aaronowi intensywnym, a jednocześnie łagodnym wzrokiem, który sugerował, że nie jest zwyczajnym, starym wariatem, ale kimś, kto niegdyś cieszył się dużą władzą.

Gabriel podszedł do świeżo posadzonego drzewa i zaczął je obwąchiwać.

- Przepraszam. - Aaron otrząsnął się z zamyślenia, - Mów dalej.

Zeke podrapał się po nieogolonym policzku, poszukał w głowie właściwego wątku i kontynuował swoją opowieść.

- Dobrze. A więc Nefilimowie są dziećmi aniołów i śmiertelniczek. Niezwykłymi dziećmi, rzecz jasna, Ich matki rzadko doczekały rozwiązania - a i dzieci niekoniecznie przeżywały sam poród. Ale nawet dzisiaj, raz na jakiś czas, na świat przychodzi kolejny Nefilim.

Gabriel wrócił i upuścił piłkę, tym razem wytarzaną w aromatycznej mierzwie, u stóp Ezekiela.

- *Spójrz, Zeke - piłka!*

Mężczyzna sięgnął po piłkę i zaczął obracać ją w palcach. Gabriel nie spuszczał z niej oczu.

- Na pierwszy rzut oka wszystko jest z nimi w jak najlepszym porządku. Ale w rzeczywistości noszą w sobie dwa pierwiastki - boski i ludzki. To wyjątkowo piorunująca mieszanka, a sami Nefilimowie są najbardziej imponującym dziełem Stwórcy.

Zeke podrzucał piłkę w górę i w dół, a Gabriel wodził za nią wzrokiem tam i z powrotem.

Nefilim ma zazwyczaj normalne dzieciństwo, jednak kiedy osiąga dojrzałość, jego anielska natura zaczy-na dawać o sobie znać. Wtedy też zaczynają się problemy, zupełnie jakby te dwie połówki nie potrafiły już dłużej współistnieć. - To mówiąc, Zeke rzucił psu piłkę i Gabriel zniknął znowu na jakiś czas. - Jak widać, dzieje się to najczęściej w wieku osiemnastu, dziewiętnastu lat.

Aaron poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Odwrócił się do mężczyzny siedzącego na ławce. - Chcesz mi powiedzieć... że moja matka... spała z aniołem? Na miłość boską!

Gabriel wrócił z piłką w pysku i zatrzymał się u stóp Aarona, wyczuwając rosnący niepokój swojego pana. Ob-wąchał jego nogę i doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku, więc podszedł do Ezekiela. - Znałeś swojego ojca? - spytał Zeke, powoli podnosząc piłkę.

- To nie ma znaczenia - warknął Aaron, obracając się plecami do starego mężczyzny i psa. Spojrzał na swój samochód, zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Najchętniej by do niego pobiegł. Czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Był na krawędzi załamania nerwowego. A teraz jeszcze to pytanie, które zadał mu Zeke, uderzyło go jak cios rękawicy bokser skiej. Matka umarła przy porodzie, zabierając ze sobą do grobu tożsamość ojca Aarona.

- I tu się mylisz - usłyszał za plecami głos mężczyzny. - To ma ogromne znaczenie.

Aaron odwrócił się do niego. Nagle poczuł się stras nie słaby, całkowicie pozbawiony życiowej energii.

- Istnieje grupa aniołów nazywanych Potęgami. To najstarsi spośród wszystkich aniołów; Bóg stworzył ich jako pierwszych. Niektórzy zwa ich także Strażą Anielską.

Gabriel zauważył kilka mew siedzących nieopodal na ziemi.

- *Duże ptaki* - warknął i zaczął skradać się w ich kierunku, jak jakiś groźny polujący drapieżnik. Zeke wstał z ławki i podszedł do Aarona.

- Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie - powiedział, przygważdżając go wzrokiem. - Potęgi są kimś w rodzaju... - zastanawiał się przez chwilę. - To coś w rodzaju tajnej policji, boski oddział szturmowy. Ich zadaniem jest eliminowanie wszystkiego, co uznają za obrazę majestatu Stwórcy.

Aaron był zakłopotany.

- Nie rozumiem - powiedział, kręcąc głową.

- Strażnicy uznali dawno temu, że Nefilimowie stanowią właśnie taką obrazę. Skazę w wizerunku Boga.

- Czy to znaczy, że ci aniołowie zabijają Nefilimów? spytał Aaron, choć tak naprawdę znał już odpowiedź. Zake powoli skinął głową, a jego twarz przybrała złowieszczy wyraz.

- Na początku to była rzeź. Większość Nefilimów została wymordowana, kiedy byli jeszcze dziećmi. Nie wiedzieli nawet, dlaczego muszą umrzeć. - Starzec zła-pał Aarona za ramiona w potężnym uścisku. - Posłuchaj mnie uważnie, bo od tego może zależeć twoje życie. Uchwyt Ezekiela był tak mocny, że sprawiał ból. Aaron chciał się wyrwać, ale nie był w stanie. Starszy mężczyzna okazał się niewiarygodnie silny, - To dzieje się także dzisiaj, Aaronie. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Wciąż rodzą się Nefilimowie, a kiedy zaczynają ukazywać swoją prawdziwą naturę, Strażnicy ich odnajdują. Aaronowi w końcu udało się oswobodzić z uścisku.

- Odejdź i daj mi święty spokój! - warknął.

- Potęgi odnajdują ich i mordują. Nie znają litości. W ich oczach jesteś wybrykiem natury; czymś, co nigdy nie powinno się zdarzyć.

Aarona nagle obleciał strach.

- Muszę już iść - powiedział, szukając wzrokiem psa. Zagwizdał na palcach i dojrzał w oddali Gabriela, który obsikiwał właśnie kosz na śmieci. Pies usłyszał gwizdanie i zaczął biec w ich stronę.

- Posłuchaj mnie, Aaronie - ostrzegł go Zeke. - Twoja moc właśnie rozkwita. Jeśli nie będziesz ostrożny...

Aaron obrócił się na pięcie i błyskawicznie podszedł do swego rozmówcy, zaciskając z furją pięści. Nie potrafił się już powstrzymać. Był przerażony - przerażony i wściekły - ponieważ zaczął wierzyć w nieprawdopodobną opowieść Ezekiela. Pragnął odpowiedzi, ale nie takich - te prowadziły prosto na oddział zamknięty szpitala psychiatrycznego.

- Co takiego? - wrzasnął. - Jeśli nie będę ostrożny, boski oddział szturmowy spadnie z nieba i pozbawi mnie życia?

Nagle przypomniał sobie powracający wielokrotnie sen, a właściwie koszmar i zrobiło mu się niedobrze, Jego wściekłość jeszcze wzrosła.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie - odparł Zeke - ale musisz mi uwierzyć. Dzieje się tak od tysięcy lat i...

- Zamknij się wreszcie! - Aaron wybuchnął mu prosto w twarz. - Po prostu zamknij tę swoją niewyparzoną gębę! - To mówiąc, odwrócił się i odszedł kilka kroków, po czym wrócił. - A ty skąd to wszystko wiesz? - spytał, niemal wsadzając obdartusowi palec wskazujący w oko.

- Skąd znasz tę opowieść o Nefilimach, Potęgach i zabijaniu?

Mężczyzna przemówił, całkowicie opanowany: - Myślę, że znasz już odpowiedź na to pytanie. A je-śli nie - pomyśl lepiej.

Aaron wybuchnął głośnym, okrutnym śmiechem, który zaskoczył nawet jego.

- Pozwól, niech zgadnę. Też jesteś Nefilimem? Zeke uśmiechnął się smutno i pokręcił głową. - Nie jestem Nefilimem. - Mówiąc to, zaczął zdejmować wytarty prochowiec. Pod spodem nosił luźny, zielony sweter i sprane, wyblakłe dżinsy. - Jestem upadłym aniołem. Grigori, dokładnie rzecz ujmując - powiedział, podchodząc bliżej.

Po chwili zdjął także sweter z jednego ramienia, Ukazując nieprawdopodobnie blade ciało i coś jeszcze. Dziwne zgrubienie na plecach, długie na około piętnaście centymetrów, wyrastające wprost z jego łopatki.

Wypukłość była pokryta czymś, co na pierwszy rzut oka wydało się Aaronowi delikatnym białym futerkiem. Ale kiedy przyjrzał się bliżej, okazało się, że to nie futro, lecz białe pióra.

Aaron odskoczył do tyłu, kiedy zobaczył, że wybrzuszenie zaczyna się poruszać w górę i w dół.

Ten sam ruch widać było po drugiej stronie pleców, zakrytej swetrem.

- Co to, u diabła, jest? - wykrztusił Aaron, jednocześnie zafascynowany i przerażony tym widokiem.

- Tylko tyle mi z nich zostało - westchnął Zeke, a w jego głosie zabrzmiał ogromny smutek. - To są pozostałości po moich skrzydłach.

ROZDZIAŁ 5

Wiesz co, widziałem już wystarczająco dużo. - Aaron podniósł ręce w geście rezygnacji. - Mam dość jak na jeden dzień. Czuł, że spada coraz głębiej i głębiej w otchłań szaleństwa. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz miał towarzysza swojej podróży. Nawet głos rozsądku w jego głowie zamilkł z wrażenia. *Może to wszystko prawda - pomyślał. Czym innym mogły być te „rzeczy” na jego plecach, jak nie skarlłowaciami skrzydłami...* Na samą myśl o tym miał ochotę uderzyć się w twarz. *Nie ma mowy.*

Wolałbym już chyba mieć guz w mózgu, który powoduje że rozumiem te wszystkie języki - i że rozmawiam z własnym psem. Tak byłoby chyba łatwiej - skonstatował smutno. Wtedy mógłby przynajmniej potraktować starca jak kolejnego szaleńca.

Aaron jeszcze raz zawołał psa.

- Chodź, Gabriel - klasnął w dłoń. - Przejedziemy się.

Postanowił, że najwyższy czas opuścić szalonego mężczyznę i jego chore urojenia.

- Aaronie, proszę - usłyszał za plecami błagalny głos Ezekiela. - Mam ci jeszcze więcej do powiedzenia - i pokazania. Aaronie?

Ale chłopak nie zareagował. Nie pozwoli dłużej wciągać się w otchłań obłądu. Zeke był wprawdzie dosyć przekonujący w swojej opowieści i na pewno znał odpowiedzi na wiele pytań. Ale anioły? Tego już było za wiele. Jeszcze dzisiaj skontaktuje się z doktorem Jonaszem i poprosi go o konsultację z tym neurologiem ze szpitala Mass General. Oni dwaj na pewno znajdą jakieś racjonalne wytłumaczenie jego stanu - *czy to w ogóle można nazwać „stanem”?* - i wspólnie rozwiążą tę kłopotliwą sytuację, w jakiej się *znalazł*. Jeśli nawet wykryją u niego guz mózgu, będzie to lepsze niż obecne szaleństwo.

Anioły. To przecież kompletny absurd.

Aaron chciał się upewnić, że pies wciąż trzyma w pysku piłkę tenisową. To była ulubiona zabawka jego labradora i oczami wyobraźni widział, jak szuka jej tu o dziesiątej wieczorem z latarką.

Ale psa nie było nigdzie w pobliżu.

Aaron rozejrzał się po błoniach. Może jego uwagę przykuł jakiś ptak albo wiewiórka, jak to się już wcześniej zdarzało. A może wywąchał coś ciekawego w krzakach? Wreszcie dostrzegł go na drugim końcu trawnika, w miejscu gdzie nie było żadnego ogrodzenia. Pies stał *przy nodze*

Ezekiela. Aaron podszedł kilka kroków w ich stronę, zastanawiając się, w jaki sposób udało im się zejść tak daleko w takim krótkim czasie.

- Hej, Gabriel! - zawołał, zwiijając dłonie w trąbkę i przykładając je do ust, żeby głos brzmiał donośniej. - Chodź, piesku. Jedziemy na przejażdżkę. Ale pies nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Stał w dalszym ciągu obok Ezekiela, patrzył i merdał ogonem. Gdzieś na samym dnie żołądka Aaron poczuł niemiłe uczucie. Znał je już wcześniej - pojawiała się najczęściej tuż przed tym, gdy miało się wydarzyć coś złego. Przypomniawszy sobie, jak całkiem niedawno miał dokładnie takie samo przecucie i odkrył wtedy, że Stevie odkręcił w łazience kurek z gorącą wodą, kiedy wszyscy spuścili go na chwilę z oczu. Gdyby nie to uczucie, które kazało Aaronowi poszukać źródła owego niepokoju, chłopiec mógłby się bardzo dotkliwie poparzyć. Teraz odczuwał coś bardzo podobnego - tylko jeszcze intensywniej. Aaron ruszył w ich stronę.

- Gabriel, chodź tutaj! - zawołał do psa najbardziej srogim głosem, na jaki potrafił się zdobyć. - Do mnie!

Pies spojrzał na chwilę w jego kierunku, ale Zeke natychmiast odwrócił jego uwagę, pokazując psu piłkę. Patrzył przy tym na Aarona. Jego ręka z piłką zawisła w powietrzu.

Potworne uczucie skręcające mu wnętrzności nasiliło się jeszcze bardziej. Aaron przyspieszył kroku, a potem zaczął biec.

Zeke zerknął na ulicę, jakby sprawdzał, czy może przejść na drugą stronę. Była poranna godzina szczytu i ulicą sunął sznur samochodów. Ludzie spieszyli się do pracy. Zeke po raz kolejny pokazał Gabrielowi piłkę i Aaron zobaczył jak ciało psa tężeje, gotując się do skoku.

- Hej! - Aaron wrzasnął łamiącym się głosem. Był już prawie na miejscu, zostało mu jeszcze najwyżej sześć metrów.

Zeke popatrzył na ulicę, a potem na Aarona.

- Wybacz - powiedział, podnosząc głos.

Aaron, ogarnięty paniką, zaczął biec coraz szybciej. - Gabriel! - krzyknął, ile sił w płucach. - Gabriel, spójrz na mnie!

Pies nawet nie obrócił głowy, cały czas wpatrywał się jak zaczarowany w wiszącą w powietrzu piłkę. Aaronowi brakowało może trzy metry, żeby ich dopaść.

- Nie ma innego wyjścia - odezwał się mężczyzna, patrzył jeszcze raz na jadące samochody, a potem rzucił piłkę prosto na ulicę.

Aaronowi zdawało się, że obserwuje całą scenę jak na filmie w zwolnionym tempie. Piłeczka tenisowa opuściła dłoń mężczyzny i poszybowała w powietrze. Aaron usłyszał głos, który musiał należeć do niego: - Gabriel, nie!

Ale było już za późno. Pies skoczył za piłką, która odbiła się od jezdni, i miał już ją prawie w pysku, kiedy w bok uderzył go biały Ford Escort, wyrzucając psa w powietrze jak piórko.

Rozległ się najstraszniejszy dźwięk, jaki Aaron kiedykolwiek słyszał w życiu. Najpierw przeraźliwy pisk opon hamujących na asfalcie, a potem głuchy łoskot masywnego, gumowego zderzaka uderzającego w futro, ciało i kości. Akcja w zwolnionym tempie ustała w momencie, kiedy bezwładne ciało Gabriela, skrócone pod nienaturalnym kątem uderzyło o ulicę.

- O, mój Boże - nie! - wrzasnął Aaron i pobiegł do swojego ukochanego psa. Upadł na kolana tuż przy nim. *Tyle krwi* - pomyślał. Pokrywała piękne, biszkoptowe futro labradora i sączyła mu się z pyska. Rozlewała się nawet po jezdni gdzieś spod niego.

Aaron ostrożnie wziął swojego najlepszego przyjaciela w ramiona.

- O Boże! O Boże! O Boże! O Boże! - zawodził, wtulając twarz w futro Gabriela.

Przyłożył ucho do jego ciała, nasłuchując bicia serca. Ale ryk klaksonów i głosy zbierających się gapiów zagłuszały wszystko.

- Zamknijcie się wszyscy! - wrzasnął, podnosząc głowę.

Ciało Gabriela przeszył nagły dreszcz. *On jeszcze żyje*, Aaronowi napłynęły do oczu łzy szczęścia. Nachylił się i zaczął szeptać psu do ucha: - Nie martw się, piesku, Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

-Aaron? - wyszeptał słabym głosem Gabriel.

- Cicho, piesku - uspokoił go Aaron. - Trzymam cię, Wyjdiesz z tego.

Pogłaskał zakrwawione futro psa, nie wierząc zbytnio w to, co sam przed chwilą powiedział. Miał wrażenie, że rozpadnie się na tysiąc kawałków. Chciało mu się wyć. Rozszarpać starca na strzępy. Ale wiedział, że musi panować nad sobą. Musiał ratować Gabriela. Tylko to się teraz liczyło.

- *Aaronie... Aaronie, bardzo boli* - zachrypiał Gabriel.

Jego ciałem zaczęły wstrząsać spazmy, a z pyska popłynęła strużka spienionej różowej krwi. - Trzymaj się, przyjacielu. Pomogę ci. Aaron próbował go podnieść, ale Gabriel wydał z siebie tak przeraźliwy skowyt bólu, że Aaron odskoczył jak uderzony pięścią w twarz.

- Co ja mam zrobić? - zapytał na głos, czując, jak panika zaczyna brać nad nim górę. - On umiera. Co robić?

Przez głowę przeleciała mu myśl, że może dobrze byłoby się pomodlić i już miał to zrobić, kiedy dotarło do niego, że nawet nie wie jak.

-Jeżeli chcesz, żeby Gabriel przeżył, musisz mnie posłuchać - usłyszał głos za plecami. Odwrócił się i zobaczył stojącego nad nim Ezekiela.

- Odwal się, sukinsynu! - wrzasnął na niego. - Ty to zrobiłeś! To twoja sprawka!

- Posłuchaj! - Zeke nachylił się i syknął mu do ucha: Jeśli nie chcesz, żeby on umarł, rób, co mówię!

Po raz pierwszy Aaron pomyślał, że nie da rady. Nawet po tym wszystkim, co w życiu przeszedł i czego doświadczył w zderzeniu z amerykańskim systemem opieki społecznej, nigdy nie porzucił nadziei, że w końcu wszystko jakoś się ułoży. Ale teraz, kiedy patrzył na swojego ukochanego psa, który umierał na jego rękach, nie miał już takiej pewności.

- Aaron! - z odrętwienia wyrwał go krzyk Ezekiela., - Chcesz, żeby Gabriel wykrwawił się na tej brudnej ulicy? Naprawdę tego chcesz?

Aaron, z twarzą mokrą od łez, spojrzał na mężczyznę.

- Nie chcę - wykrztusił w końcu. - Chcę, żeby przeżył. Proszę... proszę, pomóż mu...

- Nie ja. - Zeke pokręcił głową. - Tylko ty. To ty musisz pomóc Gabrielowi.

Mężczyzna ukląkł obok.

- Nie mamy chwili do stracenia - powiedział, przyglądając się konającemu zwierzęciu. - Połóż na nim dłonie - szybko!

Aaron zrobił, jak mu kazał, i położył ręce na boku psa

- A teraz zamknij oczy - poinstruował go starzec.

- Ale nie możemy... - Aaron próbował protestować

- Zamknij oczy, do cholery! - rozkazał Zeke. Aaron posłuchał go, nie zdejmując rąk z Gabriela. Ciało psa wydawało się stygnąć i Aaron wpadł w jeszcze większą panikę. Otaczający ich zgiełk jakby nieco przycichł.

- Błagam, Zeke! - jęknął, czując, jak życie jego ukochanego psa wymyka mu się z rąk.
- To już nie zależy ode mnie - pokręcił głową starzec - tylko od ciebie.
- Ale ja nie rozumiem. Jeżeli teraz zawieziemy go do weterynarza, to może...
- Weterynarz nic tu nie pomoże. Gabriel umrze w ciągu kilku minut, jeśli czegoś nie zrobisz - powiedział Zeke. Musisz to w sobie wyzwolić, Aaronie. - Co wyzwolić? Nie rozumiem...
- A co tu rozumieć? To jest w tobie i czeka. Było tam od chwili, w której przyszedłeś na świat - czekało właśnie na ten moment.

Aaron załkał, opuszczając głowę na piersi. - Ja... ja nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz. - Nie czas na łzy, chłopcze. Poszukaj tego w ciemności. Jest tam, czuję jego zapach. Widzisz to?

Gabriel umrze - zdał sobie sprawę Aaron, klęcząc obok psa i trzymając na nim ręce. Nie było innej możliwości. Starzec miał urojenia i był niebezpieczny. Aaron zastanowił się czy nie zatrzymać go do czasu przyjazdu policji - to równie dobrze mogło być małe dziecko, nie pies. Być może Zeke powinien trafić za kratki albo do szpitala, gdzie otrzyma stosowną opiekę.

Aaron miał już otworzyć oczy, kiedy nagle poczuł w głowie szum i coś zobaczył. W mroku kryło się coś, czego nigdy wcześniej nie widział.

I to coś zbliżało się w jego stronę. *Czy to o tym mówił Zeke?* - pomyślał Aaron, na krawędzi paniki. Skąd wiedział, że tam jest? I co tak naprawdę zmierzało na spotkanie z nim w ciemności?

-Ja... ja coś widzę - powiedział z niedowierzaniem,

- Co mam robić?

- Przywołaj to, Aaronie - poinstruował go Zeke. - Ale nie głosem, tylko siłą umysłu. Powitaj to i daj mu odczuć, że jest oczekiwane.

Aaron posłuchał go i sięgnął w głąb swojego umysłu. Trudno było dostrzec, z czym ma do czynienia, ponieważ kształt, który zobaczył, zmieniał się co chwilę

- ale wyglądało to jak jakieś zwierzę, które nieubłaganie zmierzało w jego kierunku.

Halo? - pomyślał i zrobiło mu się głupio. Mimo to za wszelką cenę starał się zrobić cokolwiek, by nawiązać kontakt z tajemniczą istotą. *Czy... czy mnie słyszysz? A może to tylko jakiś chory wytwór mojej wyobraźni, spowodowany stresem?* - przyszło mu do głowy.

Wkrótce okazało się, że to mysz przedzierająca się przez mrok. Jej futro było tak białe, że zdawało się emanować jakimś niezwykłym światłem.

Nie mam pojęcia, co powinienem zrobić - ani czym jesteś, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc mojemu przyjacielowi.

Mysz zatrzymała się - była tak blisko, że prawie dotykała go swoimi czarnymi oczami. A potem przysiadła na tylnych łapach, jakby zastanawiając się nad jego słowami, i zaczęła się czyścić.

Czy... czy mnie rozumiesz? - Aaron skupił wszystkie myśli, żeby zadać myszy to pytanie.

Ale teraz to już nie była mysz i Aaron aż westchnął z wrażenia. Zamieniła się w sowę o śnieżnobiałym futrze, a potem - zanim Aaron zdążył pomyśleć, co się stało - zrobiła to po raz kolejny. Z sowy przepoczwarzyła się w ropuchę albinoskę - a z niej w białego królika. Od tego momentu istota w głowie Aarona z szybkością błyskawicy przybierała coraz to nowe kształty i formy: Z robaka w ssaka, z ptaka w rybę. Ale pomimo iż cała reszta ulegała kolejnym metamorfozom, oczy wciąż pozostawały takie same. W tych ciemnych, głębokich ślepiach widać było jakąś niesłychaną inteligencję - i nie tylko. To coś go знаło, a on w jakiś sposób znał to coś. Ostatnim wcieleniem istoty w głowie Aarona był jak dotąd wąż - a konkretnie kobra, która kołysała się na swoim umięśnionym ogonie. Z jej paszczy wydobywało się groźne syczenie, wyraźnie szykowało się do ataku.

- Nie podoba mi się to, Zeke - powiedział głośno Aaron, nie otwierając jednak oczu. - Musisz mi powiedzieć, co mam robić.

- Nie bój się, Aaronie. To część ciebie. Byłeś taki, odkąd zostałeś poczęty - wyjaśnił mu Zeke. — Ale musisz się spieszyć. Gabrielowi nie zostało wiele czasu.

- Ale ja nie mam pojęcia, co robić! - krzyknął Aaron. Przed oczami zatrzepotał mu koliber.

- Rozmawiaj z nim - warknął Zeke. - I zrób to, czego się dowiesz.

Mój pies umiera - Aaron skierował swoje myśli do zmiennokształtnej istoty, która unosiła się przed nim w oceanie czarnej smoły. - *Być może nawet już nie żyje, ale ja nie mogę się poddać.*

Proszę, czy możesz mi pomóc? Czy jest coś, co możesz zrobić, by pomóc mi go uratować?

Istota przybrała postać płodu, jakby ludzkiego, ale nie do końca. To coś unosiło się po prostu w błoniastym worku, nie odpowiadając na wezwania Aarona, a jedynie obserwując go swoimi ciemnymi oczami.

Aaron był wściekły. Czas uciekał, a on rozmawiał z jakimś prenatalnym wytworem własnej chorej jaźni.

Mam tego dość - w jego głowie rozległ się krzyk - Jeżeli potrafisz mi pomóc, zrób to. A jeśli nie, wynoś się z mojego umysłu i pozwól mi zawieźć psa do weterynarza.

Jak statek zmieniający kurs, przypominająca noworodka zjawa powoli obróciła się, zmieniła w jakąś rybę i zaczęła odpływać.

-To... to odchodzi, Zeke.

Aaron poczuł na ramieniu mocny uścisk dłoni mężczyzny.

- Nie pozwól mu odejść. Mów do niego, Aaronie. Błagaj by wrócił. Bez względu na to, czy jesteś gotowy, czy nie, tylko w ten sposób możesz ocalić Gabriela.

Proszę - Aaron przeniósł się z myślami w mroczne od-męty. - Błagam, nie pozwól mu umrzeć. Ja... nie wiem, co bez niego zrobię.

Ryba, która teraz była już iguaną, odpływała w nicość.. Po drodze zamieniła się jeszcze w świecącego nietoperza, a potem w parecznika, ale tak czy inaczej, od-dalała się, z każdą chwilą niknąc w oddali. Wtedy Aaron zdobył się na coś, czego nie potrafił uzasadnić, Po raz ostatni odezwał się do widziadła w swojej głowie, ale tym razem zrobił to w starożytnym języku, którym przemówił do Ezekiela przy pierwszym spotkaniu, który on nazwał językiem posłańców.

- Proszę, pomóż mi - wyszeptał w pradawnym dialekcie - Jeżeli potrafisz to uczynić, nie pozwól umrzeć mojemu przyjacielowi.

Z początku nie zauważył, by jego prośba odniosła jakikolwiek efekt. Lecz po chwili ujrzał szympansa, który zawrócił i powoli zbliżał się swoim komicznym chodem.

- *On wraca* - Aaron powiedział do anioła w tym samym wymarłym języku.

- *Otwórz się na niego* - odparł Zeke. - *Przyjmij go i zaakceptuj jako część siebie.*

Aaron gwałtownie potrząsnął głową, nie otwierając oczu.

- *Co to znaczy?* - zapytał.

Upadły anioł wbił mu kurczowo paznokcie w ramiona.

- *Zaakceptuj to, albo oboje zginiecie.*

Aaron miał przed sobą drapieżnego kota, patrzył wprost w oczy przerażającej bestii.

- *Akceptuję cię* - powiedział w mowie posłańców, nie wiedząc za bardzo, jak powinien się zachować. Pantera podniosła łeb i znów stała się wężem, choć zupełnie innym niż te, które Aaron widział do tej pory. Jego oślisze ciało było pokryte kępkami jedwabistych włosów oraz

małymi, umięśnionymi kończynami, które z niecierpliwością unosiły się w powietrzu. Jednak najdziwniejsze i najbardziej przerażające było to, że wąż posiadał twarz, która w niczym nie przypominała gadziego oblicza. Twarz tego węża wyrażała zadowolenie - a sposób, w jaki wymachiwał swoimi zdeformowanymi mackami, sugerował Aaronowi, że on także został zaakceptowany.

W pewnym momencie bestia zaczęła jarzyć się niesamowicie jasnym światłem. Aaron mógł rozróżnić wszystkie żyły i naczynia włoskowate na jej ciele. Po chwili światło stało się wręcz oślepiające, a ciemność, która wcześniej spowijała gada, zniknęła gdzieś, tak jak noc ustępuje miejsca brzaskowi.

Nagle ciało Aarona przeszył potężny i bolesny zastrzyk energii. Poczul się, jakby został porażony ładunkiem elektrycznym o sile kilku tysięcy woltów. Aaron otworzył oczy i zobaczył, że życie Gabriela właśnie do-biega końca.

Już czas, Aaronie - usłyszał głos Ezekiela. Spojrzał na niego. Z jakiegoś powodu starzec płakał. Aaron poczuł mrowienie w dłoniach. Nie było to jednak przyjemne, lecz raczej bolesne uczucie. Kiedy na nie popatrzył, zobaczył, że na opuszkach palców tańczą skwierczące białe ogniki, przypominające krótkie spięcia w sieci elektrycznej.

- Co się ze mną dzieje? - spytał, bojąc się nawet wziąć ddech.

- Jesteś teraz całością, Aaronie. Stałeś się kompletny.

Chłopak instynktownie poczuł, co należy zrobić. Nie odrywając wzroku od swoich rąk, odwrócił je dłońmi dół i po raz kolejny położył na ciele Gabriela. Poczul, jak energia opuszcza jego ciało i przeskakuje na psa, wbija się pod futro, pod skórę i przenika wnętrzości. Powietrze wokół wypełnił zapach ozonu.

Ciało Gabriela zwijało się i rzucało na asfalcie, ale Aaron nie zdejmował z niego rąk. Krew, która jeszcze przed chwilą pokrywała biszkoptowe futro, zaczęła wysychać, tlić się i parować oleistymi smugami, które wiły się w powietrzu.

- Myślę, że zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy - powiedział spokojnym tonem Zeke.

Aaron zdjął ręce ze zwierzęcia. Przez krótki moment na ciele Gabriela zostały odciski jego dłoni, ale i one szybko zniknęły. Potężne uczucie, które jeszcze przed chwilą wypełniało Aarona, wyraźnie słabło, ale pomimo tego, wciąż czuł się inaczej - zarówno mentalnie, jak i fizycznie.

- Co zrobiłem? - Aaron zamrugnął oczami, przenosząc wzrok z Gabriela na Ezekiela i z powrotem. Pies oddychał słabo, ale regularnie, jakby właśnie uciął sobie krótką drzemkę.

- To, co było konieczne, byście razem z Gabrielem pozostali przy życiu - odparł Zeke złowrogo. Aaron wyciągnął rękę i dotknął głowy psa.

- Gabriel? - powiedział ostrożnie, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, czego był przed chwilą świadkiem.

Pies powoli podniósł łeb, ziewnął przeciągle i popatrzył na Aarona.

- *Cześć, Aaron* - przywitał się wesoło, przewracając się na brzuch.

Aaron poczuł, jak łzy napływają mu znów do oczu. Nachylił się i uściaskał psa.

- Wszystko w porządku, piesku? - spytał, tarmosząc go za kark i całując w pysk.

Nic mi nie jest, Aaronie - odparł Gabriel. Wyglądał na zdenerwowanego, rozglądał się wokół, próbując uwolnić się z uścisku swojego pana. *Widziałeś gdzieś moją piłkę?* - spytał głosem, w którym słychać było zaskakującą inteligencję. Aaron z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie jest jedyną osobą, która przeszła metamorfozę.

*

Za późno - pomyślał anioł Kamael z wysokości dachu budynku, na którego krawędzi przycupnął niczym upiorny gargulec. Ze smutkiem przyglądał się restauracji płonącej poniżej.

Za późno, by uratować jeszcze jednego.

Gęsty szary dym buchał przez wybitą szybę restauracji Eddy's Breakfast and Lunch. Żywe języki pomarańczowych płomieni, wydobywające się z samego środka

pożaru, miały nadzieję, że uda im się pożreć coś jeszcze, coś, co zaspokoi ich wilczy apetyt.

Ze swojej grzędę po drugiej stronie ulicy Kamael obserwował, jak strażacy walczą z pożogą, kierując strumienie wody wprost w rozszałale piekło, tak by ogień nie przedostał się na sąsiednie budynki. *Muszą być bardzo wytrwali i cierpliwi* - pomyślał anioł, bo tego ranka przyszło im się zmierzyć z najbardziej nienaturalnym żywiołem, z jakim kiedykolwiek mieli do czynienia.

Kamael zaplanował sobie, że dzisiaj nawiąże kontakt z dziewczyną, wyjaśni jej, jakie zmiany zachodzą w jej organizmie i ostrzeże przez zagrożeniem, jakie się z tymi zmianami wiąże. Zagrożeniem, z którego skali nawet on nie zdawał sobie do końca sprawy.

Kamael obserwował tę dziewczynę (*Jak jej było na imię - chyba Susan?*) - od chwili, w której dostrzegł u niej pierwsze symptomy nadciągającej transformacji. Dzisiaj coraz trudniej było znaleźć ich wszystkich - świat stał się dużo większym i bardziej skomplikowanym miejscem niż na kiedyś. Nieprzyjaciół posługiwał się tropicielami, ludzkimi psami gończymi. On sam jednak nie potrafił działać w taki sposób, wykorzystując do swoich celów te często godne współczucia istoty. Kamael uważał, że to zbyt okrutne.

Susan była samotnikiem, podobnie jak większość należących do jej rasy. Żyła sama, bez bliskich przyjaciół ani rodziny. Ale pracowała jako kelnerka i praca ta zdawała się być centrum jej świata. Tutaj odżywała na nowo, otoczona tłumami rozmawiających i jedzących ludzi. Obsługiwała ich, nawiązywała często rozmowę, a potem żegnała ciepłym słowem i serdecznym gestem. U Eddy'ego czuła się dobrze, na zewnątrz było obco i wrogo.

Kamael śledził ją, czekając na jakikolwiek znak zwiastujący przemianę, która miała w niej nastąpić. Zaczął nawet odwiedzać restaurację, by móc poznać ją bliżej. Nie musiał długo czekać. Z dnia na dzień zaczęła wyglądać coraz bardziej niechlujnie, a pod oczami pojawiły się ciemne sińce - bezsprzeczny dowód na to, że nie może spać. Jako pierwsze pojawiały się zazwyczaj sny - zbiorowe wspomnienia całej rasy, sięgające tysiący lat wstecz, które gromadziły się w tym samym miejscu i składały w jedną całość. To wystarczyło, by niektórzy popadali w obłęd, nie doczekawszy innych zmian, które miały dopiero nastąpić.

Strażacy poniżej wydawali się już panować nad sytuacją, wchodzili ostrożnie do budynku, zapewne, by odnaleźć ciała ludzi, którzy zostali uwięzieni wewnątrz.

Kamael westchnął ciężko. O tej godzinie restauracja była z reguły pełna gości - tych, którzy wracali z nocnej zmiany i tych, którzy mieli dopiero rozpocząć pracę. *Werchiel na pewno sam wybrał tę porę* - pomyślał anioł, obserwując, jak strażacy wynoszą z dogasającego budynku ciała pierwszych ofiar.

Dziewczyna musiała być już w dużo bardziej zaawansowanej fazie przemiany, niż się spodziewał, skoro znaleźli ją z taką łatwością. Gdyby zareagował wcześniej być może dałoby się tego uniknąć. Może udałoby mu się przekonać młodą kobietę, żeby uciekała, zanim Potęgi wpadną na jej trop.

Z następnymi będzie musiał działać dużo szybciej.

Strażacy układali kolejne zwęglone ciała za pospiesznie wzniesionym parawanem, na chodniku przed zgliszczami budynku, który jeszcze dzisiaj był restauracją Eddy's Breakfast and Lunch. Do tej pory Kamael naliczył szesnaście ofiar. Ciała dziewczyny jeszcze nie odnaleziono.

Ostatnie ataki Straży Anielskiej cechowała wyjątkowa brutalność, kompletny brak poszanowania dla niewinnych istnień postronnych ludzi i wyraźna desperacja. Kamael przypomniawszy sobie morderstwo Samchii w Hong -kongu. Zawsze były ofiary. Takimi metodami posługiwali się Strażnicy, bo taka już była ich natura. Ale ostatnio... Skąd ta nagła eskalacja przemocy? To go niepokoiło. Co tak wzburzyło i rozsierdziło ich mocodawcę?

Kamael wzdrygnął się na myśl, która właśnie przyszła mu do głowy. A jeśli to ona była Wybranką? Co jeśli Susan była tą, która została przepowiedziana tysiące lat temu?

Przypomniał sobie chwilę, gdy sam zboczył z wybranej wcześniej ścieżki. Wydawało mu się, że zdarzyło się to zaledwie kilka chwil temu. Zostali zesłani z nie-ba do starożytnego miasta Urkish, by wytepić wszelkie zło, które się tam zaległo. Mówiło się, że to właśnie Urkish było rajem dla nieczystych; miejscem, gdzie ci, którzy obrazili Boga, mogli żyć w ukryciu, przez nikogo nie niepokojeni. Potęgi zostały wysłane ze świętą misją, a każdy, kto im się sprzeciwił, ginął z ich ręki i w obliczu ich prawości.

W kryjówce zbudowanej z błota i słomy znaleźli starca - jasnowidza, który jedno oko miał przesłonięte mlecznym bielmem. Wraz z nim odnaleziono dziesiątki glinianych tablic, na których została spisana przepowiednia. Jako pierwszy gryzmoły starca odczytał Werchiel, były kapitan Kamaela. Słowa przepowiedni mówiły o związku anioła i człowieka, którego owocem miało być wyjątkowe potomstwo - bardziej wyjątkowe niż ludzie czy anioły - które miało okazać się kluczem do ponownego zjednoczenia tych, którzy zostali niegdyś wyrzuceni z Raju z ich najświętszym Ojcem.

- *To bluźnierstwo!* - ryknął dowódca, a potem potłukł tabliczki na drobne kawałki.

Tego dnia miasto Urkish zostało zmiecione z powierzchni świata i wszelki ślad po nim zaginął. Jednak słowa nie zginęły. Bez względu na to, jak bardzo starał się o nich zapomnieć, Kamael nie potrafił wymazać z pamięci przepowiedni jednookiego starca. Była w niej zawarta obietnica nadejścia czasów pokoju, w których nie będzie już wymierzania kary ani stawiania twarzą twarz ze śmiercią. To właśnie te słowa sprawiły że Kamael porzucił przed wiekami swoich braci i ich świętą misję. Mimo upływu czasu, słowa te wciąż nie dawały mu spokoju.

A zatem - jeżeli to właśnie Susan była potomstwem z przepowiedni? Kamael zadawał sobie to pytanie za każdym razem, gdy było już za późno, by ratować którego z nich. Co jeżeli to ona była kluczem do zjednoczenia upadłych z Bogiem? I co, jeżeli, przekonany o swojej nieomyślności, Werchiel pozbawiał nas jedynej szansy, wypalając wszystko na swojej drodze oczyszczającym ogniem?

Kamael dostrzegł wreszcie ciało Susan, które strażacy wynieśli z dogasających zgliszczy jako jedno z ostatnich.

Jej poczerniałe od ognia kończyny wyciągały się ku niebu, jakby błagając o ratunek w ostatniej chwili życia.

Kamael poczuł ból i smutek, że nie zdążył jej pomóc. *A co, jeśli...* - usłyszał w głowie znajomy głos, który jeszcze niedawno udawało mu się skutecznie uciszać.

Nie mógł już dłużej myśleć w ten sposób. Musi działać dalej, inaczej wszystkie dotychczasowe ofiary pójdą na marne.

Anioł odwrócił się plecami do masakry, której efekty widać było na dole i poszedł w drugą stronę. Wystawił twarz w kierunku porannego słońca i wciągnął powietrze do płuc.

Byli jeszcze inni, którzy go potrzebowali.

Mając na plecach Potęgę, musi się spieszyć, jeśli ktokolwiek w ogóle ma ocaleć.

*

Zeke wskazał Aaronowi miejsce. W niewielkim po-mieszczeniu było tylko jedno krzesło - czarny, skórzany fotel biurowy, prawdopodobnie znaleziony na śmietniku. Przez środek fotela biegł szeroki pas szarej taśmy izolacyjnej i Aaron dotknął jej, zanim usiadł, żeby sprawdzić, czy nie jest lepka.

Po tym, co wydarzyło się na ulicy biegnącej wzdłuż błoni, cała trójka ulotniła się jak najszybciej z miejsca zdarzenia by uniknąć trudnych pytań. Kobieta kierująca białym Fordem Escortem nie posiadała się z radości, widząc, że nie zabiła Gabriela i poklepała go nawet, zanim wsiadła z powrotem do samochodu i odjechała, Kiedy tłum gapiów rozstał się, Zeke zaproponował, żeby poszli do niego.

Do Hotelu Osmond, pensjonatu przy Washingtwn Street, znajdującej się niemal w samym centrum Lynn szło się piechotą najwyżej piętnaście minut. Ponieważ był z nimi Gabriel, a psów nie wpuszczano do hotelu musieli obejść budynek z drugiej strony i wejść do środka przez zawsze otwarte wyjście ewakuacyjne.

Zeke mieszkał na czwartym piętrze rozpadającego się budynku, w pokoju numer 416.

Z całą pewnością nikt nie spodziewał się w tym miejscu anioła.

- Upadłego anioła - poprawił go Zeke, siadając na pojedynczym łóżku, nakrytym zieloną, zjedzoną przez mole wojskową narzutą. - A to duża różnica.

Po drodze Aaron kupił w sklepie dwie puszki oranżady i butelkę wody dla Gabriela.

- Masz coś, do czego mógłbym mu nalać wody? - spytał Aaron, odkręcając butelkę.

Zeke wstał i zaczął szperać w stercie gratów, które zalegały w kacie pokoju.

- Niestety, nic nie mam - powiedział. - W pokoju i tak nie wolno gotować, więc nie potrzebuję żadnych naczyń.

Aaron nalał sobie trochę wody na dłonie i podał Gabrielowi do picia.

- W porządku, poradzimy sobie.

- *Dziękuję* - kulturalnie odparł Gabriel. Upuścił trzy-mana w pysku piłkę na podłogę i zaczął chleptać wodę z rąk swojego pana.

Zeke położył się na łóżku i otworzył puszkę oranżady.

- Wszystko w porządku? - zwrócił się do Aarona, szukając czegoś w kieszeniach zniszczonego płaszcza, Gabriel skończył pić. - *Jeszcze raz dziękuję za wodę, Aaronie* - powiedział, oblizując się. - *Byłem bardzo spragniony.* Aaron wytarł obślinione ręce w nogawkę spodni.

- Tak, nic mi nie jest - powiedział i także otworzył puszkę z piciem. Nie spuszczał przy tym wzroku z psa.

- Nie wydaje ci się jakiś inny? No nie wiem, jakby mądrzejszy?

Zeke wydobył w końcu z kieszeni małą buteleczkę u Seagram's i wlał zawartość do puszki.

- Alkoholu też nie wolno tu wносить - powiedział z uśmiechem, pociągając solidny łyk wzmocnionego w ten sposób napoju. - Czekałem na ten pierwszy łyk od rana - dodał anioł, oblizując wargi.

Aaron usiadł na krawędzi fotela i zaczął głaskać Gariela po głowie.

- Czy wydaje mi się mądrzejszy? - Zeke powtórzył jak echo, przykładając dłoń do ust, by stłumić beknięcie. - Tak, pewnie tak, ale czego się spodziewałeś. Naprawiłeś go, uczyniłeś, że stał się lepszy - prawdopodobnie lepszy niż kiedykolwiek wcześniej.

To mówiąc, anioł pociągnął z puszkki kolejny łyk. Aaron usiadł głębiej w fotelu, stawiając puszkę między nogami i pokręcił głową.

- Pamiętam to jak przez mgłę. Nie mam pojęcia, co ja właściwie takiego zrobiłem.

Gabriel położył się u jego boku i zamknął oczy. W pokoju zapadła cisza, przerywana jedynie rytmicznym chrapaniem psa, który po chwili zapadł w drzemkę.

- Co się ze mną stało, Zeke? - spytał Aaron. W jego głosie zabrzmiał strach, nad którym próbował jakoś zapanować. - Co zrobiło to... zwierzę w mojej głowie? Odezwij się do mnie!

Puszka z napojem wymieszanym z ginem zatrzyma się w połowie drogi do ust.

- To była Boska menażeria - powiedział - nie żadne zwierzęta. Postarajmy się okazać Mu szacunek.

Aaron skinął głową.

- Dobrze, przepraszam - odparł z uśmiechem błakającym się w kącikach ust.

- Większość ludzi widzi w nich tylko różne gatunki zwierząt - gołębia albo lwa. We wszystkich Jego stworzeniach.

Zeke opróżnił puszkę, po czym wrzucił pustą do worka na śmieci stojącego przy łóżku. - Dzięki temu stałeś się kompletny - rzekł, odpowiadając na właściwe pytanie Aarona. - Po raz pierwszy od urodzenia jesteś taki, jaki powinieneś być...

A jaki powinienem być? - przerwał mu Aaron, rozzłoszczony tą enigmatyczną odpowiedzią. - Jesteś na wskroś Nefilimem, Aaronie. Aaron uderzył zaciśniętymi kurczowo pięściami w oparcie fotela.

- Przestań mnie tak nazywać! - krzyknął ze złością. Gabriel podskoczył we śnie i podniósł głowę. - *Wszystko w porządku?* - zapytał. - Przepraszam - uspokoił go Aaron i sięgnął ręką, żeby podrapać psa pod brodą. - Wszystko w porządku. Możesz spać dalej.

Gabriel położył łeb na podłodze i niemal natychmiast zapadł z powrotem w sen.

- Wybacz, że musiałeś dowiedzieć się tego właśnie ode mnie, ale taka jest prawda - powiedział Zeke, po czym znalazł w kieszeni kolejną buteleczkę, tym razem z whi-sky i gołnął prosto z niej.

- A więc tym zajmują się upadli aniołowie? Jak to było - Gregory? Czy wszyscy Gregory chodzą po świecie i węszą w poszukiwaniu Nefilimów?

Zeke zachichotał i oparł głowę o popękana ścianę.

- Grigori - poprawił go. - A jeśli chodzi o twoje pytanie - to nie, nie zajmujemy się tym. Nasze zadanie przydzielił nam bezpośrednio ten Ważny Gość na górze - ciągnął dalej, wskazując palcem sufit. - I nie mam na myśli Szalonego Ala z pokoju 520. - Zeke napił się jeszcze whisky, zanim kontynuował: - Sam Bóg we własnej osobie powiedział nam, co mamy robić. Nasze zadanie w gruncie rzeczy było bardzo proste - trudno wręcz uwierzyć, że tak je schrzaniiliśmy.

Upadły anioł mówił powoli, jakby przywołując z pamięci określone zdarzenia.

- Nasza misja polegała na obserwowaniu was. Kiedy tu przybyliśmy, ludzie byli jeszcze bardzo młodzi i potrzebowali opieki. Mieliśmy być ich pasterzami, no wiesz - trzymać ich z dala od kłopotów i tak dalej.

Zeke zamilkł, a na jego twarzy pojawił się smutek. Aaron postawił pustą puszkę na podłodze za fotelem. Ktoś w pokoju obok zaniósł się gwałtownym kaszlem.

- I co się stało? - spytał wreszcie.

Zeke przyglądał się małej brązowej buteleczce, którą trzymał w dłoni. Nie podniósł wzroku, tylko westchnął głęboko i ciągnął swoją opowieść:

- Wykazaliśmy się zbyt daleko idącą gorliwością i straciliśmy profesjonalny dystans, który dzielił nas i ludzi.

Mówiąc to, Zeke nerwowo obracał butelkę w dłoniach. - Zaczęliśmy uczyć ich rzeczy, które nasz Pan uważał za nieodpowiednie dla ludzi: jak wytwarzać broń, czytać w gwiazdach i przepowiadać pogodę. Mężczyzna roześmiał się głośno. Jeden z nas, idiotów, nauczył nawet kobiety sztuki makijażu. - Zeke podniósł butelkę do ust. - Jeżeli twoja dziewczyna spędza przed randką z tobą dwie godziny przed lustrem, wiesz już, kto za to odpowiada.

- Nie mam dziewczyny - odpowiedział zakłopotany Aaron i natychmiast pomyślał o Vilmie. Zeke wypił do dna ostatnią porcję alkoholu, ignorując komentarz Aarona.

- A ludzie nauczyli nas z kolei innych rzeczy: picia, palenia i uprawiania seksu. Staliśmy się podobni do nich.

Zeke przerwał na chwilę i przyłożył usta do butelki, a kiedy zorientował się, że nic już w niej nie zostało, cisnął nią ze złością na podłogę. - Zaczęliśmy żyć jak ludzie i zachowywać się jak oni. Niektórzy z nas znaleźli sobie nawet żony.

- I tak przyszedł na świat pierwszy Nefilim? - spytał Aaron.

Upadły anioł skinął głową.

- Szybko się uczysz. Tak, to właśnie Grigori są odpowiedzialni za ten bałagan. Ale nie tylko oni. Zeke wstał, zdjął płaszcz i powiesił go na oparciu łóżka.

- Nie byliśmy jedynymi aniołami, którym *wpadły* w oko śmiertelne kobiety. Byli też inni, dezercerzy z Wielkiej Wojny Niebiańskiej, którzy przybyli na Ziemię by się tam ukryć.

Wielka Wojna Niebiańska. Aaron przypomniał sobie poemat Johna Milтона *Raj utracony*. Czytał go na zajęciach z literatury angielskiej u profesora O'Leary.

- A więc to nie była literacka fikcja? - spytał Ezekiela. - Naprawdę miała miejsce taka wojna między aniołami?

Zeke klapnął na łóżko i popatrzył w sufit. Aaron dostrzegł w jego ręce papierosa.

- Nie, to była prawda.

Upadły anioł wziął papierosa między dwa palce i zamknął oczy, delikatnie zaciskając powieki. Nagle Aaron zobaczył dym i płomień. Zeke zapalił papierosa samymi palcami. *Ja chyba śnię* — pomyślał.

- Grigori nie brali w niej udziału, ale z tego, co słyszałem, działy się tam straszne rzeczy. - Stary anioł zaciągnął się papierosem, a potem odchylił głowę do tyłu i wypuścił z ust kłąb siwego dymu.

- Chyba nie wolno tu palić - dodał - ale nie mogłem się powstrzymać. Cholernie trudno rzucić ten nałóg.

Zaciągnął się ponownie, tym razem wypuszczając dym nosem.

Tak naprawdę to Poranna Gwiazda wszystko popsuł -powiedział, wracając myślami do przeszłości. - Nie potrafił docenić tego, co miał wcześniej. Aaron speszył się. - Poranna Gwiazda?

Zeke zaciągał się papierosem tak łapczywie, jakby miał to być ostatni w jego życiu.

- Lucyfer. Lucyfer Poranna Gwiazda. Niegdyś był prawą ręką Boga, ale zgubiła go zazdrość. On i jego bra-cia, którzy podążyli za nim, spieprzyli wszystko jeszcze bardziej niż my.

W pokoju śmierdziało gryzącym dymem. Aaron oddałby w tej chwili wiele, żeby było tu okno. Zamachał ręką przed twarzą, mając nadzieję, że w ten sposób uda mu się rozgonić dym i odetchnąć nieskażonym powietrzem.

- Ale w porównaniu z losem, który go spotkał, nam tak się upiekło.

Gabrielowi zaczęło się coś śnić. Leżąc na podłodze, podkurczał co chwilę łapy, jakby kogoś gonił. Aaron uśmiechnął się, obserwując swojego psa. Zawsze ciekawiło go, co też może śnić się psu. Musi o to spytać Gabriela, kiedy się obudzi.

Po chwili jednak zwrócił swoją uwagę z powrotem na mężczyznę leżącego na łóżku.

- Czy zostaliście ukarani?

Zeke powoli skinął głową i zatopił się w myślach,

- Zostaliśmy wygnani na Ziemię, by już nigdy nie ujrzeć Raju. Powiedziano nam, że skoro tak bardzo chcemy być ludźmi, będziemy żyli wśród nich na zawsze.

Wypalił papierosa do końca, po sam filtr, delektując się resztką rakotwórczych substancji smolistych.

- To chyba nic strasznego, prawda? - spytał ostrożnie Aaron.

Zeke zgasił wypalonego papierosa o ramę łóżka i upuścił niedopałek na podłogę.

- Nie, nie bardzo - odparł lekceważącym tonem. - Przecież i tak tego chcieliśmy.

Aaron wyczuł w jego głosie rosnący niepokój. Zeke sięgnął ręką do tyłu i zaczął rozcierać sobie kark oraz miejsce na plecach, w którym kiedyś wyrastały mu skrzydła.

- Poza tym, że zabrali nam skrzydła. - Ezekielowi zadrżał głos.

- Kto... kto zabrał wam skrzydła?

- A jak myślisz? - odparł ostro Zeke, wciąż drapiąc się po plecach. - Potęgi. To Strażnicy odcięli nam skrzydła... i zabili nasze dzieci.

Błyskawicznie otarł oczy, pozbywając się z nich jakiegokolwiek śladu emocji. Aaron zastanawiał się, ile czasu minęło, odkąd upadły anioł opowiadał komuś raz ostatni swoją historię.

- Oni nie znają litości, Aaronie. Potrafią bezbłędnie wyczuć moment, w którym Nefilim osiąga dojrzałość - czasem nawet wcześniej. Wtedy tropią go i zabijają, zanim będzie w stanie w pełni wykorzystać swoją moc. Dlatego właśnie zrobiłem to, co zrobiłem - dałem ci szansę stoczenia walki.

Gabriel nagle podniósł głowę, jakby wyczuł atmosferę smutku i przygnębienia, która wypełniała teraz pokój na równi z papierosowym dymem.

- *Co się stało?* - spytał, spoglądając na Aarona i Ezekiela.

-A więc tak wyrównujecie rachunki? - zapytał Aaron. - Kiedy znajdziecie któregoś z nas, pomagacie mu odnaleźć w sobie Nefilima? W ten sposób odgrywacie się na Strażnikach za to, co wam zrobili? Zeke ze smutkiem pokręcił głową.

- Już dawno nauczyłem się nie wtrącać.

- A pozostali, których spotkałeś na swojej drodze - czy Strażnicy ich pozabijali?

- Chyba tak - wyszeptał Zeke. - W końcu wszystkich dopadli.

- W takim razie, dlaczego ja? Dlaczego pomagasz mnie, a nie innym?

Upadły anioł wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie mam pojęcia. Coś podpowiedziało mi, że jesteś wyjątkowy.

ROZDZIAŁ 6

Wewnątrz elektrowni jądrowej imienia Włodzimierza Lenina, dwadzieścia pięć kilometrów w górę rzeki od ukraińskiego miasta Czarnobyl, rozległ się wrzask rozwścieczonego anioła. Werchiel otworzył z hukiem podwójne, wzmocnione, stalowe drzwi zniszczonego budynku, w którym kiedyś mieścił się reaktor numer 4 - ten, który eksplodował W 1986 roku, wyludniając prawie całą okolicę w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Werchiel już nieraz był świadkiem destrukcyjnej natury istoty nazywanej

człowiekiem i zastanawiał się z niesmakiem, ile jeszcze czasu musi upłynąć, zanim ludzkość dokona wreszcie ostatecznej samozagłady.

Dowódca Potęg wszedł do pomieszczenia reaktora w towarzystwie sześciu swoich najwierniejszych żołnierzy z elitarnego oddziału oraz zdziczałego dziecka prowadzonego na smyczy i w obroży. Dziecko kasłało i prychało, wdychając radioaktywny pył, któremu nikt nie zakłócał spokoju od czasu zamknięcia elektrowni kilka lat temu, a który teraz wzbił się w powietrze.

Eksplozja, która miała tutaj miejsce, wytworzyła energię jądrową przekraczającą czterdziestokrotnie siłę bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki, Nawet teraz

poziom promieniowania radioaktywnego przekraczał dopuszczalne wskaźniki, zagrażając wszystkim formom życia. Ale obecni mieszkańcy Czarnobylskiej elektrowni niewiele sobie z tego robili - podobnie jak ich goście.

Werchiel przystanął i rozejrzał się wokół z niezadowoleniem. Ogromna sala została zamieniona w miejsce kultu, będące czymś na kształt prowizorycznego kościoła. Tysiące świec najróżniejszej wielkości paliło się przed prymitywnym obrazem, który przedstawiał anioła w objęciach kobiety. Nad głowami splecionej w miłosnym uścisku pary unosiło się dziecko, błyszczące niczym słońce. Przed ołtarzem klęczały cztery postacie w ciężkich wełnianych habitach, zatopione w bezgłośnie modlitwie. Kapłani bluźnierczego kultu. Nie zdradzali najmniejszego zainteresowania obecnością Werchiela.

- Świątokradztwo! - ryknął Werchiel, a jego głos odbił się głośnym echem od ścian z betonu i stali, którymi wyłożona była olbrzymia komora reaktora, Jeden z kapłanów, wyrwany z zamyślenia, wymamrotał coś pod nosem i zgiął się przed ołtarzem w głębokim ukłonie. Inni kontynuowali swoją milczącą modlitwę.

- Witamy w naszej świątyni - powiedział.

- Rozczarowujesz mnie, Belet - odparł Werchiel, kiedy zakapturzona postać, stojąca do tej pory przodem do ołtarza, stopniowo odwróciła się twarzą w jego stronę. - Sam jesteś tylko zwyczajnym dezerterem i powodem do wstydu, ale to... - wskazał na ołtarz. - To jest obrażą dla Najwyższego - i to taką, która uraża go do granic możliwości.

Belet uśmiechnął się obłudnie i podszedł bliżej z dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

- Doprawdy, Werchielu? Czy obietnica zawarta w przepowiedni, która mówi o zjednoczeniu Boga z jego upadłymi dziećmi aż tak Go dotyka i bulwersuje? - Odziany w habit anioł zatrzymał się przed Werchielem i jego świtą. - A może ona obraża wyłącznie ciebie? - Na twarzy Beleta ponownie zagościł uśmiech.

- Co się z tobą stało, Belet? - Werchiel pokręcił z niedowierzaniem głową. - Kiedyś byłeś jednym z moich najlepszych żołnierzy. Co sprawiło, że odwróciłeś się od swojego Pana i upadłeś tak nisko?

W odpowiedzi anioł zachichotał cicho i wsadził rękę do kieszeni habitu.

- Czy zawsze zadajesz takie pytanie wszystkim swoim ofiarom?

Tym razem Werchiel uśmiechnął się szyderczo.

- Próbuję jedynie zrozumieć, jak można obrócić się plecami do Stwórcy wszystkich rzeczy i wypiąć się na swoje święte zobowiązania.

- Przecież musisz znać odpowiedź na te pytania, jeszcze zanim skażesz nas na śmierć, czyż nie? - rzekł Belet, nie spuszczając wzroku.

- Owszem, zanim poniesiecie sprawiedliwą karę za swoje występki - pokiwał głową dowódca Straży Anielskiej. - Potraktujcie to jako szansę wyspowiadania się z winy, zanim nadejdzie nieuchronne.

- Rozumiem - odparł zamyślony kapłan. - Czy Kamael już odpowiedział za swoje grzechy?

Werchiel nic nie rzekł, chociaż zatrząsł się z gniewu, Kapłana zaś wyraźnie ucieszył ów brak odpowiedzi.

To bardzo dobrze. Tak długo, jak Kamael żyje, istnieje szansa, że... - To tylko kwestia czasu, zanim zdrajcę spotka nieuchronny los - przerwał mu Werchiel, cedząc słowa z nieskrywaną złością. - Poczułeś to, Werchielu? - spytał anioł, wyciągając jedną rękę spod habitu i dotykając delikatnie czoła rozmówcy. - Kilka godzin temu, czułeś, jak dochodzi do głosu?

- Nic podobnego. - Werchiel skłamał. Był właśnie w drodze na Ukrainę, kiedy raptownie wyczuł w powietrzu wyraźną zmianę. Tropił półludzi, półaniołów od tysięcy lat, ale nigdy wcześniej nie wyczuł tak głębokiej zmiany. Zaniepokoił się nie na żarty.

Chłopiec na uwięzi zaczął kaszleć i Belet przyjrzał mu się z troską.

- Nie powinieneś przyprowadzać tu tego biednego stworzenia - zauważył. - Skażone powietrze wywoła u niego nieodwracalne skutki.

Werchiel spojrział na dziecko bez cienia emocji na twarzy, a po chwili odwrócił wzrok i ponownie popatrzył na kapłana.

- Bez jego pomocy nie znalazłbym cię tak szybko. Jeśli ma umrzeć, to niech tak będzie. Znajdę sobie kolejną małpę, która pomoże mi w polowaniu.

Pozostali duchowni, klęczący do tej pory przed ołtarzem, wstali i zaczęli przyglądać się intruzowi. Wszyscy uśmiechali się w ten sam idiotyczny sposób i Werchiel nie mógł się doczekać, aż zetrze im ten uśmiech z twarzy.

- W twoim tonie wyczuwam desperację, Werchielu. Wiem, że czułeś wszystko równie wyraźnie jak *my* - powiedział Belet i nachylił się w stronę swoich współbraci. Przez chwilę szeptali

między sobą, po czym Belet dodał: - I do tego widzę w twoich oczach strach. Boisz się, że przepowiednia wkrótce się spełni.

Werchiel wykrzywił twarz w okropnym grymasie, a potem rozłożył skrzydła, ciskając Beletem o ziemię jednym podmuchem radioaktywnego pyłu.

- Co za czarna magia sprawiła, że ludzie przekabacili na swoją stronę tak wielu z was? Powiedz mi, żebym mógł zetrzeć z powierzchni świata tych, którzy praktykują podobną nikczemność.

- Zawsze lubiłeś dramatyzować, Werchielu. - Belet z trudem podniósł się i stanął na nogach. - Nie było żadnej magii, żadnych niemoralnych ani zdeprawowanych czarów. Wystarczyła tylko wizja zjednoczenia i końca tej bezsensownej wojny, a co za tym idzie - końca wszelkiej przemocy.

W dłoni Werchiela zapłonął ognisty miecz. Unoszące się w powietrzu cząsteczki kurzu i radioaktywnego

pyłu rozjarzyły się niczym iskry w kontakcie ze świętym płomieniem. Pozostali żołnierze poszli w ślad za swoim dowódcą i również dobyli płonącej broni. - I co do tej pory zawdzięczacie tej idyllicznej wizji? - I zainteresował się przywódca Potęg. - Ukrywacie się

na jakiejś zatrutej pustyni, stworzonej przez ludzi, zapominając o właściwym porządku rzeczy. Co to ma być, Belet - jakaś forma pokuty? Myślisz, że ten wasz skundlony prorok, na którego czekacie z takim wytęsknieniem, wynagrodzi wam jakoś to poświęcenie? - Werchiel wydał usta w pogardzie. - Jakież to żalosne.

- To miejsce i zatruta ziemia, która je otacza, przypomina nam, kim byliśmy i kim się staliśmy - wyjaśnił Belet. - Kiedyś przyświecał nam jeden cel, święta misja -

wypłenić z Ziemi wszelkie zło. Ale potem splamiliśmy się przemocą, nabraliśmy przekonania o własnej nieomyślności. Zgubiła nas pycha, która podpowiadała nam, że działamy w Jego imieniu.

- Wszystko, co robię, robię dla Niego - odparł Werchiel, a jego miecz zapłonął jeszcze gwałtowniejszym blaskiem; czuć było bijące od niego intensywne ciepło.

- To jest twoja prawda - powiedział Belet. - Ale jest jeszcze inna droga - na której nie spotkasz śmierci. Droga, która położy kres naszemu wygnaniu i da początek odkupieniu. - Anioł wyciągnął rękę i wskazał Werchielowi ołtarz. - To jest ta droga, Werchielu. To jest nasza przyszłość.

Werchiel potrząsnął głową.

- Nie, to jest bluźnierstwo. - Wypowiadając te słowa podniósł dłoń i rozkazał swoim żołnierzom:
- Usuńcie ich z ołtarza!

Strażnicy wzbili się w powietrze, trzepocząc skrzydłami i wywołując dławiającą chmurę radioaktywnego pyłu.

- Będziemy się bronić, Werchielu! - krzyknął Belet. W dłoniach jego i pozostałych zakapturzonych postaci pojawiły się także gorejące miecze, które jednak w porównaniu z orężem Werchiela i Strażników prezentowały się dość nędznie. Z ich pleców wyrosły nagle niewielkie skrzydła.

- Spójrzcie na siebie - roześmiał się Werchiel, zmierzając w stronę obrazoburczego ołtarza. - Wiara w te herezje sprawiła, że staliście się cieniem swojej dawnej chwały. To wyjątkowo smutny widok.

- To skutek naszych dawnych grzechów - Belet ryknął z wściekłością, wznosząc w górę płonące ostrze i rzucając się na Werchiela.

Zdażył jednak zrobić nie więcej niż krok, kiedy z góry spadli na niego gwardziści Werchiela, przygważdżając kapłana do ziemi. Ich dowódca patrzył z satysfakcją, jak pozostali mnisi również zostają pojmani i odciągnięci od ołtarza.

- A więc twierdzisz, że to jest przyszłość? - Werchiel rozejrzał się wokół, zatrzymując na chwilę wzrok na płonących świecach i prymitywnym malowidle.

Kapłani szarpali się w uścisku, ale na próżno. Strażnicy spacyfikowali ich w ułamku sekundy. - To nie skończy się na nas - syknął Belet. - Za nami stąpa już ten, którego nadejście zostało przepowiedziane.

Werchiel popatrzył na ołtarz po raz ostatni, czując, jak w jego piersiach buzuje potężny gniew.

-Ja tu nie widzę żadnej przyszłości - oznajmił twardo i zamachał potężnymi skrzydłami. Silne podmuchy powietrza zgasiły świece i przewróciły stojący na ołtarzu obraz. - Widzę tylko nieuchronny koniec.

Werchiel uśmiechnął się szyderczo i odwrócił twarzą do kapłanów, ale jego triumf szybko ustąpił miejsca zakłopotaniu, kiedy zobaczył na ich obliczach ten sam pogodny, błogi spokój.

- To nie koniec, Werchielu - odezwał się Belet. - Zobacz sam - dodał, wskazując mu skinieniem głowy ołtarz.

Przywódca Straży Anielskiej odwrócił się i patrzył z przerażeniem, jak wszystkie świece, jedna po drugiej, zapalają się na nowo. W nagłym przyływie wściekłości rozłożył skrzydła, doskoczył do uśmiechającego się kapłana, który był niegdyś żołnierzem w jego służbie, i bez słowa wbił mu gorące ostrze w pierś. W jednej chwili uśmiech zadowolenia na twarzy Beleta zmienił się w grymas potwornego bólu.

Pozostali kapłani wydali z siebie stłumione okrzyki,

- Proszę... - wyszeptał płaczliwym głosem jeden z nich.

Werchiel nachylił się bliżej, patrząc, jak ciało renegata gotuje się i czernieje, płonąc w środku.

- Błagali o litość, ale ich uszy były głuche - powiedział.

Belet osunął się na posadzkę. W jego piersi wciąż tkwiło ostrze płonącego miecza. Ciężkie szaty, w które był odziany, także zaczęły już zajmować się ogniem.

- A... a jak twoje słowa odbiera Pan? - jęknął, podnosząc głowę, z której na ziemię skapywały kawałki roztopionej skóry i mięsa. - Co Władca Władców ma do powiedzenia, kiedy ty przemawiasz?

Werchiel wyciągnął miecz z ciała kapłana.

- Najwyższy i ja... nie musimy ze sobą rozmawiać. Na spalonej twarzy Beleta pojawił się odrażający uśmiech, który odsłonił resztki zębów wystających z czarnych, zwęglonych dziąseł.

- Tak właśnie myślałem.

Werchiel poczuł, jak jego gniew sięga zenitu.

- To cię bawi, Belet? Czy fakt mojego braku kontaktu z Najwyższym jest dla ciebie powodem do śmiechu w obliczu nadchodzącej śmierci?

Pogrążony w płomieniach kapłan powoli wznosił zwęglone ręce i przyłożył sobie do twarzy, w miejscu, gdzie kiedyś były jego uszy.

- Głuche... uszy - wyszeptał. - Głuche uszy. A potem roześmiał się.

Dźwięk jego śmiechu był dla Werchiela nie do zniesienia. Opuścił ramię z ostrzem; po chwili z kapłana pozostała jedynie kupka dymiącego popiołu. Gdy skończył, odwrócił się twarzą do pojmanych mnichów.

- Oto, do czego prowadzi profanacja naszej wiary - powiedział, wskazując szczątki Beleta.

Płonący miecz w jego dłoni zniknął i Werchiel skierował się w stronę wyjścia.

- Zabić ich - rozkazał bez cienia emocji, nie odwracając się nawet. - Chcę zapomnieć, że w ogóle istnieli.

Kiedy wychodził, towarzyszyły mu przeraźliwe krzyki mordowanych kapłanów, ale jego myśli krążyły wyłącznie wokół słów starożytnej przepowiedni.

*

Michael Jonas spojrział na zegarek. Odłożył pióro na stertę dokumentów ubezpieczeniowych, które właśnie wypełniał, i podniósł słuchawkę telefonu.

Gdzie on się podziewa? - pomyślał psychiatra.

Ze słuchawką przy uchu wertował gorączkowo notes w poszukiwaniu numeru Aarona. Po chwili znalazł to czego szukał, wystukał numer i poczekał na sygnał.

Przez te wszystkie lata, kiedy opiekował się Aaronem Corbetem, chłopak był zawsze wyjątkowo punktualny. Dlatego Jonasowi wydało się dziwne, że Aaron mógł tak po prostu nie przyjść na umówione spotkanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, o czym rozmawiali wczoraj rano. Skłamałby, gdyby powiedział, że nie zafascynowały go wydarzenia, których był świadkiem w trakcie wczorajszej wizyty. W ciągu całej swojej dwudziestopięcioletniej kariery zawodowej nigdy nie miał do czynienia z równie niezwykłym i ekscytującym zjawiskiem. Wprawdzie Aaron mógł rzeczywiście cierpieć na jakieś urojenia i nie przyznać się, że włada biegle hiszpańskim, portugalskim oraz łaciną, ale coś podpowiadało mu, że tak jednak nie jest. Jonas pomyślał od razu, jakiego rozgłosu nadałoby mu udokumentowanie tak niespotykanego przypadku i jakich zaszczytów dostąpiłby ze strony swoich kolegów po fachu.

- Halo? - po drugiej stronie słuchawki rozległ się kobiecy głos.

- Dzień dobry - przywitał się Jonas. - Czy zastałem może Aarona?

- Nie, nie ma go - odpowiedziała kobieta. - A czy mgę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

Jonas musiał być ostrożny. Tu chodziło o zaufanie na linii pacjent-lekarz.

- Mówi Michael Jonas - odparł, siląc się na profesjonalny ton. - Czy rozmawiam z panią Stanley?

- Tak. Witam, doktorze. Aaron wyszedł z psem wcześniej rano i jeszcze nie wrócił.

Na chwilę zapadła cisza i doktor Jonas doskonale wiedział, co nastąpi po tej krótkiej przerwie. Po tylu latach praktyki lekarskiej jako psychiatra potrafił czytać w umysłach ludzi i przewidywać ich reakcje.

- Czy coś się stało, doktorze? Czy... Aaron znów pana odwiedza?

W jej głosie słychać było matczyną troskę i Jonas chciał ją za wszelką cenę uspokoić, nie wchodząc zbytnio w szczegóły.

- Nie ma absolutnie żadnych powodów do obaw, pani Stanley. Chciałem tylko spytać, jak Aaron się czuje. Czy może go pani poprosić, żeby skontaktował się ze mną, kiedy wróci? Będę u siebie w gabinecie przynajmniej do szóstej.

- Oczywiście, doktorze - odparła pani Stanley, a w jej tonie zabrzmiała wyraźna ulga. - Przekażę mu pańską wiadomość.

- Bardzo pani dziękuję, pani Stanley. Życzę miłego dnia.

- Wzajemnie - odpowiedziała i rozłączyła się. Jonas odłożył słuchawkę i ponownie zerknął na zegarek. *Interesujące* - pomyślał. *Aaron wyszedł z domu wczesnie rano i nikt od tej pory go nie widział.* Doktor zastanowił się, czy przypadkiem nie wystraszył chłopca. Może nie powinien był mu wspominać o znajomym lekarzu pracującym w szpitalu Mass General.

W jego głowie pojawiła się wizja artykułu naukowego, który odlatywał w siną dal przez otwarte okno. Psychiatra uśmiechnął się i już chciał wrócić do codziennej papierkowej roboty, kiedy nagle zorientował się, że nie jest sam.

-Jezus Maria! - sapnął zaskoczony, prostując się mimowolnie na oparciu fotela.

Przed jego biurkiem stał wysoki mężczyzna. Wprawdzie nie był już najmłodszy, ale jak na swój wiek zachował wielką urodę, a elegancki garnitur tylko podkreślał jego znakomitą kondycję fizyczną.

-Jak pan się tu dostał? - spytał zdenerwowany Jonas.

Mężczyzna nie odpowiedział. Stał bez ruchu, wpatrując się w biurko, jakby sprawdzał, czym zajmował się lekarz.

- Czy mogę panu czymś służyć, panie...?

Nieznajomy zignorował go, gapiąc się nadal na blat biurka. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na Jonasa. Był rzeczywiście bardzo przystojny, ale w taki dystyngowany, nienatrętny sposób. Przypominał aktora, który grał kiedyś Jamesa Bonda, a potem wystąpił w filmie o radzieckiej

łodzi podwodnej. Ale najdziwniejsze wrażenie sprawiały jego oczy. Było z nimi coś nie tak. Jonas przypomniał sobie oczy wypchanej sowy, którą jego babka trzymała w gablocie w letnim domku w Maine Karne ze złotymi obwódkami.

- Kamael - mężczyzna odezwał się w końcu potężnym barytonem. - Nazywam się Kamael i szukam pewnego dziecka.

Kamael odchylił do tyłu głowę i wciągnął powietrze w płuca.

- To dziecko było tutaj - powiedział, obracając się powoli - całkiem niedawno, może nawet wczoraj. - To mówiąc, zbliżył się do biurka, gdzie wyczuwał kwaśnawy odór ludzkiego strachu wymieszany z silnym męskim zapachem Nefilima. - Nie chcę mu zrobić żadnej krzywdy, ale muszę je znaleźć.

Dr Jonas wstał i ze złością uderzył mięsistymi dłońmi w blat biurka.

- Proszę posłuchać - parsknął. - Nie mam pojęcia, o czym ani o kim pan mówi.

Psychiatra był potężnym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Kiedyś dysponował, niewiarygodną siłą, ale z wiekiem jego ciało osłabło i coraz częściej odmawiało posłuszeństwa. Teraz wskazał mężczyźnie drzwi.

- Jestem zmuszony poprosić, by opuścił pan mój gabinet - oznajmił.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się powoli, a do środka weszło dwóch gwardzistów Werchiela.

Natychmiast rozpoznali Kamaela i z ich ust wydobył się nienawistny syk.

- Zdrajca! - wrzasnął ten o kruczoczarnych włosach. prężąc się i gotując do ataku. Od czasu, gdy Kamael był ich dowódcą, minęły tysiąclecia, ale rozpoznał w swoim wrogu anioła o imieniu bodajże Hadriel.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - wybuchnął Jonas. - Proszę natychmiast stąd wyjść, w przeciwnym razie...

- Zamilcz, małpo! - ostrzegł go drugi z przybyłych. Tego Kamael znał na pewno. Nazywał się Kasjel i należał do najbardziej okrutnych siepaczy Werchiela.

- Sugeruję, doktorze, by się pan natychmiast ukrył - poradził psychiatrze Kamael. Nie spuszczał wzroku z Potęg, czując, jak ogarnia go charakterystyczny spokój przed walką.

- Małpa właśnie dzwoni na policję - rzucił zdenerwowany psychiatra, sięgając po telefon na biurku.

W tym momencie Kasjel wykonał błyskawiczny ruch - z jego ręki wystrzelił snop oślepiającego białego światła.

- Kazałem ci zamilknąć! - warknął.

Jonas wrzasnął z bólu, czując, jak jego ciało eksploduje ogniem. Oparł się o ścianę, po czym padł na ziemię, ogarnięty buchającymi płomieniami. Zwijał się i skręcał w agonii, a wszystko, czego dotknął, również zajmowało się ogniem.

Kamael wykorzystał chwilę nieuwagi przeciwnika i zaatakował. W myślach wyobraził sobie broń, której chciał użyć, a w jego dłoni natychmiast zmaterializował się ognisty miecz. Zakręcił nim młynka nad głową i doskoczył do Hadriela, który, zafascynowany, przyglądał się przedśmiertnym drgawkom psychiatry. Jednak anioł zareagował z imponującym refleksem, sięgając po własną broń - włócznię - i blokując nią uderzenie, które z pewnością zdjęłoby mu głowę z ramion.

Ostrza zderzyły się w powietrzu, wywołując dźwięk przypominający uderzenie gromu.

- Wielki Kamael - zadrwił Hadriel, odpychając go i wyprowadzając kontruderzenie płonąca włócznią. - Jeden z najlepszych pośród nas, a obecnie zmuszony do wegetacji wśród ludzkich zwierząt.

Kamael zrobił unik i opuścił ostrze miecza, rozrąbując włócznię na dwie części.

- Za dużo gadasz, Hadrielu - oznajmił, podchodząc bliżej, a potem zaatakował, uderzając zaskoczonego anioła głownią miecza w twarz i powalając go na ziemię.

- Niczym nie różnisz się od zdrajców, których ścigasz - dodał.

W następnej sekundzie usłyszał, jak kolejny miecz rozcina powietrze. Rozłożył skrzydła i błyskawicznie wzbił się wyżej, unikając broni Kasjela, która o mały włos zahaczyłaby o jego stopy.

- Powiedz, czujesz się samotny, Kamaelu? - spytał Kasjel, również odbijając się od ziemi i dołączając do niego w powietrzu.

Kamael sparował kolejne uderzenie i podfrunął bliżej, wbijając boleśnie kolano w żołądek anioła, z którym walczył.

- Wystarczy mi moja misja - odparł, trafiając przeciwnika w skroń. - Przyzwyczailem się do samotności, Kasjel z łoskotem zwał się na podłogę. Biuro płonęło, w powietrzu unosił się gęsty, czarny dym.

- Wzgardzony przez własnych braci, żyjący w strachu przed rasą, którą niegdyś sam zniszczył. - Kasjel podniósł się na czworaki. Spojrzał w górę na Kamaela i uśmiechnął się. - Stałeś się jednym z tych zwierząt opętanych szaleństwem.

- Nie musisz mi współczuć, bracie - powiedział Kamael, szybując w dół z mieczem wyciągniętym w stronę anioła. Zadaj sobie raczej pytanie: A co, jeśli jasnowidz miał rację? Jeśli to wszystko okaże się prawdą?

Co wtedy?

Kasjel wrzasnął i rzucił się do kolejnego ataku.

- Nigdy się tak nie stanie - krzyknął, a w jego ręce pojawił się sztylet. Ciął nim zbliżającego się Kamaela, zmuszając go do uniku. - Kłamstwa, to wszystko kłamstwa!

Kamael cofnął się na moment, unikając ostrza Kasjela, po czym ruszył do kontry i kopnął go w klatkę piersiową. Siła uderzenia była tak potężna, że Kasjel poleciał do tyłu i przewrócił się o krzesło stojące przed biurkiem.

Dym stawał się coraz gęstszy i Kamael wiedział, że niebawem gabinet doszczętnie spłonie. Musiał znaleźć jakiś ślad, dowód na istnienie chłopca. *Zapach tego Nefilima bardzo mocny, chyba najmocniejszy, z jakim miałem dotąd do czynienia* - pomyślał. *Tak silny, że Strażnicy nie potrzebują nawet swoich psów gończych.* - Zamarł, czekając, aż Kasjel zbierze siły do kolejnego ataku. *Czy to może być powód, dla którego Werchiel zwiększył częstotliwość i brutalność swoich ataków?* Po raz kolejny naszła go myśl: *może Oto pojawił się Nefilim Wybraniec?*

Nagle Kamael wrzasnął z bólu i wściekłości, czując jak ramię rozrywa mu z tyłu uderzenie włóczni. Zamyślony, nie zauważył drugiego ze sługusów Wierchiera który wynurzył się z dymu, z nową bronią w ręce.

- Skończ z nim! - rozkazał Kasjel, wstając na *nogi* wśród gorejących płomieni.

Hadriel szarpnął włócznię z ciała Kamaela i ponownie rzucił się do ataku. Ale tym razem Kamael był przygotowany. Wzleciał w powietrze, dobywając nowy, wyimaginowany oręż - dwa krótkie miecze, każdy do jednej ręki.

Rozpędzony Hadriel przeleciał poniżej i zanim zdążył zareagować, Kamael opuścił jeden z mieczy, rozłupując czaszkę wroga niczym spróchniały pień drzewa.

- Nie! - wrzasnął Kasjel i przypuścił atak, chcąc pomścić swojego poległego towarzysza.

- Widzę, że pacholki Werchiela stały się leniwe i nieudolne - zadrwił Kamael, wyciągając ostrze z czaszki martwego Hadriela i blokując nim wściekły atak anioła. Jednocześnie pchnął drugim mieczem, trafiając go prosto w pierś.

Kasjel zaskowyczał z bólu i runął w dół, rozpaczliwie machając skrzydłami. Upadł na podłogę, zaciskając obficie krwawiącą ranę.

Kamael wynurzył się z dymu tuż przed swoim pokonanym wrogiem.

- Co Werchiel wie o tym Nefilimie? - spytał. - Jeśli mi wiesz, pozwolę ci przeżyć. Kasjel podniósł się z trudem, opierając się o ścianę.

- Pozwolisz mi przeżyć? Czy słyszysz sam siebie, Ka-maelu? Myślałem, że opuściłeś nasze szeregi, bo miałeś już dość przemocy i zabijania. - Anioł przycisnął drżącą rękę do krwawiącej piersi. - Tymczasem widzę, że stałeś się tym, czego najbardziej nienawidziłeś. Kasjel syknął z bólu i schylił się po coś do ognia. Wyciągnął stamtąd pocerniałą, nadal płonąca czaszkę psychiatry i cisnął nią w Kamaela.

Kamael uniknął nadlatującego pocisku, rozcinając go mieczem na pół. Wykorzystując ten moment, Kasjel rozłożył skrzydła i rzucił się w kierunku płonących kotar i okna, które zasłaniały. Pokonał palący się materiał, a potem wyskoczył przez okno, które eksplodowało przeraźliwym hukiem.

Ogień natychmiast buchnął w górę ze zdwojoną siłą, zaspokoiwszy swój głód nagłym podmuchem tlenu. Tożsamość Nefilima była ważniejsza niż pogoń za rannym aniołem. Kamael rzucił się do biurka. Papiery zalegające na jego blacie zaczęły się już zwijać i tlić. Kamael pobieżnie przejrzał dokumenty, szukając czegokolwiek, co naprowadziłoby go na ślad chłopca.

Wreszcie, w pocerniałej od ognia teczce znalazł to czego szukał. Pojedyncze zdanie zapisane na kartce wyrwanej z notesu i przychepione spinaczem do teczki. „Pacjent twierdzi, że rozumie obce języki”.

Kamael zabrał ze sobą teczkę. Nad głową usłyszał jęk i usunął się na bok w ostatniej chwili, tuż przed tym, jak znaczna część sufitu zwała się na podłogę w fontannie płonących iskier. W oddali słychać było sygnały nadjeżdżających wozów strażackich. Kamael miał już to, czego

potrzebował, i mógł pospiesznie oddalić się z miejsca, w którym rozegrały się te dramatyczne wydarzenia.

Czas był na wagę złota. Gdy tylko Werchiel dowie się o jego zaangażowaniu, rozpęta się prawdziwe piekło.

ROZDZIAŁ 7

Wewnątrz nieużywanej dzwonnicy kościoła pod wezwaniem Świętego Sakramentu Werchiel wpatrywał się w znajomą twarz pewnego śmiertelnika. Po powrocie Werchiela i jego świty z Czarnobyli ich pies gończy poważnie zachorował. Biedne stworzenie leżało na kawałku brezentu w zaciemnionej części wieży, gdzie kiedyś wisiał dzwon. Dygotało w gorączce, mamrocząc przy tym coś niezrozumiale, i umierało powoli na skutek napromieniowania, któremu zostało poddane w trakcie ostatniego polowania.

- Nic więcej nie da się zrobić? - Werchiel spytał lekarza, który zajmował się rannym Kasjelem.

Medyk imieniem Kraus podniósł niewidzące oczy w stronę, z której dobiegał go głos Werchiela.

- Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, panie - powiedział, zręcznie wyjmując ze znoszonej, skórzanej torby złotą igłę. Fakt, że był niewidomy, nie przekreślał jego leczniczych umiejętności.

- Już niedługo odejdzie do...

- Dobrze mi służył przez te wszystkie lata - przerwał mu Werchiel, odwracając wzrok od umierającego chłopca, pokrytego ciemnymi, ropiejącymi ranami. - Trudno mi będzie znaleźć następnego, równie zdolnego.

Werchiel przeszedł na drugi koniec dzwonnicy, która obecnie służyła za graciarnię, i nachylił się nad lekarzem i jego aktualnym pacjentem.

- A ty, Kasjelu, dobrze mi służyłeś? - spytał łagodnym tonem.

-Tak, mój panie - odparł jednym tchem Kasjel, który leżał na zakurzonej podłodze, podczas gdy niewidomy medyk zaszywał jego ranę.

- Mówisz, że Kamael był tam przed wami? - spytał, przyglądając się, jak starzec, którego zadaniem było dbanie o stan zdrowia służących mu aniołów, zgrabnie zszywa ranę w klatce

piersiowej jego rannego żołnierza. Mimo iż ludzkie małpy były bardzo prymitywne, jak na standardy niebiańskie, od czasu do czasu nawet one zaskakiwały go swoją zręcznością. Werchiel kucnął przy lekarzu, który kończył właśnie swoją robotę.

- Wyzdrowieje? - spytał. - Czy ta rana go nie zabije?

Kraus zadrżał na dźwięk potężnego głosu Werchiela. - Nie... nie zabije - wymamrotał, wbijając ślepy wzrok w oblicze swojego pana. - Rana potrzebuje trochę czasu, żeby się zagoić, ale on wyzdrowieje. *Co jest takiego w ludziach niedorozwiniętych, ślepych, upośledzonych umysłowo, co czyni z nich tak wyjątkowych służących?* - zastanowił się Werchiel, myśląc o ludziach pełni władz fizycznych i umysłowych, którym wystarczała sama obecność anioła, by dostali szau.

- Już wystarczy, możesz odejść - oświadczył Werchiel i delikatnie przejechał palcami po czubku głowy niewidomego starca. - Zajrzyj jeszcze do mojego psa gończego i jeśli trzeba, ulżyj mu w cierpieniu. Medyk wydał stłumiony, choć wyraźnie słyszalny okrzyk i wzdrygnął się z zachwytu, jakby dotknął go sam Bóg - czy też spotkało go coś równie wyjątkowego. Kraus zamknął torbę z instrumentami medycznymi i czmychnął w najdalszy i najciemniejszy kąt dzwonnicy, by pomóc umierającemu przedstawicielowi własnego gatunku.

Być może właśnie dzięki tej niedoskonałości ludzie upośledzeni są bardziej podatni na to, co niezwykle. Werchiel postanowił, że gdy ich misja zostanie zakończona, poświęci tej hipotezie nieco więcej uwagi. Otrząsnął się z zamyślenia. Było jeszcze wiele do zrobienia.

- Ten Nefilim, który rozsiewa wokół tak intensywny zapach - jakie informacje masz na jego temat? - Werchiel spytał Kasjela, który wciąż leżał na drewnianej podłodze.

- Mam informacje dotyczące Kamaela - odparł skwapliwie Kasjel. - Żyjąc wśród małp, stał się słaby i delikatny. To... to tylko kwestia czasu, zanim zniszczymy tego zdrajcę i...

- Słaby i delikatny, powiadasz? - skrzywił się Werchiel. W kościele poniżej zaczynała się msza, słychać było dźwięk organów. Chóralny śpiew psalmów wlatywał w powietrze, docierając aż na dzwonnice. Muzyka drażniła go. - Jak na tak słabego i delikatnego, całkiem nieźle sobie poradził. Zatłukł Hadriela, a tobie zadał ranę niemal śmiertelną.

Kasjel zwinął się z bólu, próbując usiąść.

- To... miejsce było bardzo ciasne i wszędzie było pełno dymu. Proszę...

Muzyka dobiegająca z kościoła na dole ucichła, a w jej miejsce pojawiła się zbiorowa modlitwa.

- A więc nie masz dla mnie nic na temat tego mieszańca?

Kasjelowi udało się w końcu jakoś usiąść. Z każdym ruchem z rany na piersi sączyła się ciemna ciecz. - Ogień... wszystko wymknęło się spod kontroli, a Kamael był przygotowany. Nie mogliśmy wiele zrobić...

Żalotne tłumaczenie żołnierza rozwścieczyło Werchielą prawie tak samo jak modlitwy małp w kościele na dole, którym wydawało się, że w ten sposób porozumieją się z Bogiem. Werchiel nachylił się i wsadził palec w ranę Kasjela.

Anioł wrzasnął jak obdzierany ze skóry.

- Cisza! - syknął Werchiel, wyrywając z ciała Kasjela grubą, czarną nić, którą starzec zszył jego ranę.

Jak oni śmieją w ogóle sądzić, że rozmawiają z Panem -pomyślał, rozsierdzony rozmodlonymi głosami, dębującymi ze świątyni. Jeżeli Bóg nie chce rozmawiać ze mną, skąd w nich taka zuchwałość, żeby wierzyć, iż wysłucha ich żalotnych zawodzeń? - ta myśl nie dawała mu spokoju. Odrzucił na bok nić chirurgiczną razem ze zwisającymi z niej kawałkami ciała. Kasjel leżał na podłodze, zwijając się z bólu i cicho łkając. Z otwartej rany płynęła strużka krwi.

- Zawiodłeś mnie - warknął Werchiel, podnosząc Kasjela z ziemi i przytrzymując w powietrzu. - A ja kiepsko znoszę, kiedy ktoś mnie zawodzi.

W kościele ponownie zagrały organy i rozległ się małpi śpiew.

Dlaczego tak się przy tym upierają? - zastanowił się Werchiel. *Czy ludzie naprawdę sądzą, że fałszywie brzmiące dźwięki, wydobywające się z ich prymitywnych ust, zadowolą Stwórcę? Tego, który dyrygował symfonią stworzenia?*

Kasjel zatrzepotał skrzydłami, wijąc się w uścisku swojego dowódcy.

- Werchielu... panie... litości! - wyrzęził.

Werchiel chciał usłyszeć coś więcej niż tylko zwierzęcy skowyt dobiegający z dołu. Coś, co uspokoi jego skołatane nerwy.

Trzymając Kasjela za gardło, wyciągnął rękę i złapał go za jedno ze skrzydeł.

- Proszę... nie - zawył z bólu Kasjel.

Werchiel ścisnął delikatne skrzydło, po czym zaczął je łamać i wykręcać. Rozległ się potworny, ostry dźwięk pękających chrząstek. Anioł krzyczał wniebogłosy, błagając o wybaczenie.

W końcu Werchiel rozluźnił stalowy chwyt. Anioł zaszlochał, jego skrzydła pozostały wygięte pod nienaturalnym kątem.

- Zajmij się nim - rzucił Werchiel, wiedząc, że nie-widomy lekarz słyszy go, czekając w cieniu. - Jeśli jeszcze raz mnie rozczarujesz, oderwę ci obydwa skrzydła ostrzegł Kasjela i odwrócił się do niego plecami, Postanowił, że da mu jeszcze jedną szansę. Tak właśnie zachowałby się Stwórca.

*

Aaron znowu śnił.

Stary mężczyzna o przesłonionym bielmem oku kreśli coś zaostrzonym patykiem na tabliczce z czerwonej gliny. Aaron rozgląda się wokół. Gdzie ja jestem? Znajduje się w jednoizbowym budynku, w chacie skleconej ze słomy i cegieł uformowanych z błota. Prymitywne lampy oliwne stanowią jedyne źródło światła. W powietrzu cuchnie potem i uryną.

Starzec jest potwornie chudy, ma niewiarygodnie długą brodę i włosy. W tych włosach musi mieszkać niezły inwentarz. Mężczyzna kończy kreślić jakiś symbol na tabliczce, powoli podnosi głowę i spogląda na Aarona.

Wskazuje mu swoje dzieło i przemawia gardłowym głosem: To ciebie widzę w snach - i o tobie teraz piszę. Po tych słowach upiornie przewraca zasłoniętym bielmem okiem, które przypomina Aaronowi księżyc w pełni.

Starzec sięga przeraźliwie wychudzoną, kościstą ręką, porytą cienką, prawie przezroczystą warstwą poplamionej skóry i odwraca tabliczkę - tak, żeby Aaron mógł ją zobaczyć i przeczytać.

Aaron spogląda na prymitywny manuskrypt i wie już o czym pisze starzec. To jakaś przepowiednia, mówi o związku anioła i śmiertelnej kobiety, o związku, który buduje pomost dla tych, którzy upadli.

Co to, do licha, może znaczyć? - zastanawia się Aaron, Otwiera usta, żeby przemówić, ale przerywają mu dobiegające z zewnątrz krzyki i coś jeszcze.

Starzec patrzy na niego i zasłania dłonią chore oko.

- Idź - szepcze. - Widziałeś już swoje przeznaczenie. Teraz musisz je wypełnić.

Krzyki przerażenia zbliżają się, w powietrzu słychać jeszcze inny dźwięk - Aaron zdaje sobie sprawę, co to takiego, i przesywa go dreszcz strachu.

Ten dźwięk to łopot potężnych skrzydeł.

Aaron obudził się zlany potem, gwałtownie łapiąc powietrze. Serce waliło mu jak opętane.

Jeszcze przez chwilę słyszał łopot skrzydeł, a potem wszystko ucichło.

Gabriel, który spał na pościeli, też podniósł łeb.

- Obudziłem cię, piesku? - spytał nieprzytomnym głosem, wyjmując rękę spod kołdry i drapiąc Gabriela za uchem. - Przepraszam, znów miałem zły sen.

Pieszcząc psa, poczuł, jak się uspokaja, a jego puls stopniowo zwalnia. Gabriel stanowił niezwykle skuteczny środek uspokajający.

Labrador z czułością polizał jego dłoń.

- *Ten starzec był przerażający, prawda?* - powiedział, przysuwając się bliżej.

- Starzec? Masz na myśli Ezekiela? - Aaron poczuł, jak znów zamykają mu się oczy. Wciąż gładził ręką aksamitne futro, które pokrywało twardy łeb psa. Gabriel popatrzył mu w oczy.

- Nie, *nie Zeke. Ten stary mężczyzna ze snu. Mnie też wystraszył.*

Aaron poczuł cios o sile młota pneumatycznego. Wydostał się spod kołdry, usiadł na łóżku i zapalił nocną lampkę.

- Skąd wiesz, że śnił mi się jakiś starzec, Gabrielu? spytał, bojąc się odpowiedzi.

- *Mnie też się śnił* - odparł z dumą pies, wesoło ma-ając ogonem. - *Mam teraz inne sny, w których nie tylko biegam, skaczę i gonię króliki.* Aaron oparł się głową o drewniane wezglowie łóżka.

- Nie mogę w to uwierzyć. Masz te same sny, co ja?

- *Tak* - potwierdził Gabriel. - *Dlaczego jedno z jego oczu wyglądało jak księżyc w pełni?*

Aaron poczuł się, jak na kolejce górskiej w wesołym miasteczku - zjeżdżał w dół, w ciemność, nabierając coraz większej szybkości, i nie widział końca tej jazdy,

Niczego w tej chwili nie pragnął bardziej, jak tylko wysiąść z tej kolejki.

- Proszę, niech to się wreszcie skończy. Gabriel podpełzł bliżej i położył pysk na jego nodze.

- *W porządku, Aaronie* - powiedział z oddaniem. *Nie smuć się.*

Aaron otworzył oczy i zaczął znowu głaskać psa.

- Nic nie jest w porządku, Gabe. Wszystko wymyka się spod kontroli. To, co dzieje się ze mną - i to, co przydarzyło się tobie... To nie jest normalne.

Gabriel usiadł na łóżku, tuż obok swojego pana.

- *Byłem ciężko ranny, a ty mi pomogłeś.* - Przekrzywił łeb. - *Czy to cię martwi, że... jestem teraz inny?*

Aaron spojrzał swojemu najlepszemu przyjacielowi w oczy i potrząsnął głową.

- Nie, nie to mnie martwi. Co więcej, to chyba jedynaa rzecz w tym całym bałaganie, do której jestem w stanie się przyzwyczać. - Podrapał psa za uchem. - Chodzi o wszystkie pozostałe sprawy - te dziwne sny i opowieści Zeke'a...

Po raz kolejny oparł się o ramę łóżka i westchnij z irytacją.

Ale ja tego wszystkiego nie chcę, Gabrieliu. Mam wystarczająco dużo zmartwień. Muszę skończyć szkołę z na tyle dobrą średnią, żeby przyjęli mnie na studia.

- *Średnia* - zdziwił się pies. - *A co to takiego?*

- Średnia ocen - wyjaśnił mu Aaron. - To pokazuje, jak dobrze uczysz się w szkole.

Gabriel pokiwał głową ze zrozumieniem. - Te wszystkie bzdury o aniołach i Nefilimach - nie obchodzi mnie, czy to prawda. Ja po prostu sobie z tym nie radzę. - W tym momencie Aaron podjął decyzję. - Powiem Ezekielowi, że mam już tego dość. Nie chcę nic więcej wiedzieć. Wszystko ma być tak, jak przed moimi urodzinami.

Aaron spojrział na zegarek stojący na nocnym stoliku, chodziła czwarta rano i chciał z powrotem zasnąć. Był wyczerpany fizycznie i psychicznie. Ale z drugiej strony, bał się snów.

- No dobrze, dam sobie jeszcze jedną szansę - powiedział w końcu, DO czym wyłączył światło. Położył głowę na poduszce i przytulił do siebie psa.

- *Dobranoc, Aaronie* - mruknął Gabriel, przysuwając się bliżej, żeby także skorzystać z poduszki. - *Spróbuj śnić wyłącznie dobre sny.*

- Postaram się, przyjacielu - odpowiedział Aaron niedługo potem zapadł w głęboki sen. Tym razem na szczęście nie śnił o starcach, pradawnych przepowiedniach i aniołach, lecz o beztróskim bieganiu w słońcu i pogoniach za królikiem.

*

Werchiel bezszelestnie schodził po krętych, drewnianych schodach z dzwonnicy kościoła pod wezwaniem Świętego Sakramentu. Klatka schodowa była pogrążona w całkowitej ciemności, ale nie stanowiło to najmniejszego problemu dla istoty, która potrafiła poruszać się w mroku na długo, zanim Bóg rozpałił światło stworzenia.

U podnóża schodów znajdowały się zamknięte drzwi. Werchiel otworzył prosty mechanizm siłą woli i drzwi stanęły otworem, wpuszczając go do miejsca kultu. Skierował kroki w stronę

pomieszczenia, gdzie księża przygotowywali się do odprawienia nabożeństwa dla swojego prymitywnego plemienia, a stamtąd wyszedł wprost na ołtarz. Popatrzył w górę na zwieńczone iglicą sklepienie oraz wiszący tam olbrzymi krzyż, symbol ich wiary. Ze swojego miejsca na ołtarzu widział jak na dłoni cały kościół, wschodzące słońce odbijało się w witrażach. Miejsce było przesycone spokojem, którego nie spodziewał się po tych zwierzętach.

Werchiel zszedł z ołtarza i ruszył przed siebie główną nawą. W połowie drogi odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na wielki wiszący krzyż. Tak właśnie robiły prymitywne małpy, którymi pogardzał. W ten sposób próbowali kontaktować się z Bogiem. Przypomnił sobie, ile razy drwił z ich ordynarnych praktyk - kiedy z kamienia i drewna budowali ołtarze, przed którymi próbowali porozumieć się z jedynym Bogiem poprzez akt modlitwy. Ta myśl napawała go niepokojem, ale być może właśnie w tym miejscu uda mu się nawiązać z powrotem łączność z Niebem i porozmawiać z Bogiem o wszystkich sprawach, które nie dawały mu spokoju.

Przypomnił też sobie, w jaki sposób ludzie modlili się i wszedł do jednej z ławek. Niezgrabnie ukląkł i złożył dłonie przed sobą, kierując ciemne oczy na ołtarz. - To ja, Panie - zaczął w języku ludzi. - Minęło wiele czasu, odkąd rozmawialiśmy po raz ostatni, a ja potrzebuję teraz Twojej rady.

Anioł rozejrzał się wokół, szukając jakiegokolwiek znaku świadczącego o tym, że został wysłuchany. Ale jedyne, co usłyszał, to zanikające echo własnego głosu.

Może powinien podejść bliżej. Opuścił ławkę i podszedł do ołtarza.

- Misja, która jest podstawą mojej egzystencji, w ostatnich dniach stała się mroczna.

Przyjrzał się uważnie złotemu krzyżowi, który zwisał u nad głową.

- Istnieje pewna przepowiednia, którą zapewne znasz Panie. Mówi o przebaczeniu i łasce dla tych, którzy upadli i odwrócili się do Ciebie plecami, Niebieski Ojciec.

Werchiel zaczął przemierzać kościół z jednej strony ołtarza na drugą.

- Zgodnie z tą przepowiednią, wybaczysz im, Panie wszelkie ich występki i zjawi się prorok, który dokona rozgrzeszenia.

Z każdą chwilą Werchiel stawał się coraz bardziej pobudzony i zły. Powietrze wokół niego zionęło tłumioną agresją.

- Tym prorokiem będzie Nefilim - wyrzucił z siebie wymawiając to słowo z odrazą. - Nefilim, istota niegodna, by oglądać Twoje oblicze. Kpina z życia, którą starałem się za wszelką cenę wymazać z Twojego świata za pomocą ognia i wody.

Anioł stanął w miejscu.

- Szaleńcy twierdzą, że przepowiednia spełni się niebawem i powstanie most między upadłymi aniołami i Niebem. - Werchiel wspiął się z powrotem na ołtarz nie spuszczać oczu ze złotego krucyfiks. - Powiedz mi, Panie. Czy mam pójść za głosem swego instynktu i zignorować bluźniercze zapiski tych, których od małą dzieli jedynie cienka granica? Czy też powinienem porzucić misję, którą wyznaczyłeś mi po zakończeniu Wielkiej Niebiańskiej Wojny? Muszę to wiedzieć, Ojczy.

Czy mam nadal wypełniać swój święty obowiązek i piętnować wszystko, co Cię obraża, czy raczej odpuścić i pozwolić, by przepowiednia się spełniła? Werchiel czekał na jakiś znak, ale nie doczekał się. Pytania, które zadał, pozostały bez odpowiedzi.

Gniew, który od tysięcy lat towarzyszył mu w walce, eksplodował ze zdwojoną siłą. Zatrzepotał wściekle skrzydłami, a w jego dłoni pojawił się ognisty miecz.

Pomachał nim w stronę niemego krzyża i dał upust swojej złości.

- Powiedz mi, mój Boże, ponieważ zbłądziłem. Daj mi znak swojej woli.

Zza ołtarza dobiegł go jakiś dźwięk. Werchiel stanął oczarowany.

Czyżby Stwórca wysłuchał moich próśb? - pomyślał anioł. Czy Najwyższy obdarzy go swoją łaską i rozwieje jego wątpliwości?

Z zakrystii wyszła stara kobieta. W jednej ręce niosła plastikowe wiadro z wodą, a w drugiej mopa. Z pewnością usłyszała jego błagania i wyszła, żeby zobaczyć, kto modli się tak gorliwie.

Na widok Werchiela wytrzeszczyła oczy. Wiadro z mydlinami wysunęło się z jej dłoni, a jego zawartość rozlała się po stopniach ołtarza.

Werchiel pomyślał, że jego postać musiała rzeczywiście budzić grozę, kiedy rozwinął w pełni skrzydła, skupiając na nich promienie wschodzącego słońca.

Kobieta próbowała uciekać, wykonała kilka niezdarnych, spazmatycznych ruchów, ale skutecznie sparaliżował ją strach. Starą, wychudzoną rękę przycisnęła rozpaczliwie do piersi, otwierając usta w niemym krzyku. A potem padła na posadzkę; jej gasnący wzrok zatrzymał się na złotym krzyżu, symbolu jej wiary.

Werchiel uśmiechnął się.

- Miło było znów Cię usłyszeć - wycodził przez zęby, biorąc to, co się przed chwilą stało, za znak dany mu przez Boga. - A więc niech tak będzie.

*

W spodniach od piżamy i T-shircie Aaron zszedł powoli po schodach. Na dole czekał już na niego z niecierpliwością Gabriel. Aaron ziewnął i przysłonił sobie dłonią usta. Poczłł nieprzyjemny zapach snu. Na szczęście mógł wziąć z lodówki trochę soku, wrócić na górę i umyć zęby, zanim będzie musiał otworzyć usta do króregoś z domowników.

Spał dłużej, niż planował, ale biorąc pod uwagę problemy z zaśnięciem w nocy oraz to, że była niedziela, zupełnie się tym nie przejął. Po prostu chciało mu się pić, nic więcej.

- *Mogę teraz coś zjeść?* - spytał Gabriel, który nie od-stępował go na krok w drodze do kuchni.

- Jak tylko naleję sobie soku - odpowiedział Aaron. Linoleum pod stopami było zimne. Dzięki temu łatwiej mógł zrzucić z siebie resztki snu. Lori siedziała przy kuchennym stole pod oknem, karmiąc Steviego płatkami.

- Cześć - Aaron przywitał się, otwierając drzwi lodówki.

- Dzień dobry - odpowiedziała matka. Gabriel na chwilę zostawił Aarona, żeby przywitać się z Lori i Stevenem. Aaron chciał napić się soku prosto z kartonu, ale pomyślał, że lepiej będzie sięgnąć do szafki po szklanę. Napełnił ją do połowy, oparł się o blat i spróbował ugasić ogromne pragnienie, które tak mu dokuczało.

Wtedy zauważył, że Lori przygląda mu się. Miała ten wyraz twarzy, który mówił, że coś jest nie w porządku. Na pewno zaraz przekaże mu jakieś złe wieści. Aaron aż za dobrze znał to spojrzenie - dokładnie tak samo wyglądała, kiedy musieli odwołać rodzinny wyjazd do Disneylandu, ponieważ organizujące go biuro podróży niespodziewanie splajtowało. Potem już nigdy nie pojechali do parku Disneya. - O co chodzi? - spytał.

Stevie postanowił, że zje śniadanie samodzielnie i wyjął łyżkę z dłoni matki. Nabrał stertę płatków i przysunął sobie miskę.

- Mam dla ciebie bardzo złą wiadomość - powiedziała Lori, odkładając na stół mokrą od łez chusteczkę.

- Co się stało?

Na stole leżała lokalna gazeta i Lori obróciła ją tak żeby Aaron mógł przeczytać nagłówek na pierwszej stronie.

PSYCHIATRA ZGINĄŁ W POŻARZE.

Aaron nie zorientował się, dlaczego powinno go to zmartwić, dopóki nie zobaczył zdjęcia pod tekstem. Na czarno-białej fotografii strażacy z Lynn walczyli z ogniem trawiącym jakiś budynek biurowy. Pod zdjęciem znajdował się podpis: „Doktor Jonas zginął wczoraj w swoim biurze przy Boston Street 257 w którym wybuchł gwałtowny pożar. Dokładne przyczyny wypadku nie są jeszcze znane, mówi się jednak o możliwej eksplozji na skutek wadliwej instalacji gazowej”.

Aaron oderwał wzrok od gazety i spojrzał na matkę,

- O mój Boże! - wykrztusił tylko.

Lori podeszła do młodzieńca i ścisnęła go za ramię.

- Tak mi przykro - powiedziała współczującym tonem. - Dodzwoniłeś się do niego wczoraj?

Aaron usłyszał to pytanie jak przez mgłę. Doktor Jonas nie żył. Mieli się spotkać wczoraj, ale po tym wszystkim, co się zdarzyło, i po rozmowie z Ezekelem kompletnie o tym zapomniał. Postanowił więc, że zadzwoni do psychiatry w poniedziałek i przeprosi za swoją nieobecność.

Lori ścisnęła go znowu za rękę.

- Aaronie?

- Przepraszam, wyłączyłem się na moment. Co mówiłaś?

- Doktor Jonas dzwonił tu wczoraj, kiedy cię nie było . Oddzwoniłeś do niego?

Aaron wolno pokręcił głową. - Dzwonił? Ja nie... nie widziałem żadnej wiadomości.

Kiedy wrócił wieczorem do domu, był skonany. Rodzina poszła gdzieś na kolację, w domu panowała błoga cisza. Aaron nakarmił Gabriela, wyprowadził go, a potem poszedł na górę do łóżka, żeby pooglądać telewizję.

- Nie wiedziałem, że dzwonił - powtórzył zamyślony, wyobrażając sobie lekarza, którego widział zaledwie dwa dni temu, pełnego życia i chętnego do pomocy. 'Jak mogło do tego dojść?

- zadał pytanie, nie spodziewając się odpowiedzi.

- W gazecie napisali, że to prawdopodobnie wybuch gazu - wyjaśniła Lori, zabierając pustą miskę po płatkach i wstawiając ją do zlewu.

Stevie wstał od stołu i podreptał do salonu, nie zważając na nic, co mogło stanąć mu na drodze.

Aaron zorientował się, że krążący po kuchni Gabriel nic jeszcze nie jadł.

- Przepraszam, kolego - powiedział, podchodząc do suszarki i zdejmując z niej psią miskę.

Lori zabrała się za zmywanie naczyń po śniadaniu.

-Jeśli to rzeczywiście gaz, to wystarczyła jedna iskra ...

Aaron nasypał Gabrielowi karmę do miski i postawił ją na macie, obok miski z wodą. Jego matka wciąż mówiła, ale uwagę Aarona zwróciło tylko to jedno zdanie.

W myślach zobaczył, jak Zeke zapala papierosa.

- *Jeśli to był gaz...*

Słowa matki odbijały się echem w jego głowie. Zeke zapalił papierosa opuszkami palców. Z jego palców wystrzelił płomień.

- *...wystarczyła jedna iskra.*

ROZDZIAŁ 8

Aaron nie mógł się doczekać poniedziałku.

Liceum imienia Kena Curtisa stało się jego azylem. W jego murach obowiązywały proste zasady - chodzić na lekcje, odrabiać zadania, zaliczać klasówki. Nie tak jak w świecie zewnętrznym, który z każdym dniem stawał się dla niego coraz bardziej obcy i nierealny.

W szkole nie musiał zawracać sobie głowy gadającym psem, Nefilimem, Potęgami ani śmiercią. Był bezpieczny, przynajmniej do zakończenia lekcji czyli do wpół do trzeciej. Szkoła skutecznie odwracała jego uwagę i właśnie tego potrzebował.

W przerwie obiadowej Aaron poszedł do swojej szafki, żeby zostawić tam podręczniki z porannych zajęć. Nie był głodny, ale świadomość, że po szkole musi jeszcze iść do pracy w klinice, skłoniła go do przekazania czegoś.

Kiedy pakował książki i zeszyty do szafki, upadł mu na ziemię skrypt z psychologii. Aaron schylił się po podręcznik i wtedy pomyślał o Michaelu Jonasie. Natychmiast w jego głowie zakiełkowało pytanie, które od weekendu nie dawało mu spokoju: *Co naprawdę spowodowało ten pożar?*

Po raz kolejny przed oczami stanął mu widok anioła Ezekiela zapalającego papierosa palcami.

Dlaczego tak mnie to zastanawia? Po co te spekulacje? -pomyślał Aaron, odkładając z powrotem skrypt do szafki. Wiedział przecież, że Zeke nie miał nic wspólnego z pożarem, w którym zginął psychiatra. W gazecie było napisane, że ogień wybuchł wczesnym popołudniem, kiedy Aaron i Gabriel siedzieli z upadłym aniołem w pokoju hotelowym.

Ale co z innymi? - nie opuszczało go złe przeczucie,

- Co z tymi... Potęgami?

Zamykając szafkę, poczuł nagły ucisk w żołądku. *Może jednak daruję sobie obiad i pójdę od razu do biblioteki?*- pomyślał.

Odwrocił się ze spuszczoną głową i prawie wpadł na Vilnę Santiago.

- Cześć! - Aaron odskoczył, zdenerwowany. - Nie zauważyłem cię, przepraszam.

- Cześć!

Vilna zignorowała jego niezdarność, chociaż widać było, że jest równie speszona, co on. Za szafką Vilny Aaron zauważył dwie jej koleżanki, które starały się pozostać niezauważone.

- Jak się masz? - Aaron spytał bez przekonania. Jeśli jeszcze się nie ośmieszył, to była to już tylko kwestia czasu.

- W porządku - odparła Vilna. - A ty?

- Jakoś leci. - Nerwowo skinął głową i uśmiechnął się idiotycznie. - Jest naprawdę nieźle - dodał. W głowie czuł kompletną pustkę, żadnych impulsów elektrycznych. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, i zastanawiał się, co by zrobiła Vilna Santiago, gdyby w jej obecności nagle się rozplakał.

Cisza powoli stawała się nie do zniesienia, aż wreszcie. Vilna przemówiła: - Idziesz na obiad?

Nagle lunch wydał się Aaronowi świetnym pomysłem.

- Tak, pewnie, w końcu mamy przerwę obiadową. Jasne, idę na obiad. - Aaron nie mógł uwierzyć w to, jak się zachowuje. *Co za kompletny idiota.* Nie miałby Vilnie za złe, gdyby teraz odwróciła się na pięcie i odeszła. Albo wręcz uciekła.

- Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zjemy razem?

- spytała Vilna, a w jej głosie Aaron wyczuł wahanie jakby obawiała się odrzucenia.

Zamurowało go. Nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Ogarnęło go takie przerażenie, że nie był nawet w stanie powiedzieć czegoś głupiego.

Vilma spieszyła się.

-Jeśli masz coś innego do roboty, oczywiście zrozumieć to i...

- Z przyjemnością zjem z tobą - wykrztusił w końcu Aaron. - Jestem tylko... no wiesz, trochę zaskoczony twoją propozycją.

Vilma uśmiechnęła się chytrze, a Aaron poczuł, jakby temperatura powietrza skoczyła nagle o kilkanaście stopni.

Świetnie teraz jeszcze zaczynam się pocić - pomyślał - Naprawdę cudownie.

- Zaskoczę cię jeszcze nie raz, Aaronie Corbet - oznajmiła Vilma, odgarniając kosmyk ciemnych włosów z czoła. - Idziemy do stołówki, czy wolisz zjeść w kampusie?

Wtedy Aaron usłyszał, jak ktoś woła go po imieniu. Oboje z Vilma odwrócili się i zobaczyli pannę Vistorino z sekretariatu szkoły. Schodziła właśnie po schodach. Panna Vistorino była znana z tego, że nosiła ubrania w jaskrawych kolorach. Dzisiaj miała na sobie żółtozielone spodnie i pasujące kolorystycznie buty. -Aaronie - zawołała go znowu. - Cieszę się, że cię złapałam.

- Czy coś się stało? - spytał ostrożnie Aaron, czując, jak żołądek podjeżdża mu do gardła po raz drugi.

- W sekretariacie czeka na ciebie pan z Uniwersytetu Emersona, który chce zobaczyć się z tobą w sprawie twojej aplikacji.

- Z Uniwersytetu Emersona? - Aaron wymamrotał pod nosem. - Ale ja...

Kobieta odwróciła się w stronę, z której przyszła.

- Wspominał coś o pełnym stypendium, więc na twoim miejscu ruszyłabym tyłek.

Vilma dotknęła jego ramienia.

- Lepiej idź - powiedziała z ekscytacją w głosie.

Aaron był rozdarty. Bardzo chciał iść na obiad z Vilma, ale perspektywa stypendium była nie mniej kusząca.

- A co z naszym obiadem? Ja naprawdę chciałem...

- Możemy zjeść razem jutro - Vilma ucieła dyskusję. - Mną się nie przejmuj. - Odwróciła się do koleżanek, które wciąż wyglądały zza szafki. - Teraz wrzucę coś na szybko z nimi. Żaden problem, wierz mi. Vilma wskazała hol na dole schodów. - Może spotkamy się później - opowiesz mi, jak poszła rozmowa?

-Jasne - odparł szybko Aaron, zaskoczony jej zainteresowaniem. - Zaczekam przy twojej szafce po ostatniej lekcji. - Chciał pomachać jej na pożegnanie, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. To nie byłoby zbyt fajne.

Lecz kiedy skręcił za róg, stracił nad sobą kontrolę, odwrócił się i pomachał. Vilma, która wciąż go obserwowała, odmachala mu. Jej dwie wścibskie koleżanki, z którymi teraz stała, jak na komendę wybuchnęły śmiechem.

Idąc do sekretariatu, Aaron analizował w głowie wszystkie aplikacje, które wysłał. I chociaż starał się, jak mógł za żadne skarby nie potrafił sobie przypomnieć, żeby na tej liście był Uniwersytet Emersona.

Gdy Aaron wszedł do sekretariatu, panna Vistorino siedziała za swoim biurkiem i rozmawiała przez telefon

— Jest W pokoju pana Cunninghama - wyszeptala zasłaniając dłonią słuchawkę - Pana Cunninghama nie będzie do końca dnia.

Po czym wróciła do rozmowy.

- Powodzenia - szepnęła jeszcze, kiedy Aaron zapukał do drzwi gabinetu dyrektora. Po krótkiej chwili nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Mężczyzna stał tyłem do drzwi i wyglądał przez okno na szkolny parking. Aaron delikatnie zamknął za sobą drzwi i przełknął głośno ślinę. Mężczyzna odwrócił się i zlustrował go spojrzeniem, jakby chciał trafić przez czaszkę wprost do jego mózgu.

- Dzień dobry - powiedział Aaron, odsuwając się od drzwi. - Nazywam się Aaron Corbet. Panna Vistorino powiedziała, że chciał pan ze mną rozmawiać. Wyciągnął rękę do mężczyzny. Nauczył go tego jego przybrany ojciec. Kiedy spotykasz kogoś po raz pierwszy, zawsze się przedstaw i uściśnij mu dłoń. To dowód twojego charakteru - tłumaczył mu ojciec. Mężczyzna przyjrzał się wyciągniętej ręce, jak gdyby nie był pewien, czy jest wystarczająco czysta, by jej dotknąć. - Z kim mam przyjemność? - Aaron przerwał niewygodną ciszę.

- Możesz nazywać mnie Posłańcem - odezwał się silnym głosem mężczyzna i uściśnął rękę Aaronowi, - Bardzo miło mi pana poznać, panie... Posłańcze. Nagle Aaron poczuł, jak ogarnia go strach. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej tak się czuł. Chciał uciec znaleźć się jak

najdalej od tego człowieka. *Co się ze mną dzieje?* - pomyślał, używając resztek samokontroli, by nie wyrwać ręki z uścisku mężczyzny i nie wybiec z gabinetu.

Posłaniec cofnął rękę i Aaron natychmiast opuścił swoją, w której poczuł dziwne mrowienie. Zupełnie jak wtedy, gdy uratował życie Gabrielowi, kładąc dłonie na jego futrze.

- Cieszę się, że dotarłem do ciebie pierwszy - powiedział Posłaniec, przyglądając się Aaronowi z dziwnym błyskiem w oku. - Dojrzałeś znacznie szybciej niż inni - to wyraźny znak, że jesteś kimś więcej, niż nam się wszystkim zdawało.

Aarona zdziwiły te słowa. Nie rozumiał ich znaczenia i nie wiedział za bardzo, jak powinien zareagować.

- Proszę? - zaczął. - Naprawdę nie rozumiem, co...

- Myślę, że jednak rozumiesz - rozległ się tubalny głos mężczyzny i przez ułamek chwili Aaron zobaczył, z kim naprawdę ma do czynienia. Mężczyzna miał na sobie zbroję, która wyglądała, jakby wykuto ją z promieni słonecznych, a w ręce trzymał ognisty miecz. Z jego pleców wyrastały potężne skrzydła. - Jestem Kamael - przedstawił się, chociaż zabrzmiało to bardziej jak po mruk dzikiego kota. - I przybyłem tu, żeby cię bronić.

Aaron zamknął oczy i po chwili otworzył je z powrotem. Kamael wrócił do swojej ludzkiej postaci. Nie miał zbroi, skrzydeł ani płonącego miecza. Był już z powrotem dystyngowanym, szpakowatym dżentelmenem z siwą kozią bródką.

- Posłaniec... akurat - Aaron mruknął z odrazą. - Powinienem od razu się domyślić - Zeke uprzedzał mnie, że mam się ciebie spodziewać.

Kamael wyglądał na zaskoczonego. - Zeke? - spytał.

- Ezekiel - odparł Aaron. - Dla przyjaciół Zeke - albo Grigori, jak kto woli...

- Grigori - powtórzył jak echo mężczyzna, wyraźnie zaintrygowany, skubiąc brodę. - A więc miałeś już kontakt z przedstawicielami naszej rasy.

- Owszem - przytaknął Aaron. - Zeke powiedział mi też, że ścigają mnie Potęgi, ponieważ jestem tym, kim jestem - ale ja nie zamierzam tanio sprzedać skóry.

Kamael zachichotał.

- Jesteś odważny, to bardzo dobrze. Ale będziemy potrzebowali trochę więcej ognia, żeby przygotować się na to, co cię czeka.

Zaskoczony Aaron zaczął chyłkiem wycofywać się w stronę drzwi.

- A może ty jesteś jednym ze Strażników? Kamael pokręcił głową, przysiadając na krawędzi biurka pana Cunninghama.

- Kiedyś eliminowałem takich jak ty - wskazał Aaro-na palcem, po czym ponownie skrzyżował ramiona na piersi. - Ale tak było bardzo dawno temu. Teraz mam za zadanie ratować, nie niszczyć. Jeżeli moje domysły się potwierdzą, czeka cię bardzo odpowiedzialne zadanie, Aaronie Corbet.

Aaron przypomniał sobie nagle swój sen z weekendu - o starcu i jego tabliczkach.

- Czy to ma jakiś związek z budowaniem czegoś w rodzaju mostu?

Kamael skinął głową.

- Mniej więcej.

Aaron poczuł znów niebezpieczną ciekawość, która zawiodła go na skraj tej przepaści. Gdyby nie uległ jej wcześniej, nigdy nie zadałby sobie trudu, żeby odnaleźć Ezekiela i wszystko zostałyby jak dawniej. A może próbował tylko przekonać sam siebie, że tak właśnie by było.

Tak czy inaczej, postanowił wreszcie położyć temu kres - tu i teraz. Nie miał ochoty dalej słuchać, co Kamael ma do powiedzenia.

- Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Nic takiego się nie stanie - rzucił dość opryskliwie i odwrócił się w stronę drzwi. - Nie dbam o to, za kogo mnie uważasz, ani nie zamierzam mieć do czynienia z żadną przepowiednią. - Mówiąc to, chwycił za klamkę.

- Możesz nie mieć wyboru - odparł spokojnie anioł, Aaron obrócił się na pięcie i spojrzał mu w twarz.

- I tu się mylisz - warknął, starając się zachować panowanie nad sobą, tak by żadne oznaki szaleństwa, które pojawiły się w tym gabinecie, nie wydostały się na zew nątrz, do jego prawdziwego świata. - Przez całe życie wbijano mi do głowy, że to ja jestem kowalem swojego losu - ja, Aaron Corbet. - Dla podkreślenia tych słów Aaron postukał się kciukiem w pierś. - Dlatego sam sobie wszystko zaplanowałem. Skończę liceum, potem studia na dobrej uczelni, skończę ją jako jeden z najlepszych na roku i znajdę wymarzoną pracę. - Aaron nie miał jeszcze pojęcia, jaka będzie ta wymarzona praca, ale był jak w transie i nie mógł przestać. - A potem poznam wspaniałą dziewczynę, ożenię się z nią i będziemy mieli gromadkę dzieci.

Kamael milczał, przyglądając mu się bez cienia emocji i czekając, aż się wykrzyczy.

- Tak właśnie będzie - kontynuował Aaron. - I zwróć, proszę, uwagę, że w moim planie nie ma mowy o żadnych aniołach, Nefilimach ani starożytnych przepowiedniach. Wybacz, ale nie ma na to miejsca w moim życiu.

Anioł wstał z biurka i podszedł bliżej. - Jesteś inny, Aaronie. Czuję emanującą od ciebie falami moc. Pozwól mi...

- Nie! - przerwał mu Aaron. - Skończyłem - wyrzucił z siebie i otworzył drzwi. - Wracaj do nieba, a potem dajcie mi wszyscy święty spokój!

Kiedy wypadł z gabinetu do sekretariatu, wydawało mu się, że słyszy jeszcze, jak anioł szepta: - To właśnie staramy się osiągnąć.

*

Kamael nie chciał rzucać się w oczy i na razie mu się to udawało.

Stał na trawniku, obok masztu z flagą, przed budynkiem szkoły i obserwował, jak uczniowie wychodzą po skończonych zajęciach. Młodzi zawsze go fascynowali. Są tacy pełni życia i przekonani, że posiadli już całą wiedzę o otaczającym ich wszechświecie.

Być pewnym wszystkiego - pomyślał - to musi być rozkosz.

Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy opuścił oddział, którym dowodził. Chociaż wiedział, że postępuje właściwie, w najciemniejszych zakamarkach jego umysłu wciąż tliły się wątpliwości, których nie potrafił się wyzbyć. Owszem, w głębi duszy wierzył, że to, co przepowiedział jasnowidz, było prawdą, ale gdyby od początku wiedział, z jakim bólem i wyrzeczeniami będzie wiązać się wypełnienie przepowiedni, czy nadal podjąłby się tej misji?

Ilu zdołał ocalić? Ilu uświadomił ich prawdziwą naturę? Ilu miało odwagę zstąpić z pełnej krwawej przemocy drogi, którą podążali mściwi Strażnicy? I gdzie oni teraz są? Ukrywają się? Czekają na upragniony moment, w którym zostaną z powrotem przyjęci na łono swojego Boga? Ilu z nich nigdy nie doczeka tej chwili? Ilu straci życie, nie mając nawet pojęcia, że zostali naznaczeni? *Czy było warto?* - zastanawiał się Kamael, patrząc, jak ostatni uczniowie wychodzą z gmachu z pomarańczowej cegły, rozmawiając w niewielkich grupkach. Wtedy ujrzał Aarona Corbeta i natychmiast doznał uczucia, które było mu obce, odkąd poznał przepowiednię spisaną przez starca. *Czy on faktycznie jest Wybrańcem?* - zastanowił się. Czy to ten, który wynagrodzi mu samotność i ból, którego doświadczał tak długo? Jeżeli odpowiedź na to pytanie brzmiała

„tak”, musiał tylko chronić go - utrzymać przy życiu, by mógł wypełnić słowa przepowiedni. Wtedy okaże się, że było warto. *Ale czy jestem wystarczająco silny?* - zawahał się Kamael. Chłopak szedł w towarzystwie dziewczyny, bardzo atrakcyjnej jak na standardy ludzkie, które Kamael zdążył już dobrze poznać. Miała ciemne włosy, skórę w kolorze miedzi i promienny uśmiech. A sądząc po tym, jak Aaron wyglądał i zachowywał się, był w niej bez pamięci zadurzony.

To się nie uda - pomyślał anioł stróż. *Wżyciu tego chłopca są dużo ważniejsze sprawy niż uczucia i związane z nimi słabości. Chłopak wciąż nie miał pojęcia, jak wiele od niego za leży.* A jednak, było w tej dziewczynie coś wyjątkowego - w sposobie, w jaki się poruszała, i w tym uśmiechu...

- To z nim wiążesz takie nadzieje? - Kamael usłyszał głos za plecami. - To on wywołuje u ciebie taką ekscytację?

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Werchielem. Natychmiast zeszywniał i zaczął zbroić się w myślach.

- Ależ oczywiście - ciągnął Werchiel. Odchylił głowę lekko do tyłu i wciągnął powietrze w nozdrza, łapiąc zapach Nefilima, który go tu sprowadził. - Pachnie inaczej niż pozostali, prawda? Niebiańska moc skapana w smrodzie ludzkich podrobów.

Kamael zerknął kątem oka, żeby zobaczyć, gdzie jest Aaron i dziewczyna, która mu towarzyszyła. Rozmawia li na końcu szkolnego podjazdu.

Odwrócił się i zobaczył, że Werchiel podszedł bliżej.

- Spójrz na niego - powiedział Werchiel. - Jest kompletnie nieświadomy i obojętny na świat, który go otacza. Nawet nas nie widzi. Jaką moc może kryć w sobie?

- Rzecz nie w tym, że jej nie ma - wyjaśnił mu Kamael. - Po prostu nie chce się do tego przyznać.

Werchiel zastanowił się przez chwilę, nie spuszczając z Kamaela swojego krogulczego wzroku.

- Rozumiem... czyli wypiera się swojej prawdziwej natury. Kurczowo trzyma się człowieczeństwa, nie dopuszczając do siebie myśli, że w połowie jest aniołem.

W pewnym momencie dziewczyna, z którą szedł Aaron, roześmiała się głośno. Werchiel wzdrygnął się.

Nienawidzę dźwięków, które z siebie wydają - powiedział, mrużąc oczy z odrazą. - A ty? - Rozmawiałem z chłopcem i wypiera się wszystkiego - odparł łagodnym tonem Kamael, choć w jego głosie zabrzmiała także nutka udawanego rozczarowania. - Nie chce mieć w ogóle do czynienia ze swoim dziedzictwem.

Aaron i dziewczyna szli już w stronę parkingu. - A więc nie stanowi dla nas w tej chwili bezpośredniego zagrożenia? - spytał Werchiel, odprowadzając parę uważnym wzrokiem.

- Bycie człowiekiem całkowicie mu odpowiada - odrzekł Kamael, obserwując bacznie swojego wroga.

- Nie obchodzi mnie, co mu odpowiada, a co nie.

W najmniejszym stopniu - warknął Werchiel, odwracając głowę w stronę Kamaela. - Mimo wszystko musi zostać zniszczony. Dla jego własnego dobra. - Anioł uśmiechnął się, w pełni świadom efektu, jaki wywołały jego słowa. - Jest zbyt niebezpieczny, żeby żyć.

Kamael usłyszał trzask zamykanych drzwi - Aaron i dziewczyna pewnie wsiedli już do samochodu. W jego dłoni zapłonął miecz. Kamael był gotów do walki, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Grozisz mi bronią? - spytał Werchiel. Z jego ciała emanowała ta sama energia.

Wtem na parkingu rozległo się przeraźliwe wycie alarmów samochodowych. Auta zaczęły mrugać światłami, słychać było też klaksony, które zdawały się zwiastować nadejście jakiejś ważnej osoby. Ludzie w popłochu rzucili się do ucieczki. Nikt nie widział dwóch aniołów, szykujących się nieopodal do śmiertelnego starcia.

- Byliśmy kiedyś braćmi, Kamaelu - ciągnął Werchiel, - Wypełnialiśmy nasze święte obowiązki z tą samą żarliwością. A teraz, do czego nas to doprowadziło?

W zgiełku dobiegającym z parkingu Kamael wychwytał odgłos jednego samochodu, który zapalił silnik i odjeżdżał powoli. Poczul ulgę, że Aaronowi przynajmniej na razie udało się uciec. Nie odezwał się ani słowem.

- Przyszedłem cię ostrzec, Kamaelu - zakończył Werchiel, a bijąca od niego energia nieco przygasła. - Jako twój były brat, jestem ci to winien.

Kamael nie opuścił broni, lecz rozejrzał się wokół w poszukiwaniu innych żołnierzy Werchiela.

- To wszystko zmierza do nieuchronnego końca. - Werchiel wsunął dłonie do kieszeni płaszcza i odwrócił się, żeby odejść. - Długo to trwało, ale koniec jest już bliski. Dzień Sądu Ostatecznego.

Kamael patrzył, jak jego dawny sprzymierzeniec, a obecnie śmiertelny wróg oddala się. Chciał go zawołać i wyjaśnić mu wszystko, ale wątpił, by Werchiela interesowało to, co ma mu do powiedzenia. - Rozejm się skończył - dodał jeszcze Werchiel. - Jeśli staniesz mi na drodze, nie zawaham się zetrzeć cię proch - ostrzegł go. - Uważaj, po czyjej stronie się powiadasz, bo jeśli źle wybierzesz, podzielisz ich los. Broń w dłoni Kamaela powoli znikła. Gdy patrzył w ślad za oddalającym się aniołem, poczuł nagle znajomy ucisk w żołądku. Dobrze znał to uczucie. Próbował o nim zapomnieć, gdy tylko zdecydował się podążyć za głosem starożytnej przepowiedni. Trzymał je na uwięzi, nie pozwalając mu wypełznąć na wolność. Jednak słowa Werchiela sprawiły, że uczucie to znów wyszło z cienia i na dobre zagościło w jego głowie. To uczucie nazywało się wątpliwość.

ROZDZIAŁ 9

Aaron jechał swoją Toyotą Corollą w dół Zachodniej Alei, w kierunku McDonough Square, Odkąd zrobił prawo jazdy, był w tej części miasta tysiące razy, ale nigdy jakoś nie zwracał zbytnej uwagi na otoczenie. W tej okolicy mieszkała Vilma Santiago Sklep tytoniowy Febonio's, sklep spożywczy Snell's, sklep z artykułami dla mężczyzn Mitchell's - zauważał dziesiątki nowych budynków, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy aż do dzisiaj, i które teraz starał się zapamiętać, na wypadek gdyby miał tu jeszcze kiedyś wrócić.

- To tutaj, Aaronie. Po lewej. - Vilma wskazała mu przez szybę.

Aaron spojrzał w tamtą stronę i zobaczył niewielką uliczkę, przy której stał mały sklep z szyldem „Wszystko z Brazylii”.

- Tutaj? - spytał, włączając kierunkowskaz i zwalniając.

- Zgadza się - odpowiedziała Vilma. - To ślepy zaułek. Cholernie trudno tu trafić, a jeszcze trudniej się stąd wydostać.

Aaron poczekał, aż nadjeżdżające z naprzeciwka samochody przejadą i będzie mógł skrócić. W końcu jakiś gość w czarnej furgonetce z namalowanym na drzwiach promem kosmicznym Enterprise przepuścił go i Aaron skręcił w uliczkę, która nosiła nazwę Belvidere Place.

- To ten brązowy dom na końcu ulicy - wskazała Vilma, odnosząc plecak z podłogi i kładąc go sobie na kolanach.

Uliczka rzeczywiście była bardzo mała, niewiele szersza niż długość jego samochodu. Na końcu drogę zagradała siatka, za którą znajdował się kościół i parking. Przy ulicy stało osiem domów, cztery po każdej Stronie. Wszystkie wyglądały niemal identycznie.

Aaron zaparkował przed ostatnim domem po prawej i obrócił się, żeby spojrzeć na Vilnę. Dziewczyna sięgała właśnie ręką do klamki.

Pewnie nie może się doczekać, żeby ode mnie uciec - pomyślał. Wiedział, że po drodze był strasznie rozkojarzony. Im bardziej starał się zapomnieć o spotkaniu z Kamaelem, tym bardziej wracał do niego myślami. Bał się, że ten wewnętrzny chaos mógł udzielić się także Vilnie.

- Przykro mi, że spotkanie z gościem z Emersona nie wypaliło - odezwała się Vilna, a w jej głosie zabrzmiało autentyczne współczucie.

Aaron powiedział jej, że facet okazał się totalnym palantem i nie przypadli sobie do gustu. W ten sposób pewnie sam skreślił się z listy potencjalnych kandydatów do stypendium.

- Nic się nie stało. - Aaron wzruszył ramionami - I tak nie chciałem tam studiować.

Nie znoził jej okłamywać, bo to nie wróżyło dobrze ich ewentualnej przyszłości. Ale jaki miał wybór? Nie mógł przecież opowiedzieć Vilnie o szaleństwie, w jakie zamieniło się w ostatnich tygodniach jego życie. Zaczął się nawet zastanawiać, czy powinien w ogóle robić sobie nadzieję na jakąś bliższą znajomość z Vilną. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było wciąganie ją w wir obłędu, który kręcił się wokół niego.

Cisza, która zapadła w samochodzie, była niemal nie do zniesienia. W końcu Vilna uchyliła drzwi i spojrzała na niego. Uśmiechnął się.

- Dziękuję za podwiezienie, bardzo to doceniam - powiedziała, odwzajemniając uśmiech.

Aaron zawstydział się. - Dzisiaj miałam ze sobą chyba wszystkie możliwe książki. Torba pęka mi w szwach. - Poklepała wypchaną nylonową torbę, przewieszoną przez ramię.

- Żaden problem - odparł Aaron, dotykając gładkiej kierownicy. - Polecam się na przyszłość.

Vilna otworzyła drzwi, ale nie wysiadła. Aaron pomyślał, czy nie powinien wykonać jakiegoś dżentelmeńskiego gestu, na przykład obejść samochód z drugiej strony i jej pomóc.

- Wiesz, możesz do mnie zadzwonić, kiedy tylko ze-chcesz - wyrwało się Vilnie, która bawiła się zamkiem od torby. - Na przykład, jeśli będziesz miał ochotę pogadać. O Emersonie albo o eseju - zawsze możesz liczyć na moją pomoc.

Aaron popatrzył na nią - naprawdę na nią popatrzył, Nagle cała nerwowość, która do tej pory mu towarzyszyła - i brak pewności siebie - gdzieś zniknęły. Zdał sobie sprawę, że Vilma jest nie tylko najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział, ale też jak najbardziej realną. Nie bawiła się z nim w żadne gierki. Mówiła dokładnie to, co miała na myśli, i to mu się podobało. Bardzo.

- Dlaczego chcesz mi pomóc? - spytał ją nagle, odwracając spojrzenie i wbijając znów wzrok w kierownicę. - Na pewno masz mnóstwo ciekawszych rzeczy do roboty niż spędzanie czasu ze mną.

Vilma zastanowiła się przez chwilę, a potem skinęła głową.

- Pewnie masz rację. Sprzątanie po kuzynkach, pranie, odrabianie lekcji - tak, masz rację. Jest mnóstwo ciekawszych rzeczy niż rozmowa z przystojnym chłopakiem przez telefon.

Aarona na chwilę zatkało. Nerwowo podrapał się w tył głowy.

- Chcesz powiedzieć, że jestem przystojny, czy też mówiłaś o kimś innym, do kogo masz zamiar zadzwonić?

Vilma roześmiała się i przewróciła pięknymi oczami w kolorze dojrzałych migdałów.

- Myślałam, że mam do czynienia z wysokim, posepnym facetem, a nie z jakimś niedomyślnym kretynem, - Pokręciła głową z niedowierzaniem.

Vilma śmiała się z niego, ale Aaronowi to nie przeszkadzało. Dźwięk jej śmiechu był jednym z najfajniejszych, jakie słyszał w życiu. Sam też zaczął się śmiać.

- Nikt nigdy nie nazwał mnie niedomyślnym kretynem - spojrzął jej w oczy. - Dzięki.

Vilma ścisnęła go lekko za ramię. - Lubię cię, Aaronie - powiedziała. Aaron nigdy nie pragnął pocałować dziewczyny bardziej niż teraz. Jasne, była jeszcze Jennine Surrette w gimnazjum, ale z nią całował się tylko dlatego, że nigdy wcześniej tego nie robił. Dlatego pocałunek z Vilma wydawał mu się tym pierwszym, prawdziwym - tak jakby wszystkie inne pocałunki od czasu Jennine były tylko ćwiczeniem przygotowującym do tej sytuacji.

Aaron nachylił się, jej usta przyciągały go jakąś niewidzialną mocą, której nie potrafił - i nie chciał - się oprzeć. Z wyraźną ulgą zorientował się jednak, że Vilma ma dokładnie ten sam problem i również przysuwa się w jego kierunku.

I wtedy rozległo się gwałtowne pukanie w szybę od strony pasażera. Czar prysł w jednej chwili.

Mała dziewczynka, wyglądająca jak żywa kopia Vil-my w wieku około siedmiu-ośmiu lat, zajrzała do samochodu z promiennym uśmiechem. Zaprezentowała sporą lukę w uzębieniu - widocznie musiała niedawno stracić kilka mleczniaków. Vilma pogroziła jej pięścią i dziewczynka uciekła, zanosząc się śmiechem.

- To moja kuzynka - wyjaśniła, oblewając się rumieńcem.

Chwila minęła, błyskawica zamknięta w butelce wydostała się na wolność - i musiała zaczekać na inną okazję. Aaron nie przejmował się tym jednak. Pocałunek z Vilną mógł zaczekać - miał nadzieję, że niezbyt długo.

-Ja też cię lubię - powiedział i przelotnie dotknął jej ręki. Poczł wyraźne ciepło.

Vilna otworzyła boczną kieszonkę plecaka. Wyjęła stamtąd mały, różowy ołówek i taką samą kartkę papieru i zaczęła pisać.

Ciocia i wujek nie chcą mi kupić komórki, więc tutaj masz mój numer domowy i adres e-mail - powiedziała, wyrwawszy kartkę z notesu. - Możesz śmiało dzwonić między szóstą a dziewiątą. Ciotka i wujek trochę świrują, jak ktoś dzwoni zbyt późno. Możesz też wysłać mi maila. Odpowiem tak szybko, jak to będzie możliwe.

Aaron spojrział na kartkę z numerem telefonu. Miał wrażenie, że właśnie wygrał na loterii miliard dolarów - albo coś jeszcze lepszego.

- Możesz dać mi swój numer później. - Vilna wysiadła z auta, ciągnąc za sobą torbę. - A teraz pójdę do domu i zabiję kuzynkę.

Po chwili odwróciła się i wsadziła jeszcze raz głowę do środka.

- Możesz dać mi swój numer wieczorem, kiedy pójdziemy na spacer - zasugerowała z kolejnym rozbajającym uśmiechem.

Aaron już miał się zgodzić, kiedy przypomniał sobie, że przecież dzisiaj pracuje.

- Nie mogę zadzwonić dzisiaj wieczorem - jestem w pracy i raczej nie wrócę do domu przed dziewiątą.

- Ach, już dostałam kosza - westchnęła Vilna z udawanym rozczarowaniem.

- Daj mi ten ołówek - rozkazał Aaron.

Podala mu go posłusznie, cały czas się uśmiechając i patrzyła, jak Aaron pisze coś na dole kartki, którą od niej dostał.

- Daję ci go już teraz - powiedział, kiedy skończył. Złożył papier i oderwał fragment ze swoim numerem. - W ten sposób będziesz mieć pewność, że moje intencje są czyste. - Podał jej skrawek papieru.

- A jakie dokładne są pańskie intencje, panie Corbet? - Vilma wsunęła kartkę do tylnej kieszeni spodni.

- Przyjdzie jeszcze czas na wyjaśnienia, panno Santiago - odparł z szatańskim uśmiechem. - Wszystko w swoim czasie.

-Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie. - Vilma roześmiała się i zamknęła drzwi.

Aaron patrzył, jak wchodzi na werandę, po czym Znika w domu.

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał już prawie trzecią. Aaronowi zostało niespełna pięć minut, żeby przebić się przez całe miasto i zdążyć do pracy. Ale mało go to obchodziło. Cofając samochód z wąskiej, ślepo zakończonej uliczki, zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nic go w tej chwili nie obchodzi. Wszystko układało się dobrze.

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio tak się czuł.

Po prostu bardzo chciał, by stan ten utrzymywał się jak najdłużej.

*

Ezekiel pił prosto z butelki tanią whisky i rozważał w myślach kwestię odkupienia.

Podniósł się na łóżku i zmienił pozycję na wygodniejszą, opierając głowę o chłodną, otynkowaną ścianę Zamyślony, zaciągnął się głęboko trzymanym w ręce papierosem.

Odkupienie. Dziwne, ale od dnia, w którym spotkał chłopca po raz pierwszy, to słowo nie dawało mu spokoju.

Zeke sięgnął znowu po butelkę z alkoholem, stojącą na podłodze przy łóżku, i pociągnął łyk. Dym papierosowy krążył mu w nozdrzach, a whisky spływała po gardle. Palila go, ale pił dalej.

To chyba jakaś forma pokuty - pomyślał, odstawiając butelkę od spragnionych ust i zastępując ją papierosem. Kara za wszystkie jego przewinienia i słabości. *A najdziwniejsze jest to, że mimo tak długiego czasu wciąż nie mogę przestać o tym myśleć.* - Zeke wbił wzrok w ścianę naprzeciwko. Wspinał się po niej z mozołem karaluch i anioł w duchu życzył mu powodzenia. Mógł mu to powiedzieć osobiście, ale komunikacja z insektem nie należała do najłatwiejszych.

Przebaczenie - czy jest w ogóle możliwe? Po tym, jak Grigori zostali wygnani, nie przestawali używać życia. Ziemia stała się ich nowym domem. Doskonale zdawali sobie sprawę, że już nigdy nie ujrzą Nieba. Ezekiel nawet nie brał pod uwagę przebaczenia - do chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał tego chłopca na błoniach. Po raz kolejny zaciągnął się papierosem i przytrzymał dym w płucach. Zajmował się własnymi sprawami, szukał w śmietnikach puszek, które mógłby oddać na złom - i wtedy go wyczuł. Poczł obecność chłopaka, który bawił się z psem po drugiej stronie błoni.

Z Nefilimami stykał się od wieków, ale nigdy nie zrobiło to na nim takiego wrażenia jak teraz. Aaron był wyjątkowy.

Zeke wypuścił z płuc chmurę kłębiącego się dymu. Skończył papierosa i wyrzucił filtr na podłogę. Chciało mu się jeszcze palić i w pewnej chwili pomyślał, że poprosi sąsiada o papierosa, ale wtedy przypomniał sobie, że jest już winny kilka fajek innym lokatorom. Musiał zagłuszyć w sobie nikotynowy głód.

Co ja Mu powiem - co powiem Stwórcy? - zastanowił się, sięgając po butelkę.

- Przepraszam, że wszystko spieprzyłem - wymamrotał i napił się whisky.

Położył butelkę na brzuchu i popatrzył w sufit, skupiając wzrok na mokrej plamie, która kształtem przypominała mu Włochy.

Czy przyznanie się do winy i wyrażenie skruchy wy starczą?

Zeke pogrzebał w pamięci, żeby przypomnieć sobie, jakie to uczucie znaleźć się w Jego obecności. Zamknął oczy i poczuł, jak na wspomnienie tych chwil robi mu się ciepło. Gdyby tylko mógł poczuć to znowu - stanąć przed Ojcem wszystkich rzeczy i błagać Go o łaskę.

Otworzył oczy i dotknął policzków — były mokre od łez.

- To żalosne - mruknął, zdegustowany tym nagłym przypiływem emocji. - Łzy nic tu nie pomogą

- powiedział na głos, podnosząc butelkę do ust. Oparł głowę o ścianę i przełknął kilka potężnych łyków alkoholu. Beknął głośno - niski gardłowy dźwięk zdawał się

wstrząsać krokwiemi na dachu. - Trzeba było się nad tym zastanowić, zanim zacząłem udzielać rad potrzebującym - powiedział sam do siebie z sarkazmem.

Nagle uderzył go charakterystyczny zapach. Dym. Ale nie ten, którego tak bardzo potrzebował. Coś się paliło. Podniósł się z łóżka i nie zakładając butów, podszedł do drzwi. Jeżeli Gruba Mary z dołu podgrzewa znów coś na kuchence elektrycznej, wszyscy lokatorzy będą mieli kłopoty.

Może sąsiadka postanowiła tylko zagotować sobie wodę na herbatę? - pomyślał Zeke, otwierając drzwi na korytarz.

W twarz uderzył go podmuch gorącego powietrza -tak silny, że Zeke zatoczył się do tyłu i zasłonił instynktownie twarz rękami. Korytarz płonął i błyskawicznie wypełniał się gryzącym dymem.

Ogarnęła go panika. Nie bał się jednak o siebie, gdyż był niemal pewien, że płomienie nie mogą wyrządzić mu krzywdy, lecz o pozostałych nieszczęśnikach, którzy azywali Hotel Osmond swoim domem. Wytoczył się z pokoju, zasłaniając usta dłonią, by choć w ten sposób obronić się przed trującą chmurą, unoszącą się w powietrzu. Przypomniał sobie, że na końcu korytarza jest alarm przeciwpożarowy. Jeśli uda mu się do niego dotrzeć, może zdoła ocalić kilka istnień.

Przywarł plecami do ściany i zaczął powoli zmierzać w stronę włącznika alarmu.

Po drodze słyszał krzyki uwięzionych ludzi, którym ogień odciął drogę ucieczki z pokojów.

Dym stawał się coraz gęstszy. Zeke opadł na kolana i zaczął pełznąć. Drewniana podłoga nagrzała się niemiłosiernie, parząc go dotkliwie w ręce i nogi, ale nie poddawał się. Musiał być już bardzo blisko.

Spojrzał w górę osmalonymi i załzawionymi oczami, starając się dostrzec na ścianie włącznik alarmu - i wtedy ich zobaczył. Było ich dwóch. Powoli przedzierali się przez dym i płomienie.

Próbował krzyczeć, ale jedynym dźwiękiem, jaki zdołał z siebie wydobyć, był rozrywający płuca kaszel.

Dym jakby trochę się rozrzedził i obydwie postacie stanęły nad nim. W rękach ściskali ogniste miecze, rozniecając coraz większe płomienie jednostajnym ruchem skrzydeł.

- Witaj, Grigori - odezwał się pierwszy z aniołów, w którym Ezekiel - ku swojemu przerażeniu - rozpoznał jednego z tych, którzy dawno temu pozbawili go skrzydeł.

- Przyszliśmy tu trochę posprzątać i zadbać o porządek - dodał drugi.

Obaj uśmiechnęli się drapieźnie.

Zeke zdał sobie sprawę, że buchające płomienie są w tej chwili najmniejszym jego zmartwieniem.

*

Kilka minut po dziewiątej Aaron zaparkował samochód na podjeździe swojego domu przy Baker Street. Wyłączył silnik i zastanawiał się, czy znajdzie w sobie jeszcze tyle siły, żeby wysiąść z auta i dowiec się do domu.

Powiedzieć, że był wyczerpany, to mało. Pracował w klinice po raz pierwszy od dnia, w którym - jak to ujął Zeke - rozkwitły jego zdolności lingwistyczne.

Od momentu, w którym przekroczył próg kliniki, czuł, że to będzie ciężki wieczór. Lekarze biegali jak w transie, a w poczekalni roило się od wszelkiej maści psów i kotów, z których każdy miał jakiś inny problem. Nie zabrakło nawet papugi ze złamanym skrzydłem i żółwia z grzybicą skorupy.

Aaron niezwłocznie zabrał się do pracy. Upewniał się czy każdy opiekun wypełnił stosowne dokumenty, przepraszał ich za opóźnienia.

Miał wrażenie, że wszystkie pupile przejrzały go i wiedziały, że potrafi się z nimi komunikować. Kiedy rozmawiał z ich opiekunami, zwierzęta robiły wszystko, żeby tylko zwrócić na siebie jego uwagę. Szczeniak rasy beagle imieniem Lily rozwodził się nad swoją ulubioną piłką. Mieszaniec labradora z psem pasterskim skarżył się, że nie potrafi już szybko biegać, bo bołą go biodra. Biała angora, którą ktoś nazwał pieszczotliwie Księżną, miauczała żałośnie z głębi swojej klatki, twierdząc że nic jej nie dolega i nie musi odwiedzać lekarza. Było to całkiem możliwie i Aaron gotów był założyć się, że podobnie uważa większość zwierząt.

Ale było coś jeszcze. Przez cały czas, od chwili, w której chłopak znalazł się w klinice, miał wrażenie, że ktoś lub coś obgadywało go. Nie był pewien, czy jest to możliwe z naukowego punktu widzenia, ale spodziewał się, że lada moment jego głowa eksploduje. Czuł się tak, jakby jego czaszka była wielkim balonem wypełnionym zbyt dużą ilością powietrza. Bum! I nie ma balonu.

Aaron, stękając z wysiłku, zmusił się jakoś, żeby wysiąść. Najchętniej spędziłby resztę wieczoru w samochodzie, ale doskwierał mu głód. Wyjął więc plecak z bagażnika i rozpoczął mozolną wędrówkę do domu.

Na samą myśl o tym, jak udało mu się zapobiec detonacji wewnątrz czaszki, Aaron uśmiechnął się. Zwierzęta cały czas nie dawały mu spokoju, Michelle ganiała go tam i z powrotem, od jednej

klatki do drugiej, a lekarze niecierpliwili się, że gabinety i sale zabiegowe nie są jeszcze czyste, w związku z czym kolejka pacjentów czekających na wizytę wydłużała się. Wtedy, będąc na skraju wytrzymałości, Aaron pomyślał o niej. Pomyślał o Vilmie, a jego ciało ogarnął natychmiast błogi spokój. Pogaduszki między pacjentami stały się z powrotem niezrozumiałym szumem w tle, dzięki czemu Aaron mógł dokończyć zmianę w miarę spokojnie i bez większych napięć. Gdy tylko przypomniał sobie uśmiech Vilmy i to, co powiedziała w samochodzie - natychmiast się uspokajał i zrzucał z siebie całe towarzyszące mu napięcie.

Może wyślę jej maila, kiedy coś zjem - pomyślał i uśmiechnął się.

Nad jego głową przetoczył się głuchy pomruk. Aaron spojrział w górę. Na nocnym niebie powoli zbierały się ciężkie, stalowe chmury, przypominające ciekły metal. Lada chwila nie będzie już widać ani księżycy ani gwiazd. *Chyba zanosi się na niezłą burzę* - pomyślał Aaron, szukając w kieszeniach klucza do tylnych drzwi.

Wtem z domu dobiegł przeraźliwy krzyk, który zmroził mu krew w żyłach.

Aaron pospiesznie otworzył drzwi i wpadł do środka. - Mamo? - zawołał, upuszczając plecak z książkami na podłogę.

Odpowiedział mu kolejny krzyk, tym razem dużo wyższy i pełen przerażenia. To był bez wątpienia głos Stewiego. Jak burza wybiegł z przedpokoju w poszukiwaniu młodszego brata i rodziców.

- Mamo! - krzyknął, przebiegając przez kuchnię - Tato!

Krzyki nie milkły. Wręcz przeciwnie, stawały się coraz głośniejsze.

Znalazł rodzinę na podłodze w salonie, przed telewizorem, który jak zwykle emitował już tylko sygnał kontrolny. Lori trzymała rzucającego się Stewiego w mocnym uścisku, kołysząc go w przód i w tył. Uspokajali dziecko, tłumacząc mu, że wszystko będzie dobrze. Gabriel biegał między nimi ze zjezoną sierścią i zeszywniałym ogonem.

- Co mu się stało? - spytał zaniepokojony Aaron Nigdy wcześniej nie widział brata tak pobudzonego.

- Idą tu! - wrzeszczał bez przerwy Stevie. - Idą tu! Idą tu! Idą tu!

Oczy miał wywrócone do tyłu, a w kącikach ust pieniała mu się gęsta ślina.

- Pół godziny temu wpadł w jakiś szal - wyjaśnił z paniką w głosie Tom. Delikatnie głaskał syna po mokrych od potu włosach. - Nie mamy pojęcia, o co mu chodzi!

- Idą tu! Idą tu! Idą tu! - Steven ryczał jak opętany, próbując za wszelką cenę uwolnić się z objęć matki.

- Chyba... myślę, że powinniśmy zadzwonić na pogotowie - wykrztusiła Lori. Oczami pełnymi łez spoglądała to na Aarona, to na męża w poszukiwaniu wsparcia.

Tom przetarł twarz roztrzęsioną dłonią.

- Nie wiem... naprawdę nie wiem. Może jeszcze trochę poczekajmy...

Aaron odwrócił na chwilę wzrok i zorientował się, że Gabriel już nie biega, tylko stoi wyprężony jak struna. Pies patrzył na sufit i wdychał powietrze. Po chwili zaczął warczeć.

- Gabriel! Co się dzieje, piesku? Co tam poczułeś? Przez dom przetoczył się grzmot tak potężny, że cały budynek zatrzęsł się w posadach, od dachu aż po fundamenty. Światła zamigotały na chwilę, po czym zgasły zupełnie, pograżając pokój w kompletnej ciemności.

- Idą tu! Idą tu! - dziecko zawodziło żałośnie, z trudem łapiąc oddech.

- *To coś złego* - odezwał się Gabriel i zaszczekał ostrzegawczo. - *To właśnie stara się wam powiedzieć Stevie. Nadchodzi coś bardzo złego.*

ROZDZIAŁ 10

Rozległ się kolejny grzmot i szyby w oknach z drżały złowrogo. Aaron poczuł, jak ogarnia go ta sama panika, której doświadczył, kiedy po raz pierwszy spotkał Kamaela w szkolnym sekretariacie.

- Musimy uciekać - powiedział, spoglądając na sufit. - Powinniśmy zawieźć Steviego do szpitala. W głowie odbijały mu się echem słowa Gabriela! *Nadchodzi coś bardzo złego.*

- Nie jestem pewna - odparła Lori. - Steven się uspokaja. - Spojrzała na dziecko z niepokojem. Steven rzeczywiście trochę się uspokoił. Zachrypl od krzyków, ale wciąż wydawał z siebie ostrzegawcze dźwięki. Tom nachylił się i pocałował chłopca w czoło.

- Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie - wyznał. - Może Aaron ma rację. Może faktycznie powinniśmy go zabrać do lekarza - tak na wszelki wypadek.

- Dobrze, pojedziemy moim samochodem - zgodził Aaron i razem z Gabrielem wyszedł do pograżonej w ciemności kuchni.

- Stevie nie ma nic na nogach - usłyszał za plecami głos matki. - Pójdę na górę i przyniosę mu tenisówki i skarpetki. Na wszelki wypadek wezmę też kurtkę...

- Nie mamy na to czasu, mamó - warknął Aaron. Czuł, jak ogarnia go coraz większa panika. - Musimy natychmiast stąd wyjść.

Każda komórka jego ciała krzyczała: „Uciekaj!”. Miał ochotę zostawić wszystko i wybiec w noc tak szybko, jak tylko potrafił. Resztkami woli powstrzymał się, żeby nie zostawić rodziców i młodszego brata. Nie było takiej siły, która by go do tego zmusiła, bez względu na to, co podpowiadały mu zmysły. Po tylu latach tułaczki od jednej rodziny zastępczej do drugiej, Stanleyowie okazali się jedynymi ludźmi - jedyną rodziną - którzy byli przy nim, okazali mu miłość, a co najważniejsze - akceptację...

- Spokojnie, nic mu nie będzie - uznał Tom. Nie ma powodów do paniki. Przyniosę te jego buty i zaraz potem jedziemy.

- Nie *mamy czasu* - odezwał się nagle Gabriel, który wbił wzrok w drzwi kuchenne, prowadzące na podwórko.

Klik!

Wszyscy podskoczyli na ten dźwięk, a zaraz potem zobaczyli, jak zapadka w drzwiach otwiera się niczym za dotknięciem jakiejś niewidzialnej różdżki.

- Co to, do cholery, jest? - sapnął Tom, starając się znaleźć jak najbliżej syna.

- Uciekajcie! - krzyknął Aaron. - Weź mamę i Stiegiego - uciekajcie frontowymi drzwiami!

Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypnięciem, które Tom bezskutecznie próbował wyeliminować, co i rusz oliwiąc zawiasy. Do środka, z potężnym podmuchem wiatru, wkroczyli trzej mężczyźni. Wszystkie zmysły Aarona eksplodowały, a on sam zwinął się z bólu, zaskoczony intensywnością doznań. Wiedział, kim są przybysze. Na pewno nie byli ludźmi.

Anioły.

Zafascynowany, patrzył, jak się poruszają. Nie tyle weszli, co raczej wpłynęli do domu - zupełnie jakby do stóp mieli przyczepione jakieś kółka albo gąsienice.

- Co to jest? - krzyknął Tom Stanley, odpychając Aarona na bok. - Wynoście się stąd albo...

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Ojciec rzucił się na intruzów z zaciśniętymi pięściami, gotów bronić swojej rodziny i domu. Wtedy z dłoni jednego z aniołów wystrzelił promień jasnego światła. Tom zatoczył się do tyłu i padł na podłogę, zasłaniając dłońmi oczy.

Aaron nie mógł uwierzyć w to, czego był świadkiem. Zupełnie jak w jego śnie. Trzech najeźdźców trzymało w dłoniach miecze. Ogniste miecze.

- Wezwij policję! - wrzasnął do niego ojciec, podnosząc się z ziemi.

Aaron podbiegł, żeby mu pomóc.

- Wstawaj! Musisz wyprowadzić stąd mamę i Steviego!

Jeden z aniołów zmierzał niespiesznie w ich stronę. Jego twarz promieniała w świetle płonącego miecza. W jego - w ich - wyglądzie było coś, co wytrącało Aarona z równowagi. Ich twarze powlekała śmiertelna bladość, zdawali się prawie przezroczyści, do tego symetryczne rysy sprawiały wrażenie zbyt idealnych. Aaronowi zdawało się, że patrzy na sklepowe manekiny, które budzą się do życia.

- Przeraziliśmy cię, małpo? - odezwał się jeden z aniołów, głosem przypominającym drapanie gwoździem o tablicę. - Czy nasza obecność wywołuje w tobie dreszcze?

- Uciekajcie! - wrzasnęła Lori stojąca w drzwiach do salonu.

Trzymała w ramionach bezwładnego, niemal katatonicznego Stevena, którego wielkie, szklane oczy przypominały spodki. Obok stał Gabriel, spięty i najeżony, nie wpuszczając swojej pani do kuchni.

Aaron pomógł ojcu wstać i wepchnął go do salonu. Tymczasem anioł uniósł miecz. Z pleców wyrosły mu cętkowane skrzydła. Aaron i jego ojciec zamarli przerażeni, oniemiałi widokiem, który do tej pory był dla nich czymś zupełnie fikcyjnym, czymś z pogranicza mitologii i religii.

Anioł szykował się do zadania ostatecznego ciosu.

-Jesteśmy członkami Straży Anielskiej - zwiastunami waszej zagłady. Przyjrzyjcie nam się uważnie! - zawył,

Płonące ostrze zaczęło opadać w dół i Aaron zasłonił ciałem ojca, by przyjąć na siebie cios. Nagle, kątem oka, dostrzegł jakiś ruch. Tuż obok niego przemknęła żółto-biała, futrzana strzała, zatrzymując się z gracją przed trzymającym miecz napastnikiem i warcząc wściekle.

Gabriel.

- Nie! - wrzasnął Aaron, patrząc, jak jego ukochany pies rzuca się na najeźdźcę.

Labrador z potwornym chrzęstem zacisnął szczęki na nadgarstku ręki z mieczem. Rozległ się odgłos przypominający miażdżenie zębami selera naciowego, który sprawił, że Aaron skrzywił się z bólu.

Anioł wypuścił z ręki miecz, który rozsypał się na tysiące iskier, zanim zdążył dotknąć podłogi i zniknął. A potem zaczął krzyczeć. Aaron nigdy wcześniej nie słyszał czegoś równie upiornego: ni to krakanie kruka, ni to głos wieloryba, ni to pisk hamulców.

- Co się dzieje? - krzyknęła Lori, przyciskając jeszcze mocniej do piersi zawodzące dziecko.

- Musimy się stąd wydostać! - ryknął Tom, podbiegając i obejmując ich ramionami.

Gabriel wisiał aniołowi u nadgarstka, warcząc i szarpiąc go zaciekle, jakby chciał mu oderwać całe ramię. Anioł zaś wydawał się kompletnie zaskoczony dzikim i gwałtownym atakiem zwierzęcia. Jego dwaj towarzysze, którzy do tej pory stali nieruchomo z tyłu, teraz ruszyli mu z odsieczą.

- Boli mnie, bracia! - zawył zaatakowany Strażnik, rozpaczliwie starając się strząsnąć z siebie Gabriela.

- Zwierzę nie jest takie, jakie być powinno - zmieniło się!

Anioł machnął gwałtownie ręką, zrzucając w końcu psa, który upadł na podłogę.

- Gabriel, do mnie! Natychmiast! - wrzasnął Aaron. Labrador przypadł do ziemi, obnażając kły i warczac na anioły. Gęsta, czarna krew z rozszarpanej ręki anioła kapłała na podłogę, tworząc błyszczącą kałużę na żółtym linoleum.

- Nie - powiedział Gabriel pomiędzy kolejnymi warknięciami. - *Zabierz stąd mamę, tatę i Steviego. Ja powstrzymam te bestie.*

Aaron był dezorientowany, nie miał pojęcia, co robić.

- Nie zostawię cię! - krzyknął.

Wiedział jednak, że liczy się każda sekunda. Rzucił się ku drzwiom, zgarniając po drodze całą rodzinę. Chciał ulokować ich w samochodzie i wrócić po przyjaciela.

Wybiegli z kuchni i stanęli jak wryci. Inny anioł, kucając, szukał czegoś w plecaku Aarona. W ciemności widać było wyraźnie jego świecące oczy.

- Nigdzie nie wyjdziecie, durne małpy! - syknął przez zęby.

Potężny podmuch wiatru zatrzęsł domem, który zaskrzypiał i zajęczał pod jego naporem. Aaron skamieniał, wyczuwając, że za chwilę stanie się coś naprawdę strasznego. W następnej chwili drzwi frontowe eksplodowały z hukiem, wylatując z zawiasów i wpadając do wnętrza domu. Kucający anioł został niemalże zmiądzony o ścianę, zaś Aaron i jego rodzina cofnęli się z powrotem do kuchni.

Aaron zasłonił oczy przed fruującymi w powietrzu śmieciami i drobinkami kurzu, a kiedy spojrział znowu, zobaczył jeszcze jedną postać stojącą w wejściu. Anioła z długimi, białymi włosami. Sposób, w jaki się prezentował, nie pozostawiał chłopakowi cienia wątpliwości, że ma do czynienia z przywódcą. Tym, którego Zeke nazwał Werchielem.

Nowo przybyły przekrzywił głowę pod dziwnym kątem i zlustrował uważnym wzrokiem sytuację. Za nim wpadli do domu pozostali - wszyscy tak samo trupio bladzi, każdy z nich identycznie ubrany.

Gdzieś musiała być chyba jakaś wyprzedaż - pomyślał z przekorą Aaron i niewiele brakowało, a parsknąłby śmiechem. Aniołowie nie odstępowali na krok przywódcy, który maszerował przez przedpokój, jakby był u siebie. Aaron wepchnął swoich bliskich do kuchni, jak najdalej od Werchiela i jego świty.

- Co tu się stało? - usłyszał niski, melodyjny, niemal ujmujący głos.

Ranny Strażnik pokazał okaleczoną dłoń, unikając przy tym wzroku swojego pana.

- To zwierzę zostało odmienione.

Werchiel zrobił krok w ich stronę, wbijając mroczny wzrok w Gabriela. Domownicy uciekli z powrotem do salonu.

- *Trzymaj się z dala od mojej rodziny* - pies zawarczał groźnie, obnażając zęby i stając pomiędzy Stanleyami a hersztem bandy.

- To nie pies, lecz on ci to zrobił. - Werchiel pokręcił głową z niedowierzaniem, przenosząc wzrok z Gabriela na Aarona. - Jest gorzej, niż myślałem - wyszeptał, - Nefilim obdarzył swoją mocą tę podrzędną istotę.

- *Wcale nie jestem podrzędny* - warknął znowu Gabriel, a potem rzucił się na Werchiela.

W tej samej chwili z pleców dowódcy Potęg wyrosły monstrualne skrzydła, którymi uderzył psa, odrzucając go niczym źdźbło trawy.

Gabriel zawył z bólu, kiedy uderzył o ścianę, jakimś cudem mijając o centymetry okno i upadł na podłogę.

- Widzisz, do czego doprowadziłeś, potworze? To są właśnie nasze metody - warknął Werchiel, powoli wachlując się skrzydłami jak kot machający leniwie ogonem na chwilę przed atakiem. - Dlatego wszyscy nieczysci muszą zostać usunięci z mojego świata... - Anioł zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad swoimi słowami, po czym kontynuował: - ...bo jeśli pozwoli się im przeżyć, konsekwencje mogą być niewyobrażalne.

Aaron zostawił na chwilę rodzinę i ukląkł przy Gabrielu.

- Wszystko w porządku, piesku?

Gabriel z trudem podniósł się z podłogi i pokiwał głową, zapominając o bólu i urazie, którego przed chwilą doznał.

- *Nic mi nie jest, Aaronie* - zapewnił, skupiając wzrok na Werchielu. - *I nie pozwolę mu was skrzywdzić.*

Aaron wstał i poklepał psa po głowie.

- Już dobrze. Już po wszystkim.

Zdumiony Gabriel spojrzał pytająco na swojego pana. Aaron zwrócił się do Werchiela.

- Bez względu na to, co sobie myślisz... Nie stanowią zagrożenia dla ciebie ani dla twojej misji.

Werchiel przekrzywił głowę, słuchając go uważnie.

Kątem oka Aaron dostrzegł, że pozostali aniołowie weszli do pokoju i okrążyli ich ciasnym pierścieniem. Nie zareagował. Nie chciał dać im pretekstu, dość już agresji.

- Wszystko to, co słyszałeś - albo czułeś - na mój temat, to kłamstwo. Nie chcę mieć nic wspólnego z Nefilimami ani z tą idiotyczną przepowiednią, która się z nimi wiąże. Powiedziałem to już Kamaelowi, ale specjalnie dla ciebie powtórzę raz jeszcze. Cokolwiek to jest, nie pozwolę, by stało się częścią mojego życia.

Werchiel uśmiechnął się i Aaron zdał sobie sprawę, że stoi i rozmawia z istotą, która za nic ma sobie człowieczeństwo.

- Kamael uważa cię za Wybrańca. - Werchiel powiedział to z wyraźnym rozbawieniem, kręcąc głową.

- Myli się - Aaron odparł stanowczo. - Zależy mi tylko na tym, żeby wieść normalne, spokojne życie.

- Kamael twierdzi coś innego. Jego zdaniem, jesteś tym, który ma wypełnić słowa przepowiedni i na nowo zjednoczyć upadłe anioły z Bogiem.

Aaron potrząsnął energicznie głową, przypominając sobie na wpół ślepego starca ze snu.

- Nic mi o tym nie wiadomo i mało mnie to obchodzi.

- Przestępcy - prychnął Werchiel. - Ci, którzy walczyli u boku Porannej Gwiazdy przeciwko swojemu Ojcu w czasie Wielkiej Wojny, a potem uciekli do tej żałosnej krainy błota; ci, którzy sprzeciwili się Jego świętym nakazom - to o nich mówią słowa wyryte na starożytnych tabliczkach. Jeśli ta przepowiednia miałaby się spełnić, wszystkie występki zostałyby im wybaczone.

Aaron milczał. Spojrzał na swoich rodziców, którzy stali, zbici w gromadkę razem ze Steviem. Otaczali ich gwardziści Werchiela z płonącymi mieczami w dłoniach, Stanleyowie byli w ciężkim szoku. Aaron chciał im powiedzieć, jak bardzo jest mu przykro, że muszą przez to przechodzić. Miał nadzieję, że na przeprosiny przyjdzie jeszcze czas później.

Werchiel pokręcił głową.

- Wyobraź sobie, że Wszechmogący okazuje łaskę produktowi ubocznemu związku aniołów i zwierząt, przecież to obraza dla Jego chwały!

- Przysięgam, że nie musisz się mnie obawiać - zaklinał się Aaron. - Proszę, zostaw nas w spokoju.

Werchiel roześmiał się, a przynajmniej tak się wydawało Aaronowi. Dźwięk, jaki wydał, brzmiał niczym krakanie prehistorycznego, drapieżnego ptaka.

- Obawiać się ciebie, Nefilimie? - Musiało go to rozbawić. - Nie musimy się obawiać czegoś takiego jak ty. - Dłoń anioła rozbliły pomarańczowym ogniem, który z każdą chwilą stawał się coraz większy. - Naszą misją jest zniszczyć i wyeliminować wszystko, co mogłoby rozdrażnić naszego Pana. Taki cel przyświecał nam od momentu stworzenia świata i dobrze wywiązywaliśmy się z powierzonego nam zadania.

I W dłoni Werchiela wyrósł olbrzymi gorejący miecz. Aaron usłyszał stłumione słowa Lori:

- To jakiś koszmar! - powiedziała aksamitnym głosem. - To nie dzieje się naprawdę.

Gdyby tylko to była prawda - pomyślał ze smutkiem.

Werchiel popatrzył na płonące ostrze, które odbijało się w jego błyszczących oczach złowieszczym blaskiem.

- Kiedy nasza misja zakończy się sukcesem, On odda nam we władanie cały świat - a wszyscy, którzy na NIM żyją, będą wiedzieli, że to ja siedzę po Jego prawicy i moje słowo stanowi prawo, którego wszyscy powinni przestrzegać. - Dowódca Straży Anielskiej nadal podziwiał swoją broń. Ale pozostało jeszcze wiele do zrobienia.

Werchiel skierował ostrze w stronę Aarona.

- Musisz umrzeć, a wraz z tobą wszyscy, którzy zostali naznaczeni twoim dotykiem. - To mówiąc, kiwnął głową w kierunku Gabriela oraz rodziców Aarona i Steviena, którzy stali pod przeciwległą ścianą.

- Posłuchaj wreszcie, co do ciebie mówię - odezwał się Aaron i postąpił krok naprzód. Dwóch żołnierzy Werchiela złapało go jednak za frak i rzuciło na kolana, - Proszę - błagał Aaron, próbując wyrwać się z ich żelaznego uścisku.

Werchiel nadal wskazywał mieczem Toma, Lori i Stewiego, który rzucał się na rękach matki, jęczał i płakał, przerażony obecnością aniołów.

- Możesz błagać do woli, Nefilimie. Nic ci to nie pomoże. Zostaniecie zniszczeni. - W tym miejscu Werchiel przerwał na chwilę, zainteresowany krzykami dziecka,

- Wszyscy z wyjątkiem jego - dodał w zamyśleniu. - Chyba go sobie zatrzymam.

*

Werchiel czerpał widoczną, perwersyjną satysfakcję, widząc, jak Nefilim płaszczy się przed nim, błagając o litość. I to ma być wybawca? Ten, który miał doprowadzić do pokoju między Niebem a Ziemią - pokoju, którego obydwie strony nie zakosztowały od czasu stworzenia? Wydawało mu się to śmieszne - a jednak w tym nędznym robaku dostrzegł coś wyjątkowego.

- Przyprowadźcie mi dziecko - nakazał swoim aniołom skinieniem ręki.

Jeżeli kiedykolwiek ma nastać pokój, to tylko wtedy, gdy wszyscy wrogowie jedyne prawdziwego Boga zostaną starci na proch unoszący się w powietrzu. To przekonanie, które sam stworzył na własne potrzeby, było jedynym, w które potrafił uwierzyć.

- Zostaw go w spokoju! - krzyknął ten, którego nazywali Aaronem, szamocząc się w uścisku jego gwardzistów.

Przeklęty pies ruszył wyzywająco w ich stronę, jeżąc sierść na karku i obnażając kły, na których wciąż widać było ślady krwi zranionego anioła.

- Chcesz się przekonać, który z nas kąsa bardziej? - Werchiel spytał psa, kierując w jego stronę swój miecz.

- Nie! - krzyknął Nefilim. - Chodź, Gabe. Proszę, chodź do mnie.

Pies z wahaniem wrócił do swojego pana, warczał jeżąc się na widok aniołów, którzy go trzymali.

- Dobry piesek. - Werchiel usłyszał, jak Aaron uspokaja bestię. - Już dobrze, wszystko w porządku.

Stwierdził, że nie ma już czasu udowadniać chłopcu, jak bardzo się myli. Przywołał do siebie Uriela, który wciąż próbował zatamować krew płynącą z rozszarpanej przez psa dłoni.

- Dziecko - rozkazał - przynieś mi je.

Anioł wyrwał wrzeszczącego chłopca z objęć matki podczas gdy Samael i Tufiel przytrzymali jego rodziców. Kakofonia krzyków i wycia doprowadzała Werchiela na skraj wytrzymałości nerwowej, ale zdołał się powstrzymać. W końcu to tylko zwierzęta.

Uriel przyprowadził szarpiące się dziecko przed oblicze Werchiela, przytrzymując je za włosy, by można mu się było lepiej przyjrzeć.

- Ma w sobie sporo energii - rzekł ranny anioł. *To prawda* - pomyślał Werchiel, przyglądając się chłopcu, który wbił w niego swój nieprzytomny wzrok. *Będzie nam dobrze służył* - podniósł płonące ostrze i przesunął nim tam i z powrotem przed oczami Stewiego, który z uwaga podążył wzrokiem za mieczem.

- Nadajesz się na psa gończego - powiedział na głos. Masz wzrok tropiciela.

Wtedy błagalnym głosem odezwał się znowu Nefilim. Uriel cofnął się o krok, nie wypuszczając dziecka z objęć.

- Uspokój się, Nefilimie - Werchiel zdobył się na dobrotliwy ton. - Powiedziałem ci już, że nie zamierzam robić mu krzywdy. *Jednak drzemie w nim potężna moc* - pomyślał, przyglądając się Nefilimowi. Czuł, jak promieniuje z ciała tego młodego człowieka. - Czego, niestety, nie mogę powiedzieć o waszych rodzicach - wycedził wolno, wskazując czubkiem miecza Toma i Lori.

- Nie mam z nich żadnego pożytku. A ponieważ zostali skażeni twoim dotykiem...

Samael i Tufiel zdążyli odskoczyć w ostatniej chwili, nim płomień z miecza Werchiela pożarł łąpczywie przerażonych rodziców Aarona, ogarniając ich nienasyconym ogniem.

*

Tom i Lori krzyczeli tylko przez kilka chwil, chociaż Aaronowi wydawało się, że trwa to całą wieczność. Ich poczerwiałe szkielety, odarte z włosów, skóry i mięśni zwały się na ziemię w śmiertelnym uścisku.

Werchiel spojrzał na Aarona, napawając się przerażeniem malującym się na jego twarzy.

- A teraz - powiedział, a w kącikach jego bladych ust pojawił się uśmiezek - jeśli pozwolisz, chciałbym kontynuować.

Gabriel odrzucił łeb do tyłu i zaczął przeraźliwie wyc. Aaron był pewien, że nigdy nie słyszał równie rozpaczliwego tonu w jego głosie.

Jego rodzice nie żyli - zostali spaleni żywcem na jego oczach. Przypomniawszy sobie dzień swoich ostatnich urodzin, kiedy w tym samym pokoju stał i patrzył na matkę. Przez głowę przeleciała mu wtedy myśl, że kiedyś może jej zabraknąć. Serce biło mu jak szalone i z trudnością łapał oddech.

W powietrzu unosił się gryzący zapach palonego ciała i Aaron resztkami sił zmusił się, żeby nie zwymiotować.

Werchiel coś do niego mówił, ale Aaron nie słuchał. Na suficie nad nimi migiała lampka alarmu przeciwpożarowego, ale i na to nie zwracał uwagi. Przed oczami cały czas miał obraz dwójki ludzi, których kochał najbardziej na świecie, trawionych płomieniami. Ich szkielety nadal tliły się u jego stóp.

Niespodziewanie Aarona naszła wątpliwość, czy ogień, którym posługują się zabójczy aniołowie to ten sam ogień, na którym ludzie gotują i który płonie w zapalniczce. Może to jakiś specjalny rodzaj ognia, przydzielany na podstawie specjalnych identyfikatorów przez najwyższych rangą Urzędników w niebie. Aaron uśmiechnął się, choć był to raczej grymas ostrego i nagłego bólu. *Jeśli jestem taki niezwykły, może też potrafię się nim posługiwać* - zastanowił się.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i odwrócił wzrok od dogasających resztek Toma i Lori.

Stevie został porwany. Anioł o imieniu Uriel wyniósł go na rękach przez wyrwane z zawiasów drzwi frontowe. Ale dokąd? Nie miał na nogach butów ani skarpetek. W pierwszej chwili Aaron chciał pójść za nim, ale powstrzymał go kolejny koszmar, rozgrywający się na jego oczach w tym samym pokoju. Aniołowie złapali Gabriela.

Czterech gwardzistów przygwoździło psa do podłogi. Nad nimi stał Werchiel z obnażonym mieczem - tym samym, którym pozbawił życia rodziców Aarona, zamieniając ich w kupkę zwęglonych popiołów.

Gabriel walczył, tocząc pianę z pyska i kłapał szczękami, próbując ugryźć któregoś ze swoich wrogów. Aaron chciał mu jakoś pomóc, zagrzać do walki, ale nie miał w sobie tyle sił.

Spojrzał z powrotem na dogasające ciała rodziców. Teraz nie było już widać nawet kości i Aaron zastanawiał się, czy on spłonie równie szybko. Coś go wzywało. Słyszał to echo gdzieś w oddali, ale z początku nie zwracał na nie uwagi. Był zajęty obserwowaniem, jak ogień wieńczy swoje makabryczne dzieło.

Po raz kolejny usłyszał swoje imię, tym razem dużo wyraźniej i zdał sobie sprawę, że dźwięk nie dochodzi z domu, ale gdzieś z wnętrza jego głowy. Obrócił się i zobaczył w zwolnionym tempie, że Werchiel wznosi swój miecz nad Gabrielem.

Dlaczego wszystkie najstraszniejsze rzeczy rozgrywają się w zwolnionym tempie? - pomyślał z rosnącym przerażeniem.

Coś znów wymówiło jego imię, jeszcze dobitniej. Ten głos wyrwał go na chwilę z letargu i Aaron poczuł narastającą wściekłość. Narastała aż do furii. Oni zamordowali mu rodziców i porwali jego młodszego brata. Nie mógł pozwolić, żeby zabili też Gabriela.

Nadal trzymany przez dwóch aniołów, klęczał, z rękami wykręconymi do tyłu. Czuł, jak przytrzymują go także za głowę. Chcieli, żeby patrzył, jak ostrze Werchiela pozbawia życia jego najlepszego przyjaciela.

Głos w jego głowie nie milknął. Nakłaniał go, żeby coś zrobił - jednak nie za pomocą słów, lecz emocji w jak najczystszej postaci. Aaron wiedział, do kogo należy ten głos. Gdy miał z nim do czynienia po raz ostatni, był to najdziwniejszy z węży, którego zaakceptował i przed którym otworzył cały swój umysł.

Teraz głos był starszy, bardziej dojrzały i mocniejszy.

I choć bronił się przed tym, stanowił jego część.

Aaron poczuł nagły przyływ siły. Wstał z kolana, z łatwością zrzucając z siebie trzymających go aniołów.

Werchiel zatrzymał się, nie opuszczając miecza, i popatrzył na niego piorunującym wzrokiem.

- Tylko opóźniasz to, co nieuniknione - powiedział, przesuwając się w stronę Aarona. - Ale jeśli tak ci na tym zależy, możesz umrzeć jako pierwszy.

Aniołowie też podeszli bliżej, każdy z obnażoną bronią. Aaron przygotował się na ich atak. Jeśli ma zginąć, na pewno nie bez walki.

W tym momencie wszystkie okna w salonie eksplodowały z hukiem, zasypując pokój odłamkami tłuczonego szkła. Do pokoju weszły jeszcze dwie postacie.

Strażnicy wydawali się być równie zaskoczeni jak Aaron. Gabriel skorzystał z okazji i wymknął się swoim oprawcom, przypadając nerwowo do nogi pana. Anioł o imieniu Kamael wyprostował się i otrząpął z odłamków szkła. W ręce ścisnął ognisty miecz. Obok niego stał Grigori Ezekiel, uzbrojony w kij bejsbolowy nabijany długimi gwoździami, który przypominał prymitywną maczugę. Jego ciało nosiło ślady ognia.

- Kamael opowiedział mi o tobie wiele ciekawych rzeczy, Aaronie. - Zeke przerwał ciszę, puszczając do niego oko. A potem podniósł kij, jak gdyby szykował się do odbicia decydującej piłki w meczu. - Mówiłem, że jesteś wyjątkowy.

ROZDZIAŁ 11

Powietrze przeszył dźwięk tysiąca paznokci drapiących szkolną tablicę - tylko zdecydowanie głośniejszy, wręcz rozsadzający uszy. Strażnicy wydali z siebie przeraźliwy okrzyk bojowy i ruszyli z płonącymi mieczami na nieoczekiwanych wybawców Aarona. Na chwilę zapomnieli o chłopaku. Aaron podpełzł na czworakach do szczątków swoich rodziców. Gabriel bezszelestnie podążył za nim. Czaszki Lori i Toma wciąż się tliły, patrząc oskarżycielsko wypalonymi czodołami.

- Tak mi przykro - wyszeptał Aaron. Wyciągnął drzącą dłoń w stronę kupki popiołu i kości, ale natychmiast cofnął ją, oparzony bijącym od niej gorącem.

- *To nie twoja wina* - powiedział pocieszająco Gabriel liżąc swojego pana po ręce, jakby miało mu to przynieść ulgę.

Uwagę Aarona odwróciły przeraźliwe krzyki. Odwrócił wzrok i jego oczom ukazał się obraz zaciętej bitwy, która toczyła się w salonie.

Zeke zdzielił nabijanym gwoździami kijem jednego z atakujących go aniołów, który upadł na ziemię, zwijając się z bólu. Zeke wyrwał kij z tryskającej krwią rany i uderzył ponownie, zanim anioł zdążył zareagować. A potem, wyraźnie usatysfakcjonowany, zwrócił się w kierunku kolejnego wroga.

Kamael poruszał się z hipnotyzującą szybkością. Rąbał i ciął, ostrze jego ognistego miecza z łatwością przeszywało ich ciała. Z pewnego dystansu jego ruchy przypominały jakiś skomplikowany taniec. Piękny i śmiertelnie niebezpieczny. Aaron zauważył, że Kamael toruje sobie mieczem drogę do Werchiela, który stał z bronią w ręce i czekał na niego cierpliwie, podczas gdy jego żołnierze walczyli i ginęli jeden po drugim.

Ta makabryczna scena, pełna przemocy, rozbudziła istotę wewnątrz Aarona. Czuł, jak rusza się w nim, dużo dziwniej niż wcześniej, jakby miał w brzuchu ławicę węgorzy. To coś wyraźnie podniecała tocząca się walka - obrazy, dźwięki i zapachy.

I wtedy zobaczył - nie, poczuł, jak Werchiel gapi się na niego z drugiej strony pokoju. Nozdrza anioła rozszerzały się, jakby wyczuwał coś w powietrzu. A potem warknął i ruszył w kierunku Aarona.

- *To chce się wydostać, Aaronie* - powiedział Gabriel, warując wciąż przy jego nodze, a potem obwąchał go od dołu do góry: - *To jest w tobie i chce się wydostać.*

Aaron nie mógł oderwać oczu od anioła, który sztywnym krokiem, nie zatrzymując się, szedł przez salon wprost na niego.

Gabriel nerwowo obliznął pysk. Aaron, zaskoczony, spojrzął na niego.

- *To, co jest w tobie, jest też we mnie* - wyjaśnił Gabriel. - *Wyczuwam walkę, którą w sobie toczysz, ale nie możesz trzymać tego w zamknięciu.*

Werchiel był już prawie przy nich.

Aaron powoli wstał, nie spuszczać wzroku ze złowieszczej, nieziemskiej postaci, która zbliżała się nieubłaganie.

Może powinienem pozwolić mu mnie wykończyć - pomyślał. Powinien był rozważyć tę możliwość, zanim jego rodzice zostali zamienieni w kupkę popiołu. Może gdyby oddał swoje życie, poświęcił się, przywódca Strażników oszczędziłby ich.

- *Musisz to wypuścić, zanim będzie za późno* - usłyszał tuż obok pełen strachu głos Gabriela.

Werchiel zatrzymał się przed Aaronem.

- *To wszystko się skończy, kiedy zginiesz* - wydal z siebie groźny pomruk. Kiedy wznosił miecz, Aaron spojrzął w jego martwe, czarne oczy i zdał sobie sprawę, że nawet gdyby poświęcił swoje życie, jego rodzina nie uniknęłaby tragicznego losu.

Poczuł gorąco bijące z opadającego mu na głowę ostrza Werchiela. Nagle cios został zablokowany przez znajomy kij bejsbolowy. Ogniste ostrze błysnęło, przecinając drewnianą pałkę i oślepiając przy tym Aarona.

- *Wynoś się stąd, dzieciaku* - wrzasnął Zeke, podnosząc dymiący jeszcze kawałek kija i uderzając nim z całych sił w wykrzywioną twarz Werchiela.

Werchiel dał się zaskoczyć upadłemu aniołowi, ale tylko na krótką chwilę. Strużka błyszczącej, czarnej krwi popłynęła mu z nosa, plamiąc usta i idealnie białe zęby.

Aaron i Gabriel rzucili się na Werchiela, łudząc się, że dzięki sile drzemiącej w ich gniewie zdołają pomóc przyjacielowi. Ale Werchiel machnął skrzydłami, odrzucając ich do tyłu na podłogę.

Następnie złapał Ezekiela za wychudzony kark i z nieludzką siłą podniósł go z ziemi.

- Nie wystarczyło, że zabrałem ci skrzydła i zabiłem twoje nieczyste dzieci? Teraz chcesz, bym i ciebie pozbawił życia?

- Nie! - krzyknął Aaron.

Zeke wił się w uścisku. Resztki złamanego kija wysunęły mu się z dłoni.

- Musisz przeżyć, Aaronie - wychrypiał zbolalym głosem.

- A więc niech tak będzie - warknął Werchiel i wbił Ezekielowi w pierś ogniste ostrze, które wyszło z pleców ofiary w eksplozji gotującej się krwi i pary.

Zeke wrzasnął, po czym odrzucił głowę do tyłu w jęku agonii i smutku.

Aaron rzucił się na Werchiela i złapał go za ramię w potężnym uścisku.

- Ty draniu! - krzyknął. - Zabiłeś go! Tak jak moich rodziców, ty bestialski sukin...

- Puszczaj, marny śmieciu! - syknął Werchiel, uderzając Aarona z taką siłą, że ten przeleciał przez cały salon i wylądował na oparciu fotela stojącego w rogu pokoju, przewracając go i zwalając się razem z nim na podłogę. Za wszelką cenę starał się nie stracić przytomności.

Mokrymi od łez oczami zobaczył, jak drgające ciało Ezekiela ześlizguje się z ostrza miecza i upada na kolana. W powietrzu rozległ się świdrujący wrzask, przypominający krzyk stada atakujących orłów. Kamael rzucił się z drugiego końca pomieszczenia, wściekle torując sobie drogę mieczem w kierunku znienawidzonego wroga. Jego twarz wyrażała nieokielznaną dzikość.

Gabriel w jednej chwili znalazł się z powrotem u boku swojego pana, ciągnąc go za ubranie.

- *Wstawaj - stęknął. - Musisz to w sobie wyzwolić, jeśli tego nie zrobisz, zginiesz! Wszyscy zginemy!*

Aaron podniósł się i zatoczył w kierunku leżącego nieco dalej Ezekiela, podczas gdy Werchiel i Kamael starli się gwałtownie w śmiertelnym boju. Rozgrzane do białości ostrza ich mieczy lśniły teraz jeszcze bardziej oślepiającym blaskiem. Aaron ukląkł przy starym Grigori i chwycił go za dłoń.

- Wyjdiesz z tego - zapewnił go, zerkając na tłą cą się czarną dziurę w samym środku klatki piersiowej upadłego anioła. - Ja... ja ci pomogę. Trzymaj się i...

Zeke ścisnął go za rękę i Aaron odwrócił oczy od okropnej rany, skupiając wzrok na jego starych oczach.

- Nie martw się o mnie, chłopcze - wyszeptał Zeke. - Nie możesz już nic zrobić, z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem czego? - Aaron zbliżył ucho do ust anioła. - Co mogę zrobić? Powiedz mi.

Nad ich głowami nastąpiła kolejna eksplozja i Aaron instynktownie nakrył sobą ciało Ezekieła, by go chronić. Kiedy spojrzął w górę, w chmurze pyłu i odłamków ujrzał Kamaela i Werchiela, którzy przebili dach - i teraz walczyli na zewnątrz. Słyszał ich bitewne okrzyki, odbijające się echem w zwiastującym burzę, nocnym powietrzu.

- Musisz sprawić, by to stało się prawdą. - Zeke odwrócił jego uwagę od dziury ziejącej w dachu.

- Przez wzgląd na tych wszystkich, którzy upadli...

Uścisk anioła był bardzo silny, ale Aarona ogarnął przejmujący smutek. Czuł w sobie tę moc, wyrrywającą się na wolność z samego środka jego jestestwa. Ale on wcale nie miał ochoty jej wypuszczać, bo wiedział dobrze, że będzie to oznaczać, iż wszystko, czym był do tej pory i o czym marzył, będzie musiało odejść w zapomnienie i nigdy się nie ziścić.

- Musisz doprowadzić to do końca - poprosił umierający stary anioł.

Istota w duszy Aarona skręcała się i wirowała, starając się zerwać więzy, które jej narzucał. Aaron wreszcie zdał sobie sprawę, że bez względu, jak mocno będzie się bronił i próbował zaprzeczać, nie ucieknie przed swoim przeznaczeniem.

Powoli, stopniowo przestał stawiać opór i poczuł, jak istota w nim przyspieszyła gwałtownie, tak samo jak w dniu, w którym ocalił Gabriela. W jego żyłach krążyła nadprzyrodzona moc, która zdawała się ładować każdą komórkę jego ciała pulsującą energią.

Aaron otworzył oczy i spojrzął w dół na swojego przyjaciela. Upadły anioł uśmiechał się.

- To prawda - wyszeptał Grigori. - To wszystko najszczęśliwsza prawda.

Aaron czuł się, jakby i on płonął od wewnątrz. Moc emanowała z niego wszystkimi porami ciała i Aaron nie był pewien, czy jest w stanie fizycznie to znieść - z każdą chwilą było coraz gorzej. Miał wrażenie, że jego skóra lada moment zacznie się rozpląwać. Zerwał z siebie ubranie i obejrzał swoje nagie ciało, które bez cienia wątpliwości płonęło. W różnych miejscach na skórze pojawiły się ciemne wykwitki. Przyglądał się im z mieszaniną fascynacji i przerażenia. Wyglądały jak jakieś plemienne znamiona lub tatuaże noszone przez budzących grozę prymitywnych wojowników setki, a może nawet tysiące lat temu.

- Co... co się ze mną dzieje? - wykrztusił z siebie, półprzytomny ze strachu.

Gabriel ułożył się w pobliżu na podłodze i obserwował go z respektem.

- *Pozwól, by to się stało, Aaronie. Wszystko będzie dobrze* - pocieszył go.

Aaron poczuł ostry, przeszywający ból w górnej części pleców.

- O, Boże! - wyszeptał bez tchu, czując, że ból wzmacnia się jeszcze bardziej. Przed oczami zawirowały mu czerwone plamy i ostatkiem sił powstrzymał się, żeby nie stracić przytomności.

Sięgnął ręką do tyłu, drapiąc się wściekle po plecach. Wtedy jego palce napotkały parę czułych punktów nad łopatkami. Dwie duże narośle wielkości żarówki, które pulsowały z każdym uderzeniem rozpedzonego serca. Aaron czuł, że ciśnienie w naroślach rośnie z każdą sekundą. *Wypuść je!* Rozdrapał paznokciami mięsiste zgrubienia i nagle poczuł, jak skóra ustępuje pod jego dotykiem z dźwiękiem przypominającym rozrywaną tkaninę.

Aaron wydał z siebie przeciągły krzyk, będący mieszaniną bólu i ulgi, kiedy na jego plecach pojawiły się dwa upierzone skostnienia, z wolna rozwijając się i osiągając właściwą, zapierającą dech rozpiętość.

Zdyszany i przerażony, spojrzął do tyłu przez ramię i wtedy jego zdumionym oczom ukazał się niezwykle widok.

Skrzydła.

Skrzydła były czarne jak u kruka i emanowały wilgotnym, mrocznym blaskiem. Aaron napiął i rozluźnił mięśnie, z których obecności nigdy nie zdawał sobie sprawy i skrzydła zaczęły młócić powietrze. Spojrzął w dół na dziwne plamy pokrywające jego ciało i ogarnął go niesamowity spokój. Poczuł, że osiągnął w końcu stan umysłu, którego poszukiwał przez całe życie.

Pierwszy raz w życiu czuł się kompletny i spełniony.

Gabriel siedział cierpliwie - obserwował i czekał. Widać było jednak, że z trudem panuje nad sobą, bo z furią walił ogonem o podłogę.

- *Wszystko w porządku?* - spytał troskliwie.

- Nigdy nie czułem się lepiej - zapewnił go Aaron i spojrzął w górę, na dziurę w dachu. Widział Strażników, którzy krążyli jak nietoperze po nocnym niebie, ścierając się w powietrznym boju z Kamaelem.

Chęć rzucenia się w wir tej walki była dla Aarona nie do powstrzymania.

Wyciągnął rękę. Przez głowę przelatywały mu obrazy najróżniejszych rodzajów broni, aż w końcu znalazł ten, który najbardziej mu odpowiadał.

Aaron skoncentrował się wyłącznie na tym. Myślał o broni bardzo intensywnie, aż wreszcie poczuł iskry sypiące mu się z dłoni. Broń rosła, płomień przybierał formę potężnego miecza. Chłopak wznosił gorejące ostrze w powietrze, wyobrażając sobie, jakiego spustoszenia może dokonać w szeregach wrogów.

Po raz kolejny spojrzał w górę i naprężył swoje skrzydła.

- *Bądź ostrożny, Aaronie* - powiedział Gabriel, wstając podłogi. - *Ja zostanę z Zeke. Nie powinien być sam.*

- *Załatw ich, chłopcze* - dodał Zeke i uniósł w górę wyprostowany kciuk.

Aaron skoczył w powietrze, dziewicze skrzydła z łatwością uniosły go w górę.

Zupełnie jakby był do tego stworzony.

*

Wszelkie wątpliwości zniknęły, rozwiane przez tego, który sam upadł.

Nieważne, jak bardzo się starał, Kamael nie był w stanie wymazać z pamięci widoku twarzy Ezekiela. W samym środku bitwy, toczonej na niebie nad domem Aarona, gdzie miecze ścierały się ze sobą w ognistym pojedynku, na próżno próbował zapomnieć o tym, co spotkało jego towarzysza i skupić się na walce.

Wreszcie Kamael wydał z siebie bojowy okrzyk i z obnażonym ostrzem niebiańskiego oręża rzucił się na Werchiela. Ten jednak wykonał gwałtowny unik i zanurkował, pozwalając dwóm gwardzistom zająć jego miejsce. Wyglądało to tale, jakby dawny kapitan Kamaela nie chciał marnować swojego czasu i męstwa na walkę z nędznym zdrajcą.

Simitar anioła Sabriela ze świstem przeciął powietrze, rozcinając kurtkę Kamaela i miękkie ciało, które okrywała. Kamael skrzywił się z bólu, złożył skrzydła i przycisnął je mocno do ciała. A potem rzucił się w dół jak kamień spadający na dno studni, uciekając w ten sposób swoim prześladowcom. Lecąc, smagany prądem zimnego powietrza, po raz kolejny przypomniał sobie o śmiertelnie rannym Grigori.

Szukał tego Zeke, o którym opowiedział mu Aaron, bo miał nadzieję, że wspólnie uda im się jakoś przekonać chłopca, aby pogodził się ze swoim przeznaczeniem. Intensywny zapach Nefilima przywiódł go do płonącego, zniszczonego hotelu, gdzie w ostatniej chwili uratował starego Grigori przed śmiercią z rąk dwóch żołnierzy Werchiela.

Nie chcąc zbytnio oddalać się z pola bitwy, Kamael rozpostarł skrzydła, żeby wyhamować, po czym zakreślił w stronę nieba i trzema silnymi machnięciami wzbil się w powietrze. Noc wypełniły dzikie krzyki Potęg. Strażnicy czekali na swoją szansę, żeby dokonać krwawej zemsty na tym, który porzucił ich świętą misję i przystał do upadłych.

Pomógł Grigori w walce z zabójczymi Strażnikami i był pod wrażeniem, jak upadły anioł radzi sobie w boju. Nie przypominał sobie, żeby Grigori uczyli się wojennego rzemiosła, a jednak Ziemia była tak surowym, okrutnym i często brutalnym miejscem, że nawet istoty niebiańskie musiały przystosować się do życia w tych trudnych warunkach. Po ucieczce z płonącego hotelu Ezekiel chciał się dowiedzieć, dlaczego Aaron jest tak ważny i dlaczego Werchiel gotów był poświęcić tak wiele, żeby go zniszczyć.

Wtedy Kamael podzielił się z nim tym, co wiedział na temat przepowiedni, która wstrząsnęła Ezekielem i sprawiła, że zaczął inaczej patrzeć na świat.

Spojrzenie upadłego wypełniła nadzieja – nadzieja na przebaczenie, nadzieja na odkupienie, nadzieja dla nich wszystkich. I chociaż Kamael wiedział, iż Zeke jest już prawie martwy, nie mógł wyrzucić z pamięci wspomnienia tamtej chwili. Postanowił, że posłuży się wiarą upadłego anioła niczym sztandarem, który rozwieje wszystkie trapiące go w ostatnim czasie wątpliwości i pozwoli odnieść decydujące zwycięstwo nad wrogiem.

Uskrzydłony nadzieją Ezekiela, Kamael nieoczekiwanie obrócił się w powietrzu, zaskakując jednego z czterech aniołów, którzy siedzieli mu na ogonie. Ciął mieczem z całych sił, odrabując jednym potężnym ciosem głowę nieprzyjaciela. Patrzył, jak ten spada, wirując, w dół i rozbija się w drobny mak na idealnie przystrzyżonym podmiejskim trawniku.

Wyobraził sobie, jak ludzie błogo śpią w swoich domach, nieświadomi krwawej bitwy rozgrywającej się nad ich głowami. Moc, której Werchiel użył podczas ataku na dom Aarona, musiała być naprawdę potężna. Kamael zadumał się nad tym przez chwilę, po czym rzucił się z powrotem w wir walki.

Widząc, jaki los spotkał ich towarzysza, trzej pozostali aniołowie pierzchli w różnych kierunkach, dając Kamaelowi czas, by poszukał na niebie prawdziwego wroga - Werchiela. Jeżeli go pokona, jego podwładni zostaną pozbawieni dowódcy i prawdopodobnie zrezygnują, uciekając z pola bitwy - przynajmniej do czasu znalezienia nowego głównodowodzącego. A to da Aaronowi wystarczająco dużo czasu, żeby uciec i schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie będzie miał okazję pogodzić się z niespodziewanym zwrotem w swoim życiu.

Dwóch z trzech prześladowców Kamaela odzyskało odwagę i rzuciło się na niego zza chmur. Zdradziły ich jednak mrozące krew w żyłach okrzyki podniecenia. Kamael uprzedził atak, stawiając im opór z zaciekłością, jakiej nie pamiętał od czasu zakończenia Wielkiej Wojny. Aniołowie wyglądali na zaskoczonych, jakby byli przekonani, że tyle lat przebywania wśród ludzi osłabiło ich nieprzyjaciela.

Było jednak wręcz przeciwnie. Kamael wymachiwał mieczem, jakby był on przedłużeniem jego ręki. Zataczając ostrzem szerokie kręgi, odrąbał jednemu z nadlatujących aniołów skrzydła, drugiego zaś wypatroszył niczym gęś. Jakaś część jego natury gardziła taką przemocą. W końcu byli to jego dawni żołnierze, którzy poszliby za nim w najbardziej beznadziejny bój, gdyby tylko o to poprosił. Ale z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że wspólnie walczyli bardzo dawno temu. Nie był już tą samą istotą, która dowodziła kiedyś niebiańskimi oddziałami - a oni nie pozostawali już na jego rozkazach. W ich oczach płonęła nienawiść i okrucieństwo, które karmiło się bezsensownym odbieraniem życia. Gdyby nadal był ich dowódcą, w jego spojrzeniu odbijałoby się to samo zimne poczucie wyższości, które teraz widać było w oczach Werchiela.

Z zamyślenia wyrwał go jakiś dobiegający z dołu dźwięk. Kamael zawisł w powietrzu, korzystając ze sprzyjających powiewów wiatru i uważnie nasłuchiwał. Dźwięk dochodził z domu Aarona i Kamael pomyślał w pierwszej chwili, że Werchielowi udało się zmylić jego czujność i dopaść Nefilima.

Wtedy ponownie usłyszał ten dźwięk i rozpoznał go. To był krzyk - bitewny krzyk.

W otworze w dachu pojawiło się coś, co z nieprawdopodobną szybkością wlatywało do góry na czarnych jak noc skrzydłach. Istota ta ścisnęła w ręce ogromny płonący miecz, a dobrze znane Kamaelowi symbole, pokrywające jej ciało świadczyły, że miał do czynienia z jednym z największych niebiańskich wojowników.

Wtedy Kamael zorientował się, kogo ma przed sobą. To był powiernik nadziei, który miał dać początek nowym, lepszym czasom. Aaron Corbet zakończył proces transformacji. Kamael przyglądał mu się z podziwem, w miarę jak czarnoskrzydły anioł się zbliżał. Nigdy wcześniej nie widział kogoś tak potężnego i zachodził w głowę, który z mieszkańców Nieba mógł spłodzić tego wspaniałego wojownika.

Strażnicy natychmiast rzucili się na przybysza, niczym stado rekinów, które wyczuły krew w wodzie. Okrążyli go, oceniając możliwe słabe punkty nowego wroga, a potem zaatakowali. Kamael patrzył oniemiały, jak Aaron się broni.

Z przyjemnością oglądało się Nefilima w akcji - z szeroko rozpostartymi skrzydłami spadał z nieba na swoich wrogów, siejąc w ich szeregach śmierć i zniszczenie.

- I to, twoim zdaniem, ma nas wszystkich ocalić? - Kamael usłyszał głos za plecami.

Odwrócił się gwałtownie, z mieczem gotowym do ataku. Po raz drugi w ciągu jednego dnia dał się podejść Werchielowi. Teraz znalazł się naprawdę blisko. Zbyt blisko.

- Ja widzę tu tylko śmierć i pożogę - zawył dziko Werchiel i cisnął ognistym sztyletem. Było za późno na jakąkolwiek reakcję. Kamael mógł jedynie patrzeć, jak gorące ostrze przecina mu skórę i zatapia się w ciele, paląc wszystko na swojej drodze. Poczul nagły i otepiający ból. Nie zdążył nawet krzyknąć. Runął w dół, tracąc po drodze przytomność, zanim uderzył w ziemię.

Werchiel obserwował lot zdrajcy prosto w objęcia śmierci.

- To nie musiało się tak skończyć - powiedział z nieskrywanym żalem. - Ten świat mógł należeć do nas, gdybyś nie dał sobie zatruć umysłu urojeniami istot niższych od ciebie.

Jeden z jego żołnierzy wydał przeraźliwy okrzyk i Werchiel odwrócił wzrok, skupiając z powrotem swoją uwagę na rozgrywającej się tuż obok powietrznej bitwie.

- Przeklęty Nefilim! - wycedził, patrząc jak kolejny członek jego elitarniej gwardii ginie pod ciosem ognistego ostrza.

Jak to możliwe, że ta bestia walczy z taką zawziętością? - zapytał sam siebie, przyglądając się z perwersyjnym podziwem, jak Aaron porusza się w powietrzu na czarnych skrzydłach. Zupełnie jakby miał je od urodzenia i był stworzony do podniebnych lotów. Werchiel z *trudem* pojmował, że ta sama istota, która w myśl przepowiedni miała zjednoczyć na nowo Niebo i Ziemię, jeszcze kilka dni temu uważała się za marnego człowieka z krwi i kości.

Następny spośród żołnierzy krzyknął i niczym płonaca kula runął w dół. Styl walki Nefilima był prymitywny i nieobliczalny, brakowało mu dyscypliny - a mimo to walczył z niepokromionym okrucieństwem i niebywała skutecznością. Jego wrogowie nie wiedzieli, czego mogą się po nim spodziewać. Gwardziści Werchiera zmiękli przez te wszystkie stulecia, bo brakowało im godnego rywala, z którym mogliby się zmierzyć. Ale Werchiel znał swojego wroga. Uosabiał wszystko, z czym walczył i czym tak gardził. Nie mógł się już doczekać, aż zobaczy jego upadek i ostatecznie zatriumfuje.

Zniszczenie tego potwora, symbolu wynaturzonej przyszłości, której Werchiel nie był nawet w stanie sobie wyobrazić, będzie największym zwycięstwem w jego życiu. Wystarczy zabić Nefilima, a wraz z nim zginie złowieszczą przepowiednia, której tak się obawiał.

Werchiel wciąż mógł posłużyć się sztyletem, którym zadał śmiertelny cios swojemu byłemu dowódcy. Odrzucił go jednak w myślach i wyobraził sobie inną broń - tę, którą uważał za największą świętość. Nie korzystał z niej od czasu wojny z Poranną Gwiazdą. Był to miecz, który nazywał Posłańcem Smutku - stworzony wyłącznie do największych i najważniejszych pojedynków. A właśnie takim pojedynkiem był ten, który go czekał. Miecz zmaterializował się w jego dłoni i Werchiel odniósł go, wskazując czubkiem ostrza Królestwo Niebieskie. A potem posługując się starożytnym zaklęciem, używanym przez aniołów w celu poskramiania żywiołów, przywołał potężną burzę. Burzę, która pomoże mu pokonać najgorszego z diabłów.

Burzę, która zmyje raz na zawsze ohydne bluźnierstwo przepowiedni.

ROZDZIAŁ 12

Niebo nad całą okolicą zasnęło się grubą powłoką stalowych chmur, które wydawały się tak realne, że można ich było niemal dotknąć, Aaron manewrował między nimi, pozwalając, żeby lejący się z chmur deszcz nawilżał jego wysuszoną skórę, ożywiało go i zachęcało do kolejnego ataku. Nagle Strażnicy zniknęli, kryjąc się w chmurach, zapewne po to, by pod ich osłoną się przegrupować. Aaron wiedział, że chcą go zaskoczyć, i w każdej chwili spodziewał się natarcia.

Przenikając wzrokiem grube, burzowe obłoki, rozejrzał się po Baker Street, starając się ogarnąć to wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku minut. Miał skrzydła. Unosił się w powietrzu. I walczył o życie dziesiątki metrów nad ziemią. To było jakieś szaleństwo, senny koszmar. A jednak wiedział, że to wszystko jest niestety prawdą.

Żołnierze Werchiela nie poddawali się i atakowali go ze wszystkich stron. A on bronił się, jak mógł. Mając do dyspozycji ognisty miecz, wywijał nim, jakby to było boś, co robił codziennie i do czego został stworzony.

Kiedy zaakceptował już przemianę, która się w nim dokonała, istota żyjąca w jego wnętrzu nappełniła umysł Aarona głęboką wiedzą. Zobaczył nagle w Strażnikach nie bezwzględnych morderców, przysłanych z nieba, by siać grozę i śmierć, ale wojowników, którzy służyli niegdyś szlachetnej sprawie.

Po raz kolejny rozległ się grzmot i zasnute chmurami niebo rozświetliła błyskawica. Aaron przyjrzał się pędzącym chmurom.

Czy to kolejna sztuczka Werchiela i jego żołnierzy? - pomyślał, oczekując jakiegoś sygnału, który zwiastowałby rychły atak.

Wiatr wzmagał się. Aaron walczył z jego naporem, rozglądając się w poszukiwaniu wrogów. Niebo przecięła jeszcze jedna błyskawica, a zaraz po niej rozległ się głuchy grzmot. Nad nimi szalała już dzika burza, z potężnym wiatrem, błyskawicami, grzmotami i deszczem. Nigdzie wokół nie było za to widać gwardzistów Werchiela.

Aaron przyglądał się przez chwilę kłębiącym się nad jego głową chmurom, a potem wzbił się w górę kilkoma potężnymi machnięciami skrzydeł. Przebił się przez pułap chmur i rozejrzał po okolicy. Nie był wcale zaskoczony, gdy zobaczył nad miastem spokojne, rozgwieżdżone niebo - wszędzie, tylko nie nad Baker Street.

Wtem coś ukrytego w chmurach poniżej schwyciło go za kostkę i pociągnęło w dół. Aaron szarpnął się, tnąc mieczem na oślep i udało mu się uwolnić, ale zaraz potem znalazł się znów w samym sercu rozszalałej burzy.

Wiatr wył jak opętany, a z nieba lały się strumienie wody.

Niebo płacze - nieprzytomnie pomyślał Aaron, nie wiedząc za bardzo, skąd naszła go ta myśl. Ale zanim zdążył się nad nią głębiej zastanowić, przez gwizd wiatru i syk ulewnego deszczu usłyszał wzywający go potężny głos.

- Nefilimie!

Aaron zakręcił się w powietrzu, szukając źródła głosu, chociaż doskonale wiedział, do kogo on należy.

Werchiel wyłonił się zza burzowych chmur. Trzeba przyznać, że stanowił naprawdę imponujący widok. Białe skrzydła niosły go z łatwością przez wzburzone powietrze. W ręce ścisnął olbrzymi miecz, który skwierczał i strzelał iskrami za każdym razem, gdy spadła na niego kropla deszczu. Aaron popatrzył z niepokojem na własną broń i zastanowił się, czy nie należałoby wymyślić czegoś większego i równie potężnego.

- Twój czas dobiegł końca - ryknął dowódca niebiańskiej gwardii.

Jego słowa jeszcze dobrze nie wybrzmiały, a żywioł przybrał na sile. Aaron z trudem utrzymywał się w powietrzu.

- Zmiotę cię z powierzchni świata, tak jak ten pył niesiony wiatrem - zawył Werchiel, po czym wzniosł do góry ciemne oczy i rozłożył szeroko ramiona.

Niebo przeciął potężny piorun, uderzając w ścianę domu Aarona, który przyglądał się tej scenie w niemym przerażeniu.

- Nie! - krzyknął Aaron, z najwyższym trudem łapiąc równowagę i starając się nie upaść na przekór rozszałałym wichrom. *Gabriel! Zeke!* - przemknęło mu przez głowę.

Nagle rozległ się odgłos przypominający strzał z gigantycznego bata i kolejny piorun uderzył tym razem w dach domu, który eksplodował tysiącami iskier i zaczął płonąć.

Aaron był tak zaabsorbowany tym widokiem, że na chwilę stracił kontrolę nad sobą. Nowy instynkt ostrzegał go, żeby nie odwracać się plecami do Werchiela, ale Aaron nie zwracał na niego uwagi. Musiał ratować przyjaciół; jeśli coś jeszcze dało się zrobić, to tylko teraz.

Wtedy poczuł, jak ktoś łapie go od tyłu, przyciskając mu ręce i skrzydła do tułowia. Bezradnie patrzył, jak miecz wypada mu z dłoni i rozplywa się w powietrzu pod jego stopami.

- To dopiero początek - anioł wyszeptał mu do ucha z dziką rozkoszą.

Oddech Werchiela cuchnął jakimiś przyprawami i zgnilizną. Gdy Aaron go poczuł, o mało nie zwymiotował. Naprężył wszystkie mięśnie, ale na próżno. Dowódca Straży Anielskiej był niewiarygodnie silny. Wokół szalał potężny żywioł, rzucając nimi jak korkiem unoszącym się na wzburzonej powierzchni wody. A mimo to Werchiel nie rozluźnił swojego uchwytu ani na chwilę.

Aaron wrzasnął z wściekłością, ulegając najbardziej prymitywnym instynktom, które w nim aż kipiały. A potem wierzgnął do tyłu i uderzył potężnym ciosem głowy prosto w twarz zaskoczonego Werchiela.

To wystarczyło, żeby anioł na chwilę rozluźnił uchwyt. Aaron, korzystając z okazji, zdołał obrócić się i spojrzeć swojemu śmiertelnemu wrogowi w twarz, prosto w mroczne jak noc oczy, w których ujrzał śmierć tysięcy niewinnych istot.

Wszyscy byli tacy jak on. Jeszcze dzieci, nieświadome ciężącego na nich dziedzictwa, które było dla nich równoznaczne z wyrokiem śmierci. Aaron czuł wyraźnie ich desperację, ból i strach przed tym, co ich czekało.

Co ich spotkało? Jaką pomoc uzyskały nieszczęsne istoty z pogranicza Nieba i Ziemi, by poznać swoje prawdziwe pochodzenie? Odpowiedzią był Werchiel i jego siepacze, którzy po nich przyszedli. Wszyscy zginęli. W okrutny sposób, jeden po drugim zostali wymordowani w imię Boga.

Rozległ się kolejny grzmot. Aaron uwolnił jedną rękę z uścisku Werchiela i wbił mu paznokcie w twarz, kalecząc jedno z upiornie bezdennych, czarnych oczu. Skowyt Werchiela, przypominający pełen bólu i rozpaczny krzyk mewy, był tak głośny, że zagłuszył na moment szalejącą burzę. Anioł zachwiał się, chwytając się za zranioną twarz.

Aaron odepchnął go i odskoczył na bezpieczną odległość. Czuł, jak w jego żyłach buzuje czysta adrenalina - i coś jeszcze. Rzucił spojrzenie za siebie i zobaczył, że jego dom płonie, a część dachu zapadła się do środka. Wydał z siebie przeraźliwy wrzask, który nie byłby w stanie powstać w zwykłych ludzkich strunach głosowych.

Werchiel, pomimo bólu, nie poniechał drwin.

- A kiedy będziesz już martwy, przelecimy nad miastem niby ognista burza wszędzie tam, gdzie postawiłeś swoją stopę, i każdy człowiek, z którym miałaś choćby przelotny kontakt, zginie pochłonięty w morzu ognia.

Aaron natarł na Werchiela, w jego dłoni pojawił się znowu ognisty miecz, gotowy do ataku.

- Zabiłeś ich! - wrzasnął, przypominając sobie twarze tych wszystkich, których anioł kiedykolwiek pozbawił życia, w tym także jego najbliższych.

Werchiel blokował ataki przeciwnika z godną podziwu szybkością. Na jego bladą twarz powracał powoli drapieżny uśmiech, a cztery krwawe szramy, które przecinały ją jeszcze przed chwilą, stopniowo się zablizniały.

- To prawda, zabiłem... ale dopiero teraz zaczynam się rozkręcać! - Werchiel przemówił z pozbawionym emocji uśmiechem, walcząc cały czas z tą samą brutalną siłą. - Jesteś zarazą, Aaronie Corbet. - Anioł wypluł z siebie imię i nazwisko chłopca, jakby było trucizną. - A ja mam zamiar wyciąć tę zarazę ze zdrowej tkanki świata, razem ze wszystkimi, których zainfekowałeś.

Aaron zanurkował pod nim i wynurzył się za plecami Werchiela.

- Te wszystkie morderstwa... - zaczął.

Werchiel odwrócił się w mgnieniu oka. Aaron w ostatniej chwili schylił się, unikając uderzenia miecza, które rozplatałoby mu czaszkę. Poczul bijące od ostrza ciepło na swoich mokrych od potu włosach.

- ...dokonujesz ich za przyzwoleniem i w imię Boga? - Aaron dokończył pytanie.

- Wszystko, co robię, robię dla Niego - syknął Werchiel z furią wyrżytą na okaleczonej twarzy.

-Jakiemu Bogu służysz? - Aaron starał się uniknąć ciosów anioła, w nadziei, że gniew osłabi jego zmysły i wytrąci go z równowagi. - Który Bóg pozwoliłby na to, żeby mordować w jego imieniu niewinnych ludzi?

Udało mu się wyprowadzić potężny cios pięścią. Trafił Werchiela w twarz z taką siłą, że głowa odskoczyła mu do tyłu i na bok jak piłka. Przeszył go niezwykle dreszcz, gdy zobaczył, jak anioł się zachwiał. Przed przemianą Aaron nie przeżyłby nawet kilku sekund w walce z takim rozszalałym monstrem, ale teraz wierzył, że może przynajmniej sprawić, aby Werchiel długo pamiętał ten pojedynek.

Werchiel wypluł krew ze zranionych ust i skoczył, tnąc mieczem z jeszcze większą siłą. Jego ataki były nie do powstrzymania, Aaron cofał się już tylko, parując kolejne straszliwe ciosy. W końcu jego miecz zaczął pękać, aż wreszcie rozpadł się na drobne kawałki i rozpląnął w powietrzu.

- Poddaj się, bestio - zażądał Werchiel, głosem miękkim jak aksamit. - Taka jest wola Boga. - To mówiąc, anioł wznosił miecz, by rozplatać przeciwnika na pół.

Aaron zdążył jednak rozłożyć skrzydła. Doskoczył do dowódcy gwardzistów, wbijając mu bark w żołądek, silnym chwytem unieruchomił nadgarstek, nie pozwalając opuścić miecza.

- Czy aby na pewno wykonujesz Jego rozkazy, Werchielu? - zapytał, kiedy starli się znów pośród szalejącej wokół burzy. - A może swoje własne?

Werchiel uniósł kolano. Silny cios w bok sprawił, że Aaron poczuł, jak jego płuca eksplodują. Odruchowo rozluźnił uchwyt.

-Jestem dowódcą Potęg - usłyszał głos przeciwnika przekrzykujący świst wiatru. - Pierwszym spośród tych, których stworzył Ojciec.

Aaron chciał wymyślić kolejną broń, ale przeszywający ból w boku i płucach sprawiał, że ledwo utrzymywał się w powietrzu. Nie chciał umierać, nie chciał być kolejną biedną duszyczką, która poległa z ręki Werchiela.

Anioł ruszył z mieczem w dłoni, wznosząc potężne ostrze nad głową.

- Jego życzenie jest dla mnie rozkazem! - syknął, błyskając oczami, w których malowała się jedynie żądza mordy.

W ostatniej chwili, gdy Werchiel miał już ugodzić Aarona mieczem, ten machnął znów skrzydłami, odrzucając przeciwnika daleko w tył.

-Ja i mój Bóg stanowimy jedność! - krzyknął Werchiel, walcząc z siłami natury, które jednak okazały się silniejsze.

Ledwie przebrzmiały te słowa, niebieskie sklepienie rozdarła gigantyczna błyskawica. Werchiel zasłonił oczy dłonią, oślepiony blaskiem. Jak za dotknięciem niewidzialnego palca jakiejś boskiej istoty złożonej wyłącznie z energii, błyskawica ugodziła wprost w głowę anioła, karząc go za jego pychę.

Werchiel wrzasnął z bólu, gdy ładunek elektryczny przepłynął przez jego ciało i wydostał się na wolność czubkami palców stóp. Anioł sprawiał wrażenie, jakby cały świecił się od wewnątrz. Usta otworzył szeroko w niemym krzyku, który zagłuszyła szalejąca wokół burza. Chwilę później Werchiel eksplodował płomieniami. Jego ciało nie było już w stanie utrzymać energii krążącej w żyłach. A potem, niczym mityczny Ikar, który podlegał za blisko słońca, runął w dół.

- Stanowicie jedność? Jesteś tego pewien? - spytał Aaron, patrząc, jak jego przeciwnik spada, wirując, w stronę ziemi. A potem podniósł wzrok i spojrzał w niebo. -Naprawdę jesteś tego pewien? - powtórzył.

Werchiel leżał na boku na zimnej, wilgotnej ziemi, pogrążony w potwornym bólu, bólu, jakiego nie zaznał nigdy wcześniej. Jego ciało, poczerniałe od uderzenia błyskawicy, tliło się nadal, stygnąc powoli w chłodnym, nocnym powietrzu.

Przewrócił się na plecy i spojrzał w niebo - tam, gdzie mieszkał jego Pan.

Burzowe chmury rozstępowały się. Anielskie czary, które przyniosły nagle załamanie pogody, rozplywały się niczym obłoki dymu rozwiewane przez wiatr.

- Dlaczego? - wychrypiał Werchiel, powoli podnosząc spalone ramię i celując ręką w rozgwieżdżone niebo.

Ale Stwórca milczał.

Wtedy zjawili się oni - najwierniejsi z jego żołnierzy. Ci, którzy przeżyli i spoglądali na swego dowódcę z wysokości oczami pozbawionymi wyrazu, sfrunęli na dół, podnieśli go i na własnych ramionach unieśli w górę, z dala od miejsca bitwy, które okazało się sceną jego największej porażki.

- Dlaczego? - spytał ponownie Werchiel, kiedy zbliżali się już do miejsca, w którym mieszkał jego niebieski Ojciec, ale i tym razem nie uzyskał odpowiedzi. - Dlaczego mnie opuściłeś?

Ziemia zbliżała się coraz szybciej i Aaron naprężył mięśnie, a potem zamachał kilka razy skrzydłami, żeby spowolnić opadanie.

Wylądował na niewielkim trawniku przed swoim domem i natychmiast pobiegł w kierunku spalonego budynku, w którym jeszcze niedawno mieszkała cała jego rodzina.

- Stevie? - zawołał, biegnąc po ścieżce zasypanej odłamkami dachówek i płonącymi kawałkami drewna. Może zostawili go. Być może zdecydowali, że nie będzie im potrzebny. - Stevie... Gabriel? - krzyczał rozpaczliwie w ruinach. - Gabriel? - zawołał znowu, osłaniając usta dłońmi, w nadziei, że ktokolwiek przeżył. - Gabriel, Zeke - jesteście tam?

Nagle wyczuł w pobliżu obecność anioła. Odwrócił się błyskawicznie, dobywając nowej broni. Zabił już dzisiaj wiele istot nie z tej ziemi i był dostatecznie zdeterminowany, żeby wydłużyć tę listę.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - ostrzegł. Kamael podszedł bliżej, nie zwracając uwagi na jego groźby.

- Dziecka nie ma.

Anioł wyglądał straszliwie, jego twarz i ubranie pokrywały plamy zaschniętej krwi. Jedną z dłoni przyciskał do piersi, próbując zatamować krwotok.

- Gdzie on jest? - spytał Aaron, targany różnymi emocjami. Z jednej strony cieszył się, że jego młodszy brat żyje, ale z drugiej czuł dreszcz przerażenia, gdy tylko przypomniawszy sobie, kto go uprowadził.

Kamael podszedł chwiejnym krokiem jeszcze bliżej,

- Strażnicy... zabrali go. Próbowałem ich powstrzymać, ale... - Odsłonił ranę na piersi i zbadał ją uważnie.

- Sam miałem trochę kłopotów.

Z kieszeni wydobyl białą chusteczkę i przyłożył do krwawiącej rany.

- Nie wiem też, dokąd go zabrali - dodał na wszelki wypadek.

Anioł wyglądał tak, jakby za chwilę miał upaść. Aaron chciał podać mu rękę, ale Kamael przytrzymał się skrzydeł pod wpływem gorąca metalowego ogrodzenia.

- Wszystko w porządku? - spytał Aaron.

Kamael pokiwał ostrożnie głową, przyglądając mu się z uwagą.

- Obserwowałem cię z autentycznym podziwem - powiedział, a na jego twarzy zagościł rozmarzony uśmiech.

- Nie widziałem czegoś takiego, od kiedy...

Aaron położył palec na ustach. Nie chciał nic więcej słyszeć, zwłaszcza teraz.

Wtedy zza ruin domu wyskoczył Gabriel, z radością wołając go po imieniu. Aaron rozchmurzył się na widok swojego czworonożnego przyjaciela i ukląkł, by go uściskać.

- Nic ci nie jest - ucieszył się, głaszcząc go po głowie i całując w pysk. - Grzeczny, dobry piesek.

- *Ja też się cieszę, że cię widzę - rzucił Gabriel - ale musisz pójść ze mną, szybko.*

Pies wyrwał się z jego objęć i pobiegł za róg domu.

- Gabe? - Aaron podążył za nim.

- *Nie zostało mu już wiele czasu* - powiedział Gabriel, znikając na podwórku na tyłach domu.

Zeke leżał nieruchomo na trawniku, obok huśtawki. Gabriel warował przy nim.

- *Wyciągnąłem go z domu po tym, jak uderzyła w niego błyskawica - ale myślę, że on umiera.* -

Pies spojrzał na Aarona karmelowymi oczami, wypełnionymi smutkiem. - *Czy jego czas dobiegł już końca, Aaronie?*

Aaron ukląkł na trawie obok upadłego anioła i delikatnie ujął jego rękę.

- Nie wiem, Gabe - powiedział. Dłoń Ezekiela była zimna jak kamień wyciągnięty z górskiego strumienia. - Być... być może.

- *Och* - pies westchnął żałośnie, kładąc się przy Grigori. - *Miałem nadzieję, że może jesteś w stanie jakoś mu pomóc.*

Zeke powoli otworzył oczy.

- Spójrz na siebie - wyszeptał, a na jego ogorzalej twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech. Zeke ścisnął słabo dłoń Aarona. - Dojrzałeś i w ogóle... - Zaniósł się gwałtownym kaszlem, a w kącikach jego ust pojawiła się ciemna krew. - Cholera! - Z najwyższym trudem sięgnął ręką i otarł krew. - Nietęgo się czuję.

Aaron wpadł w panikę.

- Co mam robić? - spytał Ezekiela, ściskając mocno jego dłoń. - Mam wezwać karetkę czy...

Zeke potrząsnął głową, a z ust znowu pociekła mu krew. Nie zauważył tego jednak - a może nie dbał o to.

- Nie - machnął ręką. Jego głos zabrzmiał raczej jak bulgotanie. - Już za późno.

Kamael dołączył do nich. Aaron spojrzał na niego py tająco, oczekując jakiejś rady.

- Czy jest coś, co możemy... co ja mogę zrobić, by mu pomóc?

Anioł pokręcił siwą głową i zamknął oczy.

- Grigori umiera. Ostrze Werchiela musiało uszkodzić jakiś żywotny organ.

Ezekiel jęknął, a jego ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne konwulsje.

Aaron ścisnął jego dłoń jeszcze mocniej i nachylił się bliżej.

- Zeke, czy... czy to cię boli?

- Wszystko w porządku, chłopcze - uspokoił go Zeke. Jego głos brzmiał coraz słabiej, mówił praktycznie szeptem. - I tak już miałem dość tego miejsca.

Upadły anioł na moment zamilkł i wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w rozgwieżdżone niebo.

- Ale muszę ci coś powiedzieć - odezwał się po chwili, odwracając wzrok i patrząc Aaronowi prosto w oczy.

- Co takiego? - spytał chłopak.

Zeke przełknął z trudem i wziął głęboki, drżący oddech. Słysząc było, że w płucach ma pełno krwi.

- Chcę cię przeprosić... - wyrzęził. Aaron nie rozumiał.

- Za co? Za co chcesz mnie przeprosić?

Grigori zdawał się zbierać siły, żeby odpowiedzieć.

- Za wszystko - wychrypiął, starając się, żeby jego głos był słyszalny. - Chcę ci powiedzieć, że jest mi przykro z powodu wszystkiego, co zrobiłem.

Z początku Aaron nie wiedział, jak powinien się zachować - ale wtedy przeszła go błyskawica, podobna do tej, która strąciła z nieba Werchiela, i nagle stało się to dla niego zupełnie oczywiste. Aaron wiedział już, co powinien zrobić. W całym swoim życiu nie był nigdy o niczym równie przekonany.

Całe ciało zaczęło go swędzić i łaskotać, a włosy na jego rękach stanęły, jakby za moment miały otrzymać największy na świecie ładunek elektryczny. Aaron wziął Ezekiela za rękę i poczuł, jak energia pochodząca od istoty mieszkającej w jego piersi zaczyna spływać w dół ramienia aż do ciała upadłego anioła.

Zeke nagle zeszywniał, ale Aaron nie puścił jego ręki. Patrzył z niedowierzaniem, jak skóra Ezekiela zaczyna pękać, a z pęknięć wydobywa się olśniewające, białe światło.

Gabriel podskoczył, a potem wycofał się.

- *Co się dzieje z jego skórą?* - szczełnął. - *O co chodzi?*

Lecz Aaron nie odpowiedział.

To, co kiedyś było ciałem anioła, teraz odpadało jak płyty złuszczonej farby, zaś to, co znajdowało się pod spodem, pulsowało pięknym blaskiem, który wprawiał w zachwyt wszystkich wokół.

O to właśnie chodzi - pomyślał Aaron, zerkając na białe światło i nie puszczając ręki przyjaciela. Przed nim nie leżał już upadły anioł, wygnany z Raju na Ziemię, który umierał na skutek ran odniesionych w walce. Teraz trzymał za rękę istotę niezwyklej urody, której ciało składało się w całości ze światła.

Tak musiał wyglądać przed upadkiem - pomyślał Aaron, wzruszony niemal do łez tym wyjątkowym widokiem. *Pieeekne* - przypomniał sobie słowa swojego autystycznego brata.

Anioł Ezekiel podniósł wzrok zza mlecznej mgielki światła, w jego oczach widać było oczekiwanie. Wtedy Aaron zdał sobie sprawę, co jeszcze powinien powiedzieć, żeby jego przyjaciel odzyskał ostatecznie wolność.

- *Przebaczone ci* - wyszeptał w języku Posłańców i poczuł, jak po twarzy spływają mu gorące łzy.

Puścił rękę przyjaciela i w tej samej chwili otaczająca go aura energii stała się jeszcze bardziej intensywna, jaśniejsza i cieplejsza. Aaron wstał i odsunął się. Był właśnie świadkiem ponownych narodzin anioła Ezekiela.

Zeke uniósł się z ziemi na delikatnych skrzydłach złożonych z promieni słonecznych. A potem uniósł rozanieloną twarz do nieba i uśmiechnął się.

- *Dziękuję* - powiedział głosem, który Aaronowi wydał się dźwiękami otwierającymi najpiękniejszą symfonię, jaką kiedykolwiek słyszał. A jego słowom towarzyszyły emocje, którymi kipiał jak wulkan.

Chwilę później, w oślepiającym, białym błysku przypominającym narodziny gwiazdy, Ezekiel zniknął. Powrócił do miejsca, które dawno temu się go wyparło.

Uzyskał przebaczenie.

ROZDZIAŁ 13

Wycieńczony Aaron upadł na kolana na trawniku przed własnym domem. Mimo zamkniętych oczu wciąż widział wstępującego do nieba Ezekiela. Odprężył się i od razu poczuł, jak skrzydła wyrastające mu z pleców znikają pod skórą na łopatkach. Poczuł swędzenie i kiedy otworzył oczy, ujrzał, że czarne znaki na jego ramionach i klatce piersiowej również znikają.

Gabriel podbiegł do niego, machając ogonem z taką furją, jakby utracił kontrolę nad tylną częścią swojego ciała. Wsadził łeb Aaronowi pod pachę i trącał go nosem, domagając się pieszczot.

- *To było bardzo ładne, Aaronie* - zaszczekał radośnie. - *Pozwoliłeś mi wrócić do domu.*

Aaron popatrzył wymownie na Kamaela.

- *Co się właściwie stało?* - spytał, stając niepewnie na roztrzęzionych nogach. - *Co ja zrobiłem?*

Anioł w milczeniu patrzył w niebo. Na jego brudnym, ale wciąż szlachetnym obliczu malowała się niewypowiedziana tęsknota.

- Nie mam już najmniejszych wątpliwości, Aaronie Corbet - powiedział w końcu, kręcąc głową z niedowierzaniem i spoglądając na niego z góry. - Jesteś Wybrańcem, którego nadejście zostało przepowiedziane przed wiekami. W końcu udało ci się...

- Ale co ja zrobiłem? - Aaron domagał się odpowiedzi. Anioł podrapał się w srebrną koziań bródkę.

- Masz w sobie moc, by udzielać rozgrzeszenia - wyjaśnił, a na jego ustach zagościł uśmiech. - Każdemu, kto utracił łaskę w oczach Boga, za twoją sprawą zostaną wybaczone wszystkie grzechy, pod warunkiem, że zda sobie z nich sprawę i wyrazi skruchę.

- *To bardzo dobrze, Aaronie* - ucieszył się Gabriel, który patrzył na swojego pana, w dalszym ciągu szaleńczo machając ogonem. - *Prawda, że to dobrze?*

- Pewnie, że to dobrze - zgodził się Aaron. - A więc otrzymują rozgrzeszenie - tylko co to dla nich oznacza w praktyce? I gdzie zniknął Zeke? - spytał anioła.

Kamael znowu spojrział w niebo.

- Wrócił do domu.

Aaron podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. W powietrzu nie było już żadnych oznak burzy, która nawiedziła sąsiedztwo.

- Chcesz mi powiedzieć, że Zeke trafił z powrotem do nieba?

- Wy, ludzie, macie wiele barwnych określeń na to miejsce: Raj, Elizjum, kraina wiecznych łąków, niebieskie pastwiska... Niebo jest tylko jednym z określeń

- wyjaśnił Kamael.

Aaron pomyślał przez chwilę.

- I to ja go tam wysłałem?

- Jesteś pomostem między upadłymi i Bogiem. - Kamael wskazał na niego długim, zadbanym palcem.

- Bogiem? - Aaron wsunął ręce do tylnych kieszeni dżinsów. Popatrzył na zgliszcza swojego domu i przypomniał sobie, co stało się z nim oraz jego mieszkańcami

- i to wszystko w imię Boga. Zmarszczył brwi i poczuł, jak wzbiera w nim złość. - Wiesz co? - powiedział, obchodząc dom w kierunku drzwi frontowych. - Nie wydaje mi się.

Kamael podążył za nim.

- Nie uciekniesz przed tym, Aaronie - dogonił go. - To twoje przeznaczenie. Zostało zapisane...

Aaron obrócił się gwałtownie, przerywając mu w pół słowa.

- Tysiące lat temu - dokończył. - Znam doskonale tę historię, ale nie jestem pewien, czy dobrze się stało, że służę Bogu, który pozwolił, by doszło do czegoś takiego. - Po tych słowach wskazał dogasające zgliszczą domu. - Nie wspominając o setkach, a może tysiącach, których Werchiel pozbawił życia w Jego imię. - Aaron był wściekły i czuł, że mógłby rzucić rękawicę samemu Stwórcy, gdyby zaszła taka konieczność. - A teraz powiedz mi, jak mam tego dokonać.

Zaczęli się pojawiać pierwsi sąsiedzi Stanleyów, wychodząc ze swoich domów, żeby obejrzeć dzieło zniszczenia, które wzięli za efekt gwałtownej burzy.

Aaron, zapatrzony w to, co zostało z jedyne prawdziwego domu, jaki znał, razem z aniołem obserwował, jak dogasają ostatnie płomienie.

- Rozumiem twój gniew - odezwał się w pewnej chwili Kamael.

Aaron zaczął się wspinać po popękanych schodach, aż dotarł do miejsca, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi wejściowe. Potem przekroczył resztki progu i wszedł do środka ruiny.

- Czyżby, Kamaelu? Naprawdę rozumiesz? - Zatrzymał się w zrujnowanym salonie, w którym zginęli jego rodzice. - Jeszcze kilka dni temu nie wierzyłem w Niebo, anioły i ogniste miecze, nie mówiąc już o Bogu. Kopnął ze złością tłący się kawałek drewna. - A teraz dowiaduję się, że jestem częścią jakiegoś złożonego planu, mającego na celu ponowne zjednoczenie Nieba i wszystkich wyrodnych dzieci Boga, tak by mogły stworzyć z powrotem wielką szczęśliwą rodzinę.

Przypomniawszy sobie jeden z tych nudnych wieczorów, które spędzał z rodzicami przed telewizorem i omal się nie rozplakał. Ale był tak wściekły, że z jego oczu nie popłynęły łzy.

- Jak mam to dla Niego zrobić, skoro On nie zadał sobie nawet trudu, żeby ocalić moją rodzinę? Możesz mnie oświecić, Kamaelu, bo jestem tego naprawdę cholernie ciekawy.

W oddali rozległo się żałosne zawodzenie pierwszych syren.

- Wszzechmogący - zaczął Kamael. - Wszzechmogący i podejmowane przez niego działania lub ich brak... są częścią znacznie większego i bardziej skomplikowanego planu. Możemy tego nie pojmować, ale...

- Bóg działa w zagadkowy sposób? - Aaron przerwał mu z sarkazmem. - Właśnie w taki sposób zamierzasz mi wszystko wyjaśnić? Jesteśmy tylko trybikami wielkiej maszyny, w którą nikt nas nie wtajemniczył?

Na ulicy przed zniszczonym domem stali sąsiedzi. W ich oczach widać było strach. Aaron słyszał myśli kłębiące się w ich głowach. *Jak mogło do tego dojść? Nie wiedziałem nawet, że padało. Czy nastąpiła jakaś eksplozja? Mieszkam tuż obok. To mogło przecież zdarzyć się mnie. Mam nadzieję, że nikomu nic się nie stało.*

- Wiem, że trudno to zrozumieć, kiedy człowieka ogarnia rozpacz. To dylemat, przed którym i ja musiałem kiedyś stanąć, wybierając życie na tym świecie. - Anioł podszedł do zburzonej ściany i kucnął pod nią. - Ojciec wie wszystko - powiedział, sięgając ręką pod tynk. - Bez względu na to, jak beznadziejne i przypadkowe mogą nam się wydawać różne rzeczy, On zawsze ma plan.

Kamael wyciągnął coś z gruzów i przyniósł Aaronowi. To była połamana ramka, a pod nią nienaruszone zdjęcie całej jego rodziny. Wszyscy mieli na głowach czapki Świętego Mikołaja, nawet Gabriel. Aaron wziął fotografię i przyjrzał się jej. Pamiętał, że została zrobiona dwa lata temu - był wtedy wściekły, że musi zakładać tę głupią czapkę. A jeszcze większą złość wzbudzał w nim fakt, że Stanleyowie wykorzystali to zdjęcie jako świąteczną pocztówkę, którą rozesłali wówczas wszystkim znajomym i rodzinie.

Aaron ostrożnie wyjął zdjęcie z ramki - żywe wspomnienie życia, które teraz legło w gruzach, zniszczone przez starożytną przepowiednię.

- Czasem dobro musi zostać poprzedzone złem - ciągnął dalej Kamael, podejmując kolejną próbę wytłumaczenia Aaronowi złożoności boskich działań. - Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Gabriel obwąchiwał resztki spalonego fotela, wtykając nos pod poskręcany, metalowy szkielet, wyraźnie czegoś szukając. Aaron miał mu już powiedzieć, żeby był ostrożny, kiedy pies wyciągnął wreszcie spod fotela brudną tenisową piłkę.

- *Spójrz, Aaronie!* - powiedział z radością, głosem zdeformowanym przez piłkę, którą trzymał w pysku. - *Znalazłem moją piłeczkę. Myślałem, że straciłem ją na zawsze!*

Gabriel wypuścił piłkę z pyska. Przez krótką chwilę przyjaciel Aarona był szczęśliwy, bo udało mu się zapomnieć o tragicznych wydarzeniach ostatnich kilku godzin.

Aaronowi nie podobały się wyjaśnienia Kamaela, ale uznał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko je zaakceptować. W boskim szaleństwie musiała być widocznie jakaś metoda.

Popatrzył jeszcze raz na rodzinną fotografię, a potem złożył ją i wsadził do kieszeni.

- Muszę odnaleźć mojego małego braciszka - oznajmił, spoglądając na stojącego obok anioła. - Pomożesz mi go odzyskać?

Na Baker Street wjechały pierwsze wozy strażackie. Migające koguty i wyjące syreny zdawały się oplakiwać to, co tutaj zastały.

- Pomogę ci - Kamael odparł bez cienia emocji. Aaron pomyślał, że równie dobrze mógłby go poprosić o mleko albo śmietankę do kawy.

Gabriel przyniósł piłkę swojemu panu i upuścił ją u jego stóp. Machając ogonem, polizał go po ręce.

- *Nie przejmuj się* - pocieszał. - *Znajdziemy Steviego. Zobaczysz, Aaronie, wszystko się ułoży.*

Aaron bez słowa patrzył na dogasające ruiny domu. Legł w gruzach, tak samo jak jego życie. Zastanawiał się teraz, co przyniesie przyszłość, i szczerze wątpił, by cokolwiek jeszcze się ułożyło.

EPILOG

Jesteś tego pewien, Aaronie? - spytał pan Costan zza biurka w swoim gabinecie dyrektora liceum Kennetha Curtisa.

Minęły dwa dni od gwałtownej burzy z piorunami, w czasie której zginęli zastępczy rodzice i przyrodni brat Aarona. Chłopak uznał, że najlepiej, jeśli opuści szkołę, a potem miasto najszybciej, jak to będzie możliwe.

Aaron skinął głową, podając dyrektorowi własnoręcznie podpisaną rezygnację z dalszej nauki.

-Jestem pewien. Nie mogę tu dłużej zostać.

Ta sama sytuacja powtórzyła się w klinice dla zwierząt. Tam też musiał wyjaśniać, czy podjął przemyślaną decyzję i czy na pewno właśnie tego chce. Oczywiście, że nie chciał, ale niebezpieczeństwo grożące mu ze strony Potęg było zbyt wielkie.

Pan Costan wziął od niego papiery i na chwilę zamarł.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale ucieczka przed czymś nie jest...

- Ja nie uciekam - wtrącił się Aaron, dotknięty sugestią dyrektora. Przed oczami stanęła mu przerażająca wizja Werchiela i jego żołnierzy, spadających z nieba z ognistymi mieczami w dłoniach i dokonujących masakry w szkole.

- Z tym miejscem wiąże się dla mnie zbyt wiele wspomnień - wyjaśnił przyczyny swojej decyzji.

- Dlatego uważam, że zmiana otoczenia będzie najlepszym rozwiązaniem. - Aaron wiedział, że im szybciej wyruszy w drogę, tym szybciej odnajdzie Steviego. Rozmyślał o tym, obserwując jednocześnie siedzącego za biurkiem dyrektora.

Kamael wyjawiał mu powód, dla którego gwardziści Werchiela uprowadzili młodego braciszka. To wiązało się z jego upośledzeniem, czy też „niedoskonałością”, jak raczył to określić Kamael. Tacy ludzie przedstawiają dla aniołów większą wartość niż inni, gdyż są bardziej wrażliwi, a przez to lepiej im służą. Obraz Stevena będącego niewolnikiem tego potwora Werchiela wstrząsnął Aaronem i nappełnił go gniewem. Musiał odnaleźć brata, zanim stanie mu się jakaś krzywda. Dyrektor przeanalizował wypełnione dokumenty i wsadził je do leżącej na biurku otwartej teczki.

- W takim razie zgoda. Widzę, że nie uda mi się nakłonić cię do zmiany decyzji. A ponieważ jesteś już pełnoletni... - Pan Costan zamknął teczkę, a potem wstał i podał mu rękę.

Aaron również podniósł się z fotela i uściskał wyciągniętą dłoń.

- Powodzenia, Aaronie - powiedział dyrektor. - Gdybyś kiedykolwiek zechciał wrócić i dokończyć ostatni rok nauki, na pewno uda nam się wspólnie coś wymyślić.

Aaron puścił jego dłoń i szybko wyszedł z gabinetu. Chciał mieć to już za sobą, zanim pan Costan spróbuje jeszcze raz przekonać go, by pozostał.

Zegar w recepcji wskazywał kilka minut po dziewiątej. Jeżeli się pospieszy, zdąży opróżnić szafkę, oddać wszystkie książki i opuścić budynek szkoły przed końcem pierwszej lekcji.

Gdy kierował się po raz ostatni do swojej szafki, korytarze świeciły pustkami. Przez głowę przelatywały mu setki wspomnień. Pamiętał swój pierwszy dzień, jakby to było zaledwie kilka miesięcy temu. Wtedy szkoła wydawała mu się ogromna i przytłaczająca. Bał się, że nigdy nie nauczy się układu korytarzy i sal lekcyjnych. Aaron uśmiechnął się smutno - szkoda, że nie ma już takich problemów.

Opróżnił szafkę z książek i zeszytów oraz pozostałych przedmiotów, sprawdzając dwukrotnie, czy niczego nie zapomniał. Po raz ostatni trzasnął metalowymi drzwiczkami i poczuł, jak ogarnia go smutek i gniew.

To niesprawiedliwe - pomyślał. Miał opuścić ten gmach tak jak wszyscy pozostali - napisać testy, skończyć ostatni rok w kolorowej tozde i idiotycznym birecie odebrać dyplom, a potem wyjechać na wymarzone studia.

Ale los obszedł się z nim okrutnie, wybierając dla niego zupełnie inną ścieżkę.

Aaron kopnął w szafkę, wyładowując na niej część swojej frustracji. Dźwięk odbił się głośnym echem w pustych korytarzach. Chłopak wystraszył się. Upuścił trzymane pod pachą książki, które rozsypały się po podłodze. Miał ochotę krzyknąć, ale powstrzymał się. Z ciężkim westchnieniem schylił się, żeby pozbierać podręczniki. Czuł się jak kompletny idiota. W dodatku wściekły idiota.

- Potrzebujesz pomocy?

Aaron podniósł wzrok, czując jak spoczywający na jego barkach smutek przygważdża go jeszcze mocniej do ziemi. Dlatego właśnie chciał zdążyć przed przerwą, żeby na nią nie wpaść.

Vilma Santiago uklękła obok i pomogła mu.

- Dzięki - powiedział, unikając jej wzroku.

- Chciałeś wyjechać bez pożegnania, prawda? - odparła aksamitnym głosem, podając mu książkę do historii.

Spojrzał na nią i zobaczył, że jej oczy są wilgotne i czerwone od łez. Vilma płakała.

- Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że cię tu znajdę. Pokazała mu przepustkę. - Powiedziałam, że muszę iść do toalety.

Uśmiechnęła się, a potem roześmiała. Mimo iż w jej głosie słychać było smutek, wciąż brzmiał cudownie. Aaron miał wrażenie, że z bólu zaraz pęknie mu serce. Nerwowo poprawił stertę książek, nie wiedząc, co odpowiedzieć na zarzut, który przed chwilą usłyszał.

- Nie chciałem przez to przechodzić, nie znoszę pożegnań - przyznał, choć z całego serca pragnął jej wyznać, że robi to też dla jej bezpieczeństwa. - Nie potrafię sobie poradzić z całym tym smutkiem.

Aaron odchodził od zmysłów. Ze wszystkich rzeczy, które miał zostawić za sobą, najbardziej będzie mu brakowało właśnie jej - Vilmy. Nie miał już nikogo innego, z kim mógłby się pożegnać. Wstał i wsadził książki z powrotem pod pachę.

-Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie - Vilma pociągnęła nosem - w Brazylii... kiedy zmarła moja mama, nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek będę szczęśliwa.

W jej lewym oku pojawiła się łza i Aaron prawie upuścił książki, żeby ją otrzeć.

- Przepraszam. - Vilma zawstydzila się i szybko wytarła łzę. - Wiem, że dużo ostatnio przeszedłeś. Nie chcę, żebyś z mojego powodu czuł się jeszcze gorzej.

W tym momencie na pustych korytarzach rozległ się irytujący, metaliczny dźwięk dzwonka.

- Aaronie, chcę ci tylko powiedzieć, że ból z czasem minie. Teraz pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale zaufaj mi - tak właśnie będzie. Dobrze?

Aaron pokiwał głową i spróbował się uśmiechnąć.

- Dzięki - powiedział, patrząc jak korytarz wypełnia się uczniami przechodzącymi z klasy do klasy. - Naprawdę to doceniam.

Zaczął powoli odsuwać się od szafki i od niej. Musiał odejść teraz, bo inaczej groziło mu, że zostanie tu na zawsze.

- Muszę... muszę już iść - wymamrotał, wycofując się. Vilma szła za nim.

- Dokąd teraz pójdziesz?

- Nie wiem - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Ja... ja po prostu muszę odejść.

Musiał odnaleźć brata. Coś w środku podpowiadało mu, że powinien skierować się na północ.

Kamael powiedział, że najlepiej będzie, jeśli zaufa swojemu we wnętrznemu głosowi.

Aaron powoli odwrócił się do niej plecami.

- Wrócisz? - Vilma spytała z nadzieją w głosie, pojawiając się u jego boku.

Aaron pokręcił głową.

- Nie sądzę - odparł i odwrócił wzrok z udawaną obojętnością. Nienawidził być taki zimny, ale musiał się tak zachowywać dla jej własnego dobra.

Po raz kolejny usłyszał w głowie głos Werchiela, który zapowiedział, że wymorduje wszystkich jego bliskich i znajomych.

- Naprawdę muszę już iść - przyspieszył kroku, zostawiając dziewczynę za plecami.

Ale Vilma obeszła go i zagroziła mu drogę. A potem nachyliła się i przytuliła go mocno. Pachniała cudownie, jak płyn do kąpieli albo bukiet świeżych kwiatów. Uścisnęła go, a potem pocałowała delikatnie w policzek. Aaron poczuł, jak trzęsą mu się nogi.

- Trzymaj się, Aaronie Corbet - wyszeptała mu do ucha. - Będzie mi ciebie bardzo brakowało.

Aaron poczuł, jak jego serce rozpada się na tysiące drobnych kawałków.

Nie powiedział ani słowa, tylko poszedł korytarzem prosto przed siebie. Zwrócił jeszcze książki, a potem dosłownie wybiegł z budynku.

Gdy stanął na schodach przed szkołą, uderzył go w twarz silny podmuch wiatru. Podniósł kołnierz skórzanej kurtki. Mimo że była już wiosna, w powietrzu wciąż dało się wyczuć zimne, arktyczne powietrze. Idąc w stronę szkolnego parkingu, Aaron zobaczył, że Kamael i Gabriel czekają już na niego przy samochodzie.

A więc stało się - pomyślał, po czym wsadził zmarznięte ręce do kieszeni kurtki i powoli zaczął schodzić po schodach.

Nagle w jednej z kieszeni wyczuł jakiś przedmiot, którego wcześniej tam nie było.

Wyciągnął złożoną kartkę papieru i rozprostował ją. Był na niej e-mail i numer telefonu Vilmy. Musiała mu ją wsunąć, kiedy go przytuliła. Na samym dole widniało jedno zdanie, nakreślone łagodnym charakterem pisma: „Na wypadek, gdybyś chciał pogadać”.

Aaron chciał wyrzucić kartkę, ale nie był w stanie tego zrobić. Wsadził ją więc z powrotem do kieszeni i poszedł do auta. Z jakiegoś powodu zrobiło mu się nagle ciepło.

Zmierzając w stronę parkingu, słyszał, jak Kamael i Gabriel rozmawiają ze sobą.

- Po raz ostatni mówię „nie”. - W głosie anioła pobrzmiwało lekkie zniecierpliwienie.

- W czym problem? - spytał Aaron, podchodząc do samochodu.

Gabriel upuścił piłkę tenisową pod nogi Kamaela i Aaron natychmiast zorientował się, o co chodzi.

- Aaronie, on nie chce rzucić mi piłki. Prosiłem go grzecznie, ale wciąż odmawia. Myślę, że jest niedobry.

Anioł zagotował się ze złości.

- Nigdy nikomu nie rzucałem piłki i nie mam takiego zamiaru. To nie pasuje do mojego temperamentu.

Aaron kucnął obok psa.

- Czy nie mówiłem ci, że nie wolno nikogo zmuszać, żeby się z tobą bawił?

Labrador prowokacyjnie trącił piłkę przednią łapą i złapał ją w pysk, zanim zdążyła się odturlać.

- Gabriel! - Aaron przywołał go do porządku. Pies spuścił łeb, zawstydzony reprimendą pana.

- *On nic nie robił, a ja się nudziłem.*

- Powiedział, że nie chce się z tobą bawić, i powinienes to uszanować.

- *Przepraszam, Aaronie* - Gabriel stulił uszy po sobie. Aaron wytarł mu oczy.

- Nic się nie stało. Po prostu postarajmy się być dla siebie bardziej wyrozumiali, dobrze? - To mówiąc, obrzucił Kamaela miażdżącym spojrzeniem. - Chociaż pewnie by cię to nie zabiło, gdybyś kilka razy rzucił mu tę piłkę.

- *W dalszym ciągu twierdzę, że on jest niedobry* - pies zamruczał pod nosem, po czym wyzywająco wziął piłkę do pyska.

- Wykonałeś zadanie? - spytał Kamael, ignorując psa i splatając dłonie za plecami.

Aaron odwrócił się i spojrzał na swoją szkołę, starając się zapamiętać na zawsze każdy detal tego budynku z cegły i betonu.

- Tak - powiedział. - Możemy jechać.

Otwierał właśnie drzwi do samochodu, kiedy Gabriel krzyknął: *Strzelba!*, wprowadzając Aarona i Kamaela w osłupienie, po czym włączył się na przednie siedzenie od strony pasażera.

Kamael przyjrzał mu się zdumiony.

- Coś ty powiedział?

- *Strzelba* - powtórzył Gabriel. - *To chyba należy powiedzieć, kiedy chcesz jechać na przednim siedzeniu.*

Aaron nie potrafił już opanować śmiechu. Bez względu na to, ile rozmów prowadził z Gabrielem, inteligencja psa wciąż była w stanie go zaskoczyć.

- Tak właśnie myślałem - powiedział, po czym spojrzał na Kamaela. - Masz coś przeciwko jeździe na tylnym siedzeniu?

- Z przodu czy z tyłu - warknął wyraźnie zdegustowany anioł - nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

- Gardzę tym ustrojstwem, bez względu na to, gdzie siedzę.

- To świetnie - ucieszył się Aaron, otwierając drzwi i podsuwając fotel kierowcy, tak żeby anioł mógł usiąść na tylnym siedzeniu. Potem obszedł samochód dookoła i wpuścił Gabriela na siedzenie obok kierowcy.

- Proszę, jest twoje - powiedział, pozwalając psu wskoczyć na wymarzone miejsce.

- *Super!* - ucieszył się pies, oblizując się i dysząc z radości.

Aaron złapał za klamkę.

- Uważaj na ogon - ostrzegł i zatrzasnął drzwi. Usadowił się za kierownicą i włączył silnik, ale nie ruszył jeszcze z miejsca. Spojrzał ostatni raz na szkołę

- swoją szkołę - i pomyślał o tym wszystkim, co stracił przez parę ostatnich dni: rodziców, dom, pracę, szkołę, a nawet swoje człowieczeństwo. Przypomnił sobie Vilnę i jej czerwone od płaczu oczy. Gdyby tylko mógł jej wszystko wyjaśnić... Jeszcze jedna bliska osoba, którą stracił, zapewne bezpowrotnie.

- Możemy ruszać, Aaronie? - Kamael poruszył się niecierpliwie. - Jesteś gotowy?

Chłopiec przyjrzał mu się we wstecznym lusterku.

- Szczerze mówiąc, nie, nie jestem gotowy. - Wrzucił bieg. - Ale sądząc po tym wszystkim, co mi powiedziałeś na temat przepowiedni, chyba nie mam wyboru.

Samochód ruszył z podjazdu i zbliżył się do skrzyżowania. Aaron zaczekał chwilę na możliwość włączenia się do ruchu, po czym wyjechał na ulicę, kierując się na północ. Przed sobą miał niepewną przyszłość, za sobą zostawiał rzeczy, miejsca oraz ludzi, których kochał i utracił.

- *Dokąd jedziemy, Aaronie?* - spytał Gabriel, rozglądając się z ciekawością na boki i obserwując mijane po drodze samochody.

- Nie jestem pewien - odparł Aaron, zmieniając pasy, żeby wyprzedzić furgonetkę, której przydałaby się nowa rura wydechowa.

- *Skoro tak, to skąd będziemy wiedzieli, że jesteśmy już na miejscu?* - Pies wydawał się tą odpowiedzią nieco zaniepokojony.

Aaron czuł na sobie jego wyczekujący wzrok. Nachylił się i podrapał psa za uchem.

- Nie martw się, Gabe - powiedział, nie spuszczać oczu z drogi. - Mam przecucie, że będziemy wiedzieli. *Przynajmniej taką mam nadzieję* - dodał już w myślach, wjeżdżając na szosę, która miała ich doprowadzić już bezpośrednio do autostrady prowadzącej na północ.

A więc przesądzone. Czy mu się to podobało, czy nie.

*

Na końcu rzadko uczęszczanej drogi w zachodniej części stanu Massachusetts znajdował się opuszczony od 1959 roku i sprawiający wyjątkowo posępne wrażenie kościół oraz sierociniec pod wezwaniem świętego Atanazego.

W połowie lat osiemdziesiątych miał zostać przekształcony w dom spokojnej starości, okazało się jednak, że koszt odnowienia i wyremontowania obydwu budynków przekracza znacznie ich wartość.

W miejscu tym czuć było wyraźnie aurę niepokoju. Jakby stare, zrujnowane zabudowania uważały się za pokrzywdzone i zapomniane. Zapewne właśnie tej atmosferze zawdzięczały swoją ponurą reputację; w okolicy mówiło się nawet, że są nawiedzone.

Nic się nie zmieniło przez ostatnie czterdzieści kilka lat. Kościół i sierociniec powoli niszczały, pozbawione życia, a jedyny wyjątek stanowiły dzikie zwierzęta, które z czasem znalazły drogę do środka i zamieszkały w jego ścianach, nawet w dzwonnicy.

Miejsce pozostawało całkowicie opuszczone i zapomniane - jednak sytuacja uległa zmianie kilka dni temu.

Siedzący na drewnianym fotelu nad ołtarzem w kościele św. Atanazego Werchiel obserwował koliste, brudne od zacieków sklepienie, studiując znajdujące się tam malowidła. Przedstawiały Niebo. Od czasu do czasu zmieniał pozycję, krzywiąc się przy tym z bólu. Przy najdrobniejszym ruchu od jego spalonego ciała odklejały się kawałki mięsa, które spadały na posadzkę ołtarza.

- Nie macie bladego pojęcia - myślał głośno, spoglądając na złoty pałac unoszący się na obłokach oraz grające na harfach anioły o zazdrośnym wyrazie twarzy.

Uzdrowiciel Kraus podreptał ostrożnie w jego stronę, z przewieszoną przez ramię, znoszoną, skórzaną torbą z medykamentami. Chociaż był niewidomy, zatrzymał się tuż przed fotelem Werchiela, wyczuwając jego obecność - jego świętość - tak jak tylko potrafią to robić ludzie kalecy.

- Przybyłem tu, by zadbać o ciebie, wielki Werchielu. - Pokłonił się z szacunkiem.

Odkąd trafiła go błyskawica, Werchiel trwał w stanie nieustającej agonii. Całe jego ciało było poczerniałe i zwęglone.

- Możesz działać. - Machnął spaloną ręką, czując, jak końcówki jego nerwów wibrują w paroksyzmach bólu z każdym, nawet najmniejszym ruchem.

Uzdrowiciel ukląkł przed Werchielem. Położył torbę na ziemi, rozwiązał ją i wyjął ze środka swoje instrumentarium. Dotykał po kolei wszystkich skalpeli, ostrzy i pił - narzędzi, których używali jego nauczyciele oraz setki ich poprzedników.

W końcu znalazł to, czego szukał - trzydziestocentymetrowe ostrze, które załśniło w promieniach słońca, wpadających do wnętrza opuszczonej świątyni przez okna niechlujnie zabite deskami.

- Możemy kontynuować? - spytała ludzka małpa, a jej kwaśny oddech przyprawił obdarzonego delikatnym węchem anioła o mdłości.

Im szybciej da się zoperować, tym szybciej pozbędzie się tej ludzkiej wszy.

- Rób, co trzeba - odparł Werchiel. Podniósł jedno ramię i pokazał je medykowi. W powietrzu dał się słyszeć dźwięk przypominający suche liście unoszone na wietrze.

Uzdrowiciel nachylił się i z wielką zręcznością zaczął odcinać kawałki spalonej, martwej tkanki. Ból był nie do zniesienia, ale Werchiel nie krzyczał ani się nie uskarżał. Była to część ceny, jaką musiał zapłacić. Jak to się nazywało, kiedy małpy błagały o wybaczenie za swój brak rozważli? Zdaje się, że pokuta. Tak, właśnie tak to się chyba nazywało.

Było dla niego oczywiste, że bardzo rozczarował swojego Pana. Gdyby tak bowiem nie było, nie zostałby przecież ukarany. Ból był jego pokutą. Za to, że nie udało mu się wyeliminować fałszywego proroka, musi teraz cierpieć. Musi pokazać, jak bardzo jest mu przykro.

Kraus ostrożnie odrywał kolejne płyty martwej skóry, odkrywając surowe, krwiste ciało. Jeśli Werchiel ma wyzdrowieć, Kraus musi zrobić to samo z całą spaloną, zniszczoną skórą. Czekają go długi i bolesny proces, ale Werchiel zgodził się mu poddać - potraktował to jako formę pokuty, by otrzymać przebaczenie Stwórcy.

Zawodzenie dziecka pozwalało mu zapomnieć na chwilę o agonii.

Brat Nefilima, autystyczny chłopiec o imieniu Stevie, siedział na drugim końcu ołtarza i kiwał się niczym wańka-wstańka, patrząc szeroko otwartymi oczami na leżący przed nim przedmiot.

Był to hełm w krwistoczerwonym kolorze, wykuty w niebiańskiej kuźni - dar dla dziecka od jego nowego pana.

Chłopiec zajęczał znowu, nie spuszczać oka z hełmu, zupełnie jakby był świadomy, jaki los go czeka.

- Zmienię cię, mój pupilu - syknął Werchiel, skręcając się w męce, gdy Kraus odcinał mu metodycznie kolejne fragmenty skóry, która tworzyła już okazały kopczyk. - Zamienię cię w tropiciela upadłych aniołów...

Dziecko kiwało się teraz na boki, powtarzając bez przerwy „nie”. Jego krzyki odbijały się echem w murach tego niegdyś świętego miejsca.

- Będiesz moim narzędziem rozgrzeszenia - oznajmił Werchiel, wtulając głowę w oparcie fotela i obejrzał po raz kolejny namalowane na sklepieniu ludzkie wyobrażenie Raju. Miejsca, do którego - jak wierzył - wstęp mieli tylko ci, którzy naprawdę zasłużyli na taki zaszczyt. - Moim instrumentem odkupienia.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym wyrazić wdzięczność mojej żonie LeeAnne, która jest jednocześnie moim aniołem stróżem (z widłami) - za wszystko, co dla mnie robi. Bez jej miłości i wsparcia nie znalazłbym właściwych słów, by opowiedzieć tę historię..

Dziękuję także Christopherowi Goldenowi, mojemu współpracownikowi i przyjacielowi - za dar pewności w chwilach zwątpienia. Bardzo to sobie cenię.

Podziękowania należą się też „Terminatorowi w spódnicy” - mojej redaktorce Lisie Clancy oraz jej wspaniałej asystentce Lisie Gribbin.

Wyrazy wdzięczności kieruję również pod adresem moich rodziców (w podzięce za katolickie wychowanie), a także: Erica Poweła, Dave'a Krausa, Davida Carrola, dr. Krisa Blumenstocka i całej ekipy z Weterynaryjnego Centrum Medycznego Lloyda, Toma i Lori Stanleyów, Paula Griffina oraz Tima Cole'a. Dziękuję też zaufanemu gronu podejrzanych: Jonowi i Flo, Bobowi i Patowi, Donowi Kramerowi, Johnowi, Janie, Harry'emu i Hugonowi, Kristy Bratton oraz Mike'owi i Anne Murrayom. I na koniec specjalne podziękowania dla Rosolivii Bryant.

